

DODATEK
NARODOWY DZIEŃ PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

CO SIĘ STAŁO NA SYNODZIE W PRADZE?

DYWERSANT TRZASKOWSKI. CZY POGRZEBAŁ WYBORCZE SZANSE PO?

UNIJNY ZAMACH NA POLSKIE LASY. O CO NAPRAWDĘ CHODZI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 9 (535) 2023
27 lutego – 5 marca 2023
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

WIELKA GRA POLSKI

EKSKLUZYWNY WYWIAD Z PREZYDENTEM ANDRZEJEM DUDĄ
PO WIZYCIE PREZYDENTA USA JOE BIDENA. O ŚWIATOWEJ POLITYCE I ZBLIŻAJĄCYCH SIĘ WYBORACH PARLAMENTARNYCH

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269304 09

prasa.pl

E-prenumerata SIECI 50% taniej

2 audiobooki i historyczny e-book w prezencie





E-BOOK – PREZENT DO KAŻDEJ E-PRENUMERATY:

160. rocznica Powstania Styczniowego

Aż 130 stron pasjonujących opowieści o legendarnych i mniej znanych dowódcach Powstania Styczniowego.
Jak heroicznie i brawurowo walczyli z caratem? Jak stali się postrachem Rosjan?

2 AUDIOBOOKI GRATIS DO E-PRENUMERATY NA 12 MIESIĘCY:

„Maluchem do raju”

O transporcie w czasach komuny, np. maluchach, które z przeciętnego Kowalskiego zrobiły króla szos.

Czas słuchania: 8 godz. 53 min.

„Brak tchu” Georga Orwella

Książka przez krytyków stawiana na równi z „Folwarkiem zwierzęcym” i „Rokiem 1984” – niepokojąco aktualna i dziś.

Czas słuchania: 11 godz. 6 min.

Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl b96b151b81



Czy Michnik broni Jana Pawła II?

Nikt z nas dwie dekady temu nie przypuszczał, a miliony Polaków nadal nie wiedzą, że w części młodego pokolenia udało się już zaszczepić furiacką pogardę do św. Jana Pawła II.

Wlepki z ironicznie uśmiechniętą twarzą papieża Polaka, przepuszczone przez żółty filtr mają być znakiem rozpoznawczym, że wiedział on i przynajmniej lekceważył nadużycia w Kościele, a godzina śmierci Ojca Świętego – 21.37 – została sarkastycznie nazwana godziną „papieżową". Gdy o Janie Pawle II ktoś mówi, pisze czy komentuje, że wiedział, ma to dotyczyć tych pompowanych medialnie skandali związanych z molestowaniem seksualnym i na podstawie masy nierzetelnych i fanatycznych materiałów buduje się przekaz już nie wybitnego przywódcy duchowego, ale literalnie złego człowieka. Gdy jednak Adam Michnik występuje z obroną Wojtyły, wylewa się z tej intencji kilka litrów fałszu. W okładkowym tekście „Gazety Wyborczej" jej naczelny pisze:

„Rozumiem, że nadszedł czas rozliczeń. Jednak dla mnie nie do przyjęcia jest redukowanie polskiego papieża tylko i wyłącznie do skandali pedofilskich. A tak, niestety, czynią niektórzy komentatorzy i politycy. Tymczasem Jan Paweł II to jedna z najwybitniejszych postaci życia publicznego w polskiej historii XX w. [...] Choć jednocześnie uznaję, że spoczywa na nim jako zwierzchniku Kościoła część odpowiedzialności za te straszne błędy i ohydne zdarzenia".

Pogląd Michnika jest przebiegłym zagraniem przesuwającym granice dyskusji o Janie Pawle II, które mają dziś biec nie od „był niewinny" do „był winny", ale od „był winny" do „był winny, ale pozostaje wybitny". W tak zakreślonej debacie spór miałby się toczyć o jego zasługi, a odpowiedzialność polskiego papieża za nadużycia byłaby bezsporna. Naczelny „GW" występuje tu więc w roli fałszywego adwokata, który mówi, że jego klient jest winny, oczywiście, linczujcie go, ale linczujcie z uznaniem pewnych jednak zasług. Ta koncesjonowana obrona płynąca spod pióra autorytetu dla sporej części elit III RP już wielokrotnie okazywała się skuteczna.

Tak wyglądały poprzednie tezy pedagogiki wstydu, która zawsze składa się z dwóch części – fałszywego docenienia i prawdziwej obelgi. Nie dajmy się nabrać, intencje są czytelne.

Jakub Augustyn Maciejewski

Biden nie kupił narracji opozycji. To duża jej klęska



Cyrkowe przedstawienie odgrywane przez polityków opozycji wokół rzekomych rozmów i spotkań z prezydentem Joe Bidenem wymaga kilku słów komentarza.

Gdy przedrzemy się przez sceniczne kotary i dymy, zobaczymy za kulisami panikę. Fakty bowiem są brutalne: amerykański prezydent potraktował liderów opozycji jako jednych z wielu przedstawicieli polskich elit (często niestety). Dostali uścisk dłoni w tłumie lub „na ściance", kilkadziesiąt sekund, kilka kurtuazyjnych słów, czasami zdjęcie. Wypełnił się tu normalny rytuał wizyty prezydenta ważnego państwa w zaprzyjaźnionym kraju demokratycznym, u ważnego sojusznika wojskowego.

Nie dostali zaś tego, na czym zależało im najbardziej: sygnału, że Polska jest krajem wymagającym specjalnego traktowania, z jakimiś problemami z demokracją, z jakąś „opozycją demokratyczną" wymagającą szczególnej uwagi. W to przecież grają od 2015 r. Dlatego wyciskali takim wysiłkiem różne „zaniepokojenia Departamentu Stanu", zorganizowali sankcje, które Bruksela nałożyła na Polskę pod kłamliwymi zarzutami, i dlatego utrzymują je, mimo że staliśmy się krajem frontowym.

Sygnał wyszedł odwrotny: wspaniały sojusznik, piękny naród, silna demokracja oraz skuteczny prezydent i rząd.

Celem opozycji było więc zepsucie jednoznacznego obrazu, który niosła wizyta prezydenta USA. Podtrzymane jednoznacznie gwarancje bezpieczeństwa dla naszego kraju, podziękowanie dla polskich władz, uznanie dla Polaków, wyniesienie Polski na nową polityczną orbitę jako lidera formatu europejskiego miało zostać doprawione zastrzeżeniem, że z demokracją jednak jest jakiś kłopot. Nic takiego nie padło w przemówieniu, niczego takiego nie zasugerowano później.

Klęska zaliczona przez opozycję jest więc oczywista i łatwa do dostrzeżenia przez każdego w miarę ogarniętego obserwatora. Nawet „ich" lewicowy amerykański prezydent nie kupił narracji o zagrożonej demokracji i nie uznał ich za coś więcej niż normalnych polityków, obecnie bez większego znaczenia.

Michał Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl b96b151b81

SIECI spis treści



40 Platforma ludzkich słabości
Konrad Kołodziejski



Fot. Ludmyla Kazakova

70 Obroty Kopernika
Wojciech Lada



61--68 Wierni przysiędze
dodatek specjalny

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PASZTET Z SZERSZENIA**
Krzysztof Feusette

9 **ŚMIESZNIE, ŚMIESZNIEJ, OPOZYCJA**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **DELEGALIZACJA ZWIĄZKU SOWIECKIEGO**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

14 **MODLITWA CZY TERAPIA**
Bronisław Wildstein

16 **WALIZKA DOMINIKI CHOROSIŃSKIEJ**
Michał Korsun

18 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

19 **KONIEC RELATYWIZMU**
Marta Kaczyńska-Zielińska

20 **FANI NIEMIEC MAJĄ PROBLEM**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

23 **Z PREZYDENTEM ANDRZEJEM DUDĄ**
rozmawiają Michał Karnowski i Marcin Wikło

31 **BIDEN NA ZAMKU: ZBLIŻA SIĘ PUNKT ZWROTNY**
Jan Rokita

34 **GAMBIT PREZYDENTA USA**
Marek Budzisz

37 **JEST SZANSA NA ZATRZYMANIE ROSYJSKIEGO WALCA**
Rozmowa Andrzeja Rafała Potockiego

KRAJ

40 **PLATFORMA LUDZKICH SŁABOŚCI**
Konrad Kołodziejski

43 **DYWERSANT TRZASKOWSKI**
Stanisław Janecki

46 **PERSONALNE WYCINANKI U NARODOWCÓW**
Jakub Augustyn Maciejewski

48 **UCIECZKA „DO" CZY „OD" PRACY ZDALNEJ?**
Dorota Łosiewicz

50 **EUROKRACI POSZLI W LAS**
Dariusz Matuszak

54 **W POLSKIEJ CERKWI WRZE**
Goran Andrijanić

ŚWIAT

56 **CO SIĘ STAŁO PODCZAS SYNODU W PRADZE**
Grzegorz Górny

58 **NIE NALEŻY ROBIĆ Z PRAW CZŁOWIEKA RELIGII**
Rozmowa Aleksandry Rybińskiej

HISTORIA

70 **OBROTY KOPERNIKA**
Wojciech Lada

SIECI KULTURY

73 **NAŁOŻONE HISTORIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

75 **CZWARTOS – MALARZ Z POLSKI**
Maciej Walaszczyk

78 **POLSKA JEZUSA**
Robert Tekieli

79 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

80 **POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

82 **SAMOCHODY TYLKO DLA BOGACZY?**
Agnieszka Łakoma

84 **SYSTEM KAUCYJNY NA FINISZU**
V Forum wGospodarce.pl

88 **Z MARCINEM MOCZYROGIEM**
rozmawia Maciej Wośko

ZDROWIE

94 **KOMÓRKI I ZŁOTÓWKI**
Bartosz Życiński, Piotr Filipczyk

PODRÓŻE

98 **MOJE SZLAKI: ZBIGNIEW ZARANEK**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

99 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

100 **ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ**
Wojciech Reszczyński

101 **WYBRAŃCY**
Aleksander Nalaskowski

102 **NOWE PRAWA CZŁOWIEKA, CZYLI BEZPRAWIE**
Jan Pospieszalski

103 **PROMOCJA POŻYTECZNYCH**
Jerzy Jachowicz

104 **TWARZ UCZCIWOŚCI**
Ryszard Makowski

105 **DO TRZECH RAZY...**
Leszek Długosz

106 **INFORMACJE, WIEDZA, MĄDROŚĆ**
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 49/0223/F

eprasa.pl b96b151b81

Akademia Korzyści PPK

Oszczędzaj i wygrywaj podwójnie

Pracownicze Plany Kapitałowe



Odpowiadaj na pytania i wygraj nawet

100 000 zł

Wejdź na **akademiappk.pl**

eprasa.pl b96b151b81



Sygnalista nadaje

„Zaczyna się spotkanie byłego przewodniczącego Rady Europejskiej oraz prezydenta Warszawy z prezydentem Stanów Zjednoczonych” – ogłosił ***Radosław Sikorski*** 21 lutego o godz. 6 minut 23. Możliwe, że gdy skończył pisać, „spotkanie” już się zakończyło, bo Joe Biden tyle czasu znalazł dla Donalda Tuska. Były premier w przeciwieństwie do innych polityków opozycji nie pokazał nawet zdjęcia. Wypinanie piersi nie pomoże: Biden dał opozycji *minimum minimorum*, najmniej, jak mógł. I opozycja też to wie.

Tym bardziej nadrabia miną. Zdaniem Tuska przesłanie prezydenta USA brzmiało tak: „Joe Biden krótko i dosadnie: Donaldzie, będziemy bronić solidarnie wolności i demokracji. Zawsze i wszędzie”. Z marszałkiem Senatu Tomaszem Grodzkim amerykański przywódca miał rozmawiać o roli Senatu: „Mówił, że Senat w Ameryce broni demokracji. Ja mu powiedziałem, że my też bronimy demokracji”. I dalej: „Usłyszałem: »Keep going, do your job«. Róbcie swoje”. I tak dalej będziemy robić, jak robimy od ponad trzech lat. W istocie i Tusk, i Grodzki usłyszeli uniwersalne formułki pasujące do każdego spotkania. Biorąc pod uwagę politykę PO wobec Rosji, to i tak dużo.

Rafał Trzaskowski z tych kilkudziesięciu sekund wyciągnął znacznie, znacznie więcej. „Miałem okazję chwilę porozmawiać z panem prezydentem. Przede wszystkim dziękując mu za przywództwo, które dzisiaj tak brakuje w świecie Zachodu. Za tę odwagę, za to, że pojechał do Kijowa, za to, że tak mocno mówi o gwarancjach bezpieczeństwa dla Polski i o wsparciu, którego amerykańska administracja udzielała Warszawie. Mówiłem o tym, że my właściwie w Polsce wszyscy się zgadzamy co do kwestii bezpieczeństwa, pomocy Ukrainie, naszego zaangażowania w kwestię bezpieczeństwa. To jest jasne, że tutaj panuje zgoda ponad podziałami politycznymi. Mówiłem również o tym, że Polska musi być przykładem praworządności i mocnej demokracji, dlatego że jak Ukraina wygra wojnę, to musimy być dla niej prawdziwym przykładem. I to było niesłychanie istotne”. Trzaskowski mówi szybko, ale jednak nie aż tak szybko.

Paweł Kowal *z Bidenem się nie spotkał, ale co chciał, to usłyszał. Co konkretnie? „Biden postawił de facto tylko jeden warunek i on mógł się nie spodobać. Powiedział, że jak chcemy być częścią Zachodu, to trzeba być jak puzzle. W pełni takim samym” – przekonywał. „W którym momencie to powiedział?” – dopytywał dziennikarz. „Za każdym razem, gdy mówił »demokracja«. Bo wszyscy rozumieją, z jaką biografią jest to człowiek. I on doskonale rozumie, że jak chcemy tak jak po 1989 r. być w pełni kompatybilni z Europą Zachodnią, musimy przyjąć te same wartości choćby ze względów gospodarczych”. To rzecz jasna wymysły, ale warto dostrzec, gdzie zaszedł Paweł Kowal. A zaszedł daleko, bo do tezy, że Polska będzie Zachodem tylko wówczas, gdy nie będzie sobą. Nie wiadomo, czy to śmieszne, czy straszne.*

Wspomniany Radosław Sikorski nadal ciężko pracuje nad własną marką. Najpierw dwukrotnie dostarczył cennego towaru rosyjskiej propagandzie, a teraz brnie w co najmniej przaśne porównania. W rozmowie z Tomaszem Siemoniakiem europoseł KO perorował: „W tle przemówienie Putina, który niby był tym żwawym, pełnym testosteronu, jeżdżącym na białych koniach, polującym i uczącym chyba kormorany fruwać...”. „Żurawie” – wtrącił Siemoniak. „O, żurawie” – poprawił się Sikorski. I wypalił: „Ale nasz Biden chyba na jego tle wyglądał, że ma większego, co? To przemówienie Putina wcale nie było przemówieniem zwycięzcy”. Dżentelmena nie da się jednak długo udawać, tło społeczne zawsze człowieka dogoni.

Brak elementarnej kultury to być może ważne spoiwo formacji, która tak bardzo pragnie wrócić do władzy, że jest zdolna do wszystkiego. ***Sławomir Nitras*** pozwala sobie na kpinę z wyglądu swoich oponentów. „Przecież im się już paski nie domykają, oni się wszyscy tak rozpaśli. I w sensie fizycznym, i finansowym. No przecież tak nie można, ludzie. Niech pan zoba-

eprasa.pl b96b151b81

czy, jak wygląda Brudziński. Pamiętam go sprzed siedmiu lat – normalny, szczupły, fajny facet, nawet się potrafił ubrać" – mówił i ciągnął: „Im się jakieś geny pozmieniały w ciągu tych ośmiu lat rządzenia. I tylko ścisła dieta, szczególnie odpiłowanie od publicznych stanowisk, może im pomóc". Rządzenie niesie z sobą liczne koszta, ale opozycyjność – jak widać – znacznie większe. Zwłaszcza kulturowe.



Nitras wprowadził do debaty ważny wątek: pytanie, czy premierem ma być Tusk, czy też Sikorski. „Mamy szerszą ławkę i doświadczenie jest po naszej stronie. Gdy lewica próbuje nas czasami atakować, to ona nie przedstawia własnych propozycji, tylko krytykuje nasze. My mamy dylemat, kto będzie premierem, bo są Donald Tusk – siedmioletni premier, były szef Rady Europejskiej, oraz Rafał Trzaskowski. Wydaje mi się, że ta nasza ławka, nie tylko jeśli chodzi o tych dwóch panów, jest znacznie szersza i mamy doświadczenie znacznie większe niż nasi partnerzy, i to budzi zawiść". Tusk nie zapomni, Trzaskowski nie obroni. I kto wie, może zanim on opiłuje katolików, to jego odpiłują?



I jeszcze jeden cytat z wypowiedzi posła Platformy: „Zrobiło na mnie wrażenie zachowanie prezydenta Dudy w stosunku do Donalda Tuska. Mógł przejść, minąć go, a jednak się przywitał. Zachował się po amerykańsku. Kaczyński i Morawiecki mimo Bidena nie podaliby ręki". Życie dopisało do tej opowieści piękna puentę. Oto media obiegło nagranie scenki z Arkad Kubickiego, gdzie przemawiał Biden. Widzimy Jarosława Kaczyńskiego witającego się z parlamentarzystami. I widzimy także senatora KO Bogdana Klicha, który w odróżnieniu od pozostałych polityków nie podaje ręki liderowi partii rządzącej. Później Klich tłumaczył, że nie zauważył gestu lidera PiS, ponieważ był duży harmider, ale nie brzmi to wiarygodnie. Może więc Nitras zacznie naprawę świata od swoich kolegów z partii?



W spotkaniu z prezydentem Bidenem wziął udział Bart Staszewski, aktywista znany z rozpropagowania w świecie fałszywego twierdzenia o rzekomych strefach wolnych od LGBT w naszym kraju. Kto go zaprosił? Ambasada USA. „Od kilku lat biorę udział w amerykańskich programach szkoleniowych. […] Wszystkie te umiejętności, które rozwijam dzięki tego typu programom, wykorzystuję w swojej pracy aktywistycznej. Ambasador USA Mark Brzezinski wielokrotnie wypowiadał się na temat tego, że osoby LGBT+ mają wsparcie Stanów Zjednoczonych. I tak odebrałem zaproszenie ambasady na wystąpienie prezydenta. To gest wobec naszej społeczności, sygnał dla polskiej klasy politycznej – ministrów, marszałków, obecnego i byłych premierów – że na evencie, gdzie gospodarzem jest Joe Biden, jesteśmy im równi. Nie zmienia to rzecz jasna faktu, że byłem solą w oku polityków Zjednoczonej Prawicy, którzy nie chcieli mnie tam widzieć. Westchnienie ministra vel Sęka »o, Jezu« na mój widok mówi samo za siebie". O nie, aktywiści LGBT+ nie są równi ministrom. Ale sądzą, że kostium rzekomych ofiar daje im immunitet.



To właśnie Staszewski przedstawił nagranie, na którym – jak twierdzi – słychać, jak po przemówieniu Bidena prezes PiS mówi: „Nic nie powiedział" – w domyśle prezydent USA. Problem w tym, że większość osób usłyszała jednak co innego, a konkretnie zdanie: „Nic nie powiedziałem". Ci drudzy mają rację, ale nawet gdyby nie mieli, to burza rozpętana wokół tej sprawy przez media opozycyjne potwierdza, jak mocno III RP przeżyła wizytę Bidena. A Staszewski pokazuje, że ze szkoleń wiele wyniósł, ale są to umiejętności bardzo specyficzne i związane z inną dyscypliną niż ta, którą oficjalnie zajmuje się ten aktywista.

W polityce krajowej Tusk wciąż eksploatuje temat (uzasadnionego) wsparcia polskich (a nie globalistycznych i lewackich) organizacji pozarządowych. „Ośmiornica – innego zdania tutaj nie znajduję. […] Wszystko, co ich łączy, to PiS i gigantyczna pazerność na pieniądze" – grzmiał lider PO. Rzeczywiście, PiS zdobył „gigantyczne pieniądze" – ale oddał je Polakom. Tusk ciągnął: „Cela plus będzie jeszcze lepiej przygotowanym programem dla osób, które w tak bezprzykładny i świetnie zorganizowany sposób zbudowały ten system dojenia państwa". Do kogo miałby być adresowany taki program? „Do wszystkich, którzy odpowiadają za te ewidentnie korupcyjne zachowania". Może to i dobry pomysł, by po kolejnych wyborach – wygranych przez PiS – wrócić do pewnych spraw z okresu rządów PO?

Wizyta Bidena tylko na chwilę przygasiła trwającą walkę o mięso. Padają nowe argumenty. Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej" kilka dni temu ujęła to tak: „Wszystkim wielbicielom kotletów przypominamy: dziś Środa Popielcowa, lewackie święto bez mięsa. Generalnie Jezus Chrystus był lewakiem i przyzna to każdy, kto dojrzy najistotniejsze przesłanie Ewangelii". Nie, Jezus nie był lewakiem. Lewica to ewangelia wynaturzona, zawsze związana z przemocą i kłamstwem. To prawda, Jezus był ponad nasze podziały, ale to nie przypadek, że jego wyznawcy przez wieki raczej w łagodnie ewoluującym konserwatyzmie widzieli najlepszą drogę do dobrego, chrześcijańskiego życia na ziemi. Z krajów, gdzie lewacy wcielili w życie swoje ideały, zazwyczaj blisko do piekła.

Fot. Fratria, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl b96b151b81

Pasztet z szerszenia



KRZYSZTOF FEUSETTE

Warszawa, Federacja Polska Unii Europejskiej, Dzień Człowieka Karpia, imieniny Barany, Idiota i Szmatosława, wigilia nadejścia zimy, roku bezpańskiego 2029.

Przepraszam, mój elektroniczny pamiętniczku, że dawno nie pisałem, ale dobrze wiesz, iż ślad węglowy laptopa jest większy niż w przypadku rozmowy sześciu osób w zatłoczonym tramwaju, więc nie mogę wyjmować go zbyt często. Z tym śladem to jest w ogóle ciekawa historia, że tyle trzeba się nalatać, by przekonać innych, jak bardzo latanie jest szkodliwe. U mnie po staremu, tzn. po nowemu. Schudłem kolejne sześć kilo, bo na tych chrabąszczach człowiek raczej nie przybierze, a po pasikonikach mam zgagę. Wczoraj znowu od czwartej w kolejce po gacie. A i to w towarzystwie zawistnych spojrzeń, że człowiek ma w ogóle po co stać. Kolegi szwagier stryja żony jego siostry ciotecznej akurat robi w gaciach (dosłownie i w przenośni, bo ryzyko wpadki jest ogromne) i on te kartki załatwił. Śmiesznie, bo sam akurat gaci nie używa, woli – mówi – mieć dwie czapki, ponieważ gubi. Przypomniało mi się, że muszę w styczniu rękawiczkę dokupić, żeby się urząd nie przypieprzył. Jak masz jedną skarpetkę albo rękawiczkę, od razu jest pukanie i węszenie, komu kartkę na drugą opchnąłeś i za ile. Uciekać nie ma po co, bo zanim taksówka przyjedzie, to musi się podładować, a kontrolerzy jeżdżą benzyniakami.

Ze staniem wyszło tradycyjnie, gaci nie rzucili, za to były garsonki, więc wziąłem na spółkę z jedną panią. Ona też nie dla siebie, ale zna gościa, którego żona dałaby się za ciuchy pokrajać, a on jest rzeźnik, więc stanęło na pół kilo mortadeli dla każdego. Lodówka wprawdzie nie działa, a nowej kupić jeszcze przez dwa lata nie mogę, ale na szczęście ocieplenie jest opóźnione i mróz chwycił taki, że ręce do klamek przymarzają. W każdym razie bez szalika ciężko. Całą okolicę ogłoszeniami oblepiłem, ale nadziei raczej nie ma, bo kto dziś odda znalezioną odzież? W wypożyczalni na osiedlu dwa zostały, z Barbie i „Krainą Lodu", zanim się namyśliłem, facet podbiegł, zapłacił dolarami i jeszcze walizkę miał na kółkach, więc pewnie samolotami lata. Ile ja bym musiał wystawić zaświadczeń o chrząszczofobii, żeby polecieć choćby do Rzeszowa? Skąd ludzie biorą na takie fanaberie? Podobno syn jakiegoś biznesmena wymyślił sobie lot do Nowego Jorku, i to w obie strony. Wyliczyli mu, że mógłby za to kupić po sajgonce dla każdego Chińczyka. No, ale Azjaci jedzą, co chcą, więc nie ma co tych światów porównywać. Trzeba mieć nadzieję, że kiedyś i do nich dotrze refleksja, że aby ocalić planetę, musimy cofnąć się do czasów, gdy ludzie potrafili ogrzać się zwykłym ogniem, a za całe odzienie służyły skóry upolowanych i był to przedział na pewno mniejszy niż obecne osiem sztuk odzieży na rok. To były wspaniałe czasy dla planety, tyle że mięso można było jeść do woli, a dziś wiemy już, jakie to jest tragiczne dla mięsa. Aż sobie trudno wyobrazić, że jeszcze w 2023 r. ludzie jedli pszczeli miód, mleko, masło, sery, mięso, o wędlinach nie wspominając. Prababcia mi na Fejsie opowiadała, że kiedyś nawet, jak mięsa nie było, to się od chłopa brało. No, ale to było za komunizmu, który ludzi mordował, prześladował i niszczył. A my musimy ich ratować. Przed nimi samymi. Trzeba nareszcie zrozumieć, że jak nie będzie planety, to nie będzie człowieka jako takiego, chyba że wywalonego w kosmos, a planeta jako taka bez człowieka świetnie sobie poradzi. Kto wie, czy to właśnie nie będzie ostatecznym rozwiązaniem?

Oczywiście planeta nie może pozostać zupełnie bez ludzi, bo kto by ją wtedy bronił przed globalnym ociepleniem? Kto broniłby owady przed potworną nagonką, o której „Gazeta Wyborcza" pisała już w 2023 r.? To wtedy zaczęło się gadanie, że chrabąszcze są gorsze od wołowiny. „Niby w czym?" – odpowiedzieli ludzie jedzący chrabąszcze. Że mleka nie dają? Do dziś trwa dyskusja, czy konsumpcję owadziego mięsa można dopisać do wegetarianizmu. Inna sprawa, że aby dostać teraz dobrą żywność, to trzeba czytać ogłoszenia w necie. Proszę bardzo: „Oddam dwa chrząszcze wolnodojrzewające i mrówkę w barbecue (sama wlazła!) za pół szerszenia na rosół albo kartkę na buty dla dziecka". „Kaszanka z komarów, wczoraj bite. W rozliczeniu chętnie sweter damski, kolor nie gra roli". „Karaluchy z wolnego wybiegu, tylko poważne oferty". I pomyśleć tylko, że kiedyś karaluch w kuchni to było coś wstydliwego.

A gdyby ktoś w przyszłości czy przeszłości miał wątpliwości, czy ludziom na pewno żyje się lepiej dziś, w nowym, wspaniałym świecie, niż – dajmy na to – w 2023 r., kiedy śmiano się jeszcze z planów ratowania planety kosztem człowieka – ten niech wie, że będziemy wkrótce jeszcze szczęśliwsi. Bo tam, gdzie jest zakaz czegoś, co już było, rodzi się mafia jak w USA po wprowadzeniu prohibicji. Bo podobno tylko jedna (słownie: jedna) firma w Unii Europejskiej mogła natychmiast po dopuszczeniu do obrotu prażonych chrząszczy, świerszczy i pasikoników handlować nimi od zaraz. Bo o nagonce na owady opowiadali „GW" ludzie, którzy ze sprzedaży grillowanych, marynowanych, smażonych i kandyzowanych insektów żyją. I wiesz co, pamiętniczku? Powiem ci na koniec, żeby sobie trochę śladu węglowego na toaletę zostawić – że ten, kto wtedy, w 2023 r., przysnął, czyli jak się kiedyś mawiało, uderzył w komara, ten obudził się z nim na talerzu. Kończę, bo zaraz 18.00, więc wyłączają prąd. I tak w wigilię o dwie godziny przedłużyli. Święto jest święto.

eprasa.pl b96b151b81

Śmiesznie, śmieszniej, opozycja

Sama relacja Trzaskowskiego ze spotkania z prezydentem USA przedstawiona w rozmowie z TVN24 trwała wielokrotnie dłużej niż samo spotkanie

Czy są gdzieś granice śmieszności czołowych polityków opozycji? Szumnie zapowiadane przez sprzyjających im dziennikarzy oraz samych polityków (np. Radosława Sikorskiego) rozmowy Donalda Tuska czy Rafała Trzaskowskiego z prezydentem USA Joe Bidenem trwały raptem kilkadziesiąt sekund. Co do tego nie mają wątpliwości świadkowie tych rozmów, którzy chętnie dzielili się swoimi spostrzeżeniami na Twitterze i w mediach.

„Po tym przemówieniu [Joe Bidena na Zamku Królewskim – przyp. red.] właśnie odbyło się jeszcze bezpośrednie spotkanie z premierem Morawieckim, które trwało 20–30 minut. I później rzeczywiście była pewna grupa, kolejka osób ustawionych do wspólnego zdjęcia, tak się akurat składa, że ja również w tej grupie się znalazłem, tak protokół amerykański nas tam ustawiał. Wyglądało to w taki sposób, że stał prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, Donald Tusk, mnie ustawiono dokładnie za Donaldem Tuskiem, przed marszałkiem Grodzkim, ja przepuściłem marszałka Grodzkiego – relacjonował Paweł Jabłoński w TVP Info. – Każdy podchodził, chwila rozmowy, 20–30 sekund, uściśnięcie dłoni. Oczywiście to jest wielki zaszczyt i ja też się bardzo cieszę, że miałem okazję porozmawiać chwilę z prezydentem Stanów Zjednoczonych o inicjatywie Trójmorza, bo to jest niezwykle ważna rzecz, ale jakbym twierdził, że miałem wczoraj jakieś rozmowy czy niezwykle ważne spotkanie, które było głównym punktem, tobym się trochę ośmieszał. Myślę, że trzeba zachować pewną powagę" – relacjonował minister.

Tymczasem sama relacja Rafała Trzaskowskiego z owego spotkania z prezydentem Stanów Zjednoczonych przedstawiona w rozmowie z TVN24 trwała wielokrotnie dłużej niż samo spotkanie. Niektórzy politycy PO, np. Kinga Gajewska, posunęli się nawet do tego, by wrzucić do sieci zdjęcia Donalda Tuska z Joe Bidenem z 2014 r., sugerujące, że to 2023 r. Te dyskusje, przekomarzania i przepychanki czołowych polityków PO wokół spotkania z prezydentem USA musiał wymyślić jakiś mało doświadczony PR-owiec, bo wyszło po prostu żenująco. Wszystko bardziej przypominało politykę w krótkich spodenkach spod znaku Borysa Budki. Gdyby taka opozycja nie istniała, to PiS musiałby ją wymyślić.



To wszystko jednak pokazuje, że opozycja ma z wydarzeniami ostatnich dni spory problem. Nie ma wątpliwości, że ta wizyta i przemówienie, obrazki powiewających polskich, amerykańskich i ukraińskie flag mogą być jednym z kluczowych motywów kampanii. Zapewne w kontrze do pogawędki Radosława Sikorskiego z Siergiejem Ławrowem na balkonie czy spaceru Donalda Tuska z prezydentem Władimirem Putinem po sopockim molo. Bezpieczeństwo to dla Polaków jeden z ważniejszych – obok zawartości portfeli – tematów i ono może być motorem kampanii. Choć oczywiście nie o wybory w tych dniach chodziło, ale o przyszłość kontynentu i światowy ład.

Światowe media nie miały wątpliwości, że prezydent USA nieprzypadkowo wybrał Warszawę na miejsce swojej wizyty. Nie brakowało także komentarzy o rosnącym znaczeniu Polski na arenie międzynarodowej. Francuski dziennik „Le Figaro" donosił, że jednym z celów Warszawy jest „stworzenie dynamicznego regionu w Europie Wschodniej, zdolnego do narzucenia mniej naiwnego niż Berlin i Paryż podejścia do bezpieczeństwa wobec Moskwy", a portal niemieckiego dziennika „Welt" informował: „Wizyta na wschodniej flance NATO pokazuje, że prezydent USA dostrzega zmieniony układ sił w UE. W drodze do Polski po prostu przeleciał nad Paryżem i Berlinem. [...] Dziś Polska jest jednym z najważniejszych sojuszników dla USA".

Dziś widać, kto miał rację (i nie był to Radosław Sikorski, mówiący o robieniu laski Amerykanom i murzyńskości) i ile dla Polski znaczy silny sojusz z USA. Nie mam jednak wątpliwości, że na potrzeby kampanii politycy PO zrobią wszystko, by umniejszyć znaczenie tego sojuszu, polityki zagranicznej Polski, jej wsparcia Ukrainy i zmieniającego się układu sił w UE. Bo dla nich nie ma znaczenia racja stanu. Chcą tylko odsunięcia PiS od władzy. A po co? Tego nawet oni sami nie umieją powiedzieć.

Dorota Łosiewicz



Kościół pobłogosławi grzech

Ksieża Kościoła Anglii będą mogli błogosławić małżeństwa cywilne par tej samej płci. Pierwsze tego rodzaju ceremonie odbędą się prawdopodobnie latem br. Choć definicja małżeństwa, stwierdzająca, że jest ono związkiem mężczyzny i kobiety, pozostała niezmieniona, to przez głosowanie uczyniono poważny krok do obalenia tradycyjnego nauczania o małżeństwie. Wcześniej taką decyzję podjęły anglikańskie wspólnoty z USA, Kanady, Brazylii, Nowej Zelandii, Szkocji i Walii.

W Anglii decyzja została podjęta podczas obrad Synodu Generalnego w stosunku 250 za, przy 181 głosach przeciwnych. Poparli ją głównie biskupi i duchowieństwo, a świeckich sprawa podzieliła niemal na pół. Kościół przeprosi też za krzywdy wyrządzone „chrześcijanom LGBT+". Justin Welby – arcybiskup Canterbury, a zarazem głowa wspólnoty anglikańskiej, i Stephen Cottrell, arcybiskup Yorku, wyrazili nadzieję, że decyzja jest nowym początkiem dla Kościoła Anglii. Jednocześnie przyznawali, że są zobowiązani do szanowania sumienia tych, dla których sprawy idą za daleko.

Kościół anglikański dokonuje własnego samobójstwa pod presją. Z jednej strony homoseksualnego lobby, którego działacze żądają uznania równości małżeństw. Z drugiej – polityków. Abp Welby ujawnił bowiem, że w sprawie małżeństw był wzywany do parlamentu brytyjskiego, w którym miał odpowiedzieć, że posłuszeństwo Bogu wyprzedza lojalność wobec kraju, co zostało źle przyjęte.

Jednak Kościoły, głównie z Afryki, postawiły sprawę jasno, oświadczając, że nowe stanowisko Kościoła Anglii jest odrzuceniem prawdy o małżeństwie i błogosławieństwem grzechu. Afrykańscy duchowni przestrzegli przed rozpadem wspólnoty anglikańskiej i zapowiedzieli, że w obecnej sytuacji będą chcieli przejąć w niej dominującą rolę.

Ale to nie koniec problemów. Kościół anglikański rozważa też, czy przestać odnosić się do Boga w rodzaju męskim. Podobno na prośbę księży domagających się używania terminów neutralnych pod względem płci. Nie jest jasne, co dalej z modlitwą „Ojcze nasz", którą Jezus polecił odmawiać do Boga Ojca. Krytycy rewolucji językowej nie mają oczywiście wątpliwości, że oznaczałoby to definitywne porzucenie chrześcijaństwa przez Kościół anglikański. Sprawę więc ma ocenić specjalna komisja. Oczywiście również w tym przypadku decydujący głos ma synod zgodnie ze strategią: najpierw oswajanie z problemem, łamanie konserwatywnego oporu, a potem stopniowe wprowadzanie w życie w ramach demokratycznej procedury.

Maciej Walaszczyk

Fot. Roger Harris



Przeciw cyfrowej walucie

Szwajcarski Ruch Wolności zebrał ponad 157 tys. podpisów pod petycją w sprawie rozpisania referendum dotyczącego zachowania gotówki w rozliczeniach pieniężnych. Tamtejsze prawo przewiduje, że inicjatywa obywatelska musi zgromadzić co najmniej 100 tys. podpisów, by taki plebiscyt doszedł do skutku. Wkrótce więc w kraju Helwetów odbędzie się referendum, którego wyniki będą wiążące dla rządu i parlamentu.

Inicjatorzy przedsięwzięcia argumentują, że operowanie gotówką dotyczy nie tylko kwestii przejrzystości, prostoty czy bezpieczeństwa. Ich zdaniem całkowite przejście na obieg bezgotówkowy niesie z sobą niebezpieczeństwo totalitarnej inwigilacji. Poza tym człowiek, który ma w kieszeni banknoty i monety, jest panem swoich pieniędzy, z kolei panem karty elektronicznej pozostaje bank.

Choć Szwajcaria nie należy do strefy euro, inicjatorzy referendum twierdzą, że jest ona „latarnią morską dla całej Europy". Wprawdzie Europejski Bank Centralny we Frankfurcie nad Menem kilka razy zapewniał, iż nie zamierza likwidować gotówki, to jednak działacze Szwajcarskiego Ruchu Wolności nie wierzą unijnym bankierom i urzędnikom. Boją się rozciągnięcia unijnych rozwiązań na swój kraj.

Czynnikiem, który miał wpływ na zbieranie podpisów pod wnioskiem referendalnym, są zapowiedzi wprowadzenia w Europie systemu CBDC, czyli pieniądza cyfrowego banku centralnego. Jego innowacyjność polega na tym, że byłby to pieniądz elektroniczny emitowany bezpośrednio przez bank centralny. Zdaniem krytyków tego systemu oznaczałoby to poddanie zwykłego obywatela potężnej władzy banku.

Dla unijnych elit wynik referendum będzie ważnym barometrem nastrojów w Europie. Jeśli przyniesie ono zwycięstwo zwolennikom zachowania gotówki, wówczas trudniej będzie narzucić monopol pieniądza cyfrowego w strefie euro.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b96b151b81



Holandia

Inwazja agentów

Holenderski wywiad wojskowy ostrzega przed rosyjską dywersją na Morzu Północnym. Według opublikowanego tydzień temu raportu Rosjanie od kilku miesięcy prowadzili działania wokół farm wiatrowych, gazociągów oraz podwodnych instalacji takich jak kable telekomunikacyjne i energetyczne. Wykryto m.in. rosyjski statek, który próbował wyśledzić dokładny przebieg holenderskiej infrastruktury energetycznej. Podobne działania Moskwa prowadziła także w sąsiedniej Belgii, gdzie również zauważono obecność rosyjskich statków mapujących tamtejszą infrastrukturę krytyczną.

Bogate w surowce akweny Morza Północnego oraz Norweskiego są od dawna celem rosyjskich szpiegów. Ich działania wskazują na to, że Moskwa może szykować się do operacji sabotażowych uderzających w bezpieczeństwo energetyczne Europy. Jesienią 2022 r. wielokrotnie obserwowano loty niezidentyfikowanych dronów nad norweskimi platformami wydobywczymi. Wokół nich kręciły się też rosyjskie statki „badawcze". Zatrzymano kilku Rosjan wykonujących zdjęcia norweskich instalacji z dronów. Wśród nich znalazł się Andriej Jakunin, syn byłego prezesa Kolei Rosyjskich i zarazem wpływowego urzędnika z bliskiego otoczenia Putina. W odpowiedzi Norwegia podniosła stan gotowości w swoich siłach zbrojnych. Podobne działania zapowiada teraz Holandia, apelując jednocześnie do operatorów instalacji energetycznych o zwiększenie środków bezpieczeństwa. Z kraju wydalono też 10 rosyjskich dyplomatów i zamknięto rosyjskie biuro handlowe w Amsterdamie. Jak wyjaśnił holenderski szef dyplomacji Wopke Hoekstra, jest to odpowiedź na wykorzystywanie przez Moskwę swojej ambasady do działań szpiegowskich.

O rosnącej aktywności Moskwy świadczą coraz częstsze przypadki ujawnienia niebezpiecznych agentów. Niedawno w Szwecji skazano Irańczyków – dwóch braci pracujących w wywiadzie. Obaj przez 10 lat przekazywali wrażliwe dane do centrali GRU. Szczegółów brak, ale musiała to być działalność na wyjątkowo dużą skalę, skoro starszy z braci został skazany na dożywocie. Jeden ze szwedzkich ekspertów ocenił, że spustoszenia, których dokonali w służbach, są prawdopodobnie największe w najnowszej historii Szwecji.

Drugi głośny przypadek to Carsten Linke, który pracował w niemieckim wywiadzie BND. Pełniąc wysoką funkcję w dziale rozpoznania technicznego, miał on dostęp do danych lokalizacyjnych wyrzutni HIMARS na Ukrainie, które przekazywał do Moskwy. Jemu także grozi dożywocie. Oczywiście nikt nie ma wątpliwości, że niewykrytych agentów jest więcej. Pytanie tylko, ilu ich jest?

Konrad Kołodziejski



Gruzja

Coraz dalej do Zachodu

Salome Zurabiszwili, prezydent Gruzji, powiedziała, że ustawa o zagranicznych agentach, którą w parlamencie złożyli deputowani formacji Władza Narodu, powstałej jako secesja z rządzącej krajem partii Gruzińskie Marzenie, „przybliża nas do standardów Rosji, a nie Unii Europejskiej". Wcześniej projekt ustawy, wzorowanej zarówno na rosyjskich, jak i na węgierskich regulacjach, skrytykowali posłowie opozycji, dziennikarze, przedstawiciele Departamentu Stanu i amerykańscy senatorowie, którzy odwiedzili niedawno Tbilisi. Specjalną uchwałę krytykującą politykę Gruzińskiego Marzenia i rolę odgrywaną przez Bidzinę Iwaniszwilego, oligarchę, założyciela i nieformalnego lidera tej formacji, przyjął Parlament Europejski, a oficjalny protest Komisji Europejskiej zablokowało weto Budapesztu.

W świetle proponowanej ustawy organizacje pozarządowe i media działające w Gruzji, które otrzymują zagraniczne finansowanie, byłyby zmuszone do ujawnienia tego faktu oraz zostałyby wpisane do jawnego rejestru zagranicznych agentów. Podobne regulacje zostały przyjęte na Węgrzech, a Guram Maczaraszwili, jeden z liderów formacji, która wniosła projekt, i jego autor dowodził, że celem proponowanej ustawy nie jest ograniczanie swobody organizacji pozarządowych i mediów, ale przejrzystość finansowa instytucji aktywnych w sferze publicznej.

Zdaniem opozycji intencje wnioskodawców są jednak inne – chodzi o to, by zapowiadana na koniec lutego wizyta przedstawicieli Brukseli, którzy mają ocenić zaawansowanie reform w Gruzji i zdecydować o przyznaniu jej statusu kandydackiego, zakończyła się fiaskiem. Wówczas mogłaby się oddalić perspektywa członkostwa Gruzji w Unii Europejskiej, a kontrolowany przez Gruzińskie Marzenie rząd mógłby kontynuować politykę balansowania między Zachodem, Rosją i Turcją. Innym punktem sporu między Tbilisi a Brukselą jest też los więzionego i chorującego, a zdaniem opozycji celowo zatruwanego byłego prezydenta Micheila Saakaszwilego.

Jeszcze w listopadzie ub.r. Karen Donfried, zastępczyni amerykańskiego sekretarza stanu, zauważyła, że Gruzja znalazła się w demokratycznym regresie. Postawa Tbilisi wobec wojny na Ukrainie, czerpanie zysków z omijania antyrosyjskich sankcji, szykanowanie i odmawianie prawidłowego leczenia Saakaszwilemu, a teraz projekt ustawy o zagranicznych agentach potwierdzają tę diagnozę i opóźniają – jeśli nie zamykają – Gruzji drogę do Unii Europejskiej.

Marek Budzisz

eprasa.pl b96b151b81

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Delegalizacja Związku Sowieckiego



Jan Pietrzak

Z jakiegoś niejasnego powodu przypomniał mi się prezydent Ronald Reagan. W historycznym momencie, kiedy pod wpływem polskiej Solidarności runął mur berliński i padała żelazna kurtyna, podczas ważnej konferencji prasowej zapytano go, jak sobie wyobraża dalszą konfrontację ze Związkiem Sowieckim. Co będzie po zimnej wojnie? „To proste – odparł Reagan. – Oni przegrywają, my wygrywamy". I tak się stało.

Formalnie biorąc, ZSRS rozwiązał się sam w 1991 r., kiedy to szefowie Rosji, Ukrainy, Białorusi: Jelcyn, Krawczuk i Szuszkiewicz, po naradach w białowieskiej bani, czyli saunie, mocno rozgrzani wzięli na odwagę. Ogłosili, że ich państwa stają się niepodległe, a skoro tak, to Związku Sowieckiego już nie ma. Zrobili to na złość Gorbaczowowi, który ciut wcześniej został pierwszym prezydentem ZSRS. Ponieważ mimo puczu nie potrafili mu odebrać tego stanowiska, odebrali mu państwo. Ciekawy chwyt, godny przypomnienia w obecnej napiętej sytuacji.

Kilka lat wcześniej, w 1984 r., prezydent Reagan zaserwował na ten temat niezły żarcik. Nagrywając ze swojego Rancho del Cielo wypowiedź dla radia, powiedział tak: „Rodacy, Amerykanie, miło mi oznajmić, że podpisałem ustawę delegalizującą po wieczne czasy Związek Sowiecki. Za pięć minut rozpoczynamy bombardowanie". Po chwili paniki wśród radiowego personelu, okazało się, że to była jedynie próba mikrofonu. Zamiast rutynowego odliczania cyfr prezydent jako wytrawny estradowiec coś palnął. Wesoły gość, któremu nieobca była również autoironia. „Wydałem rozkaz, by budzono mnie zawsze, gdy zagrożone jest bezpieczeństwo narodowe. Nawet kiedy jestem na obradach gabinetu".

Przepraszam młodzież, że sięgam w tak odległe czasy, ale niektóre powiedzonka po prostu są ponadczasowe. Np.: „Zauważyłem, że wszyscy, którzy są za aborcją, zdążyli się urodzić", „Ciężka praca jeszcze nikomu nie zaszkodziła, ale po co ryzykować?". Tą myślą kończę ciężką pracę felietonisty i oddaję się pracy kabareciarza, która choć lekka, miła i przyjemna, jest równie ryzykowna.

Najbliższy występ w Warszawie pt. „Dziękuję ci, Polsko" 5 marca, godz. 17.00, Dobre Miejsce – Katolickie Centrum Kultury, ul. Dewajtis 3



Dominik Zdort

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Kali z Oksfordu

Roald Dahl to postać ciekawa. Jako pilot RAF walczył w czasie II wojny światowej m.in. w Afryce i Grecji. Po wojnie został attaché wojskowym, a faktycznie brytyjskim szpiegiem w USA (do Ameryki dotarł na pokładzie polskiego transatlantyku Batory).

Sławę przyniosły mu film i literatura. Jego książki sprzedały się w nakładzie ćwierć miliarda egzemplarzy. Był autorem scenariusza piątego, oficjalnego bonda „Żyje się dwa razy", a także tak znanych książek dla dzieci jak „Charlie i fabryka czekolady" czy „Fantastyczny pan Lis". Media określały go jako „Szekspira literatury dziecięcej". Jego twórczość uwielbiali m.in. reżyserzy Tim Burton i Steven Spielberg, aktorka Scarlett Johansson oraz pisarka J.K. Rowling. Choć dziś pewnie niechętnie by się do tego przyznawali.

Problem z Dahlem jest taki, iż był on nieodrodnym dzieckiem swojej epoki. Gdy nadeszły czasy terroru politycznej poprawności, oskarżono go o mizoginię, rasizm i antysemityzm – dlatego przed ośmioma laty brytyjska Mennica Królewska odmówiła wyemitowania monety upamiętniającej 100. rocznicę urodzin pisarza, a przed dwoma laty jego spadkobierców zmuszono do publicznych przeprosin za twórczość antenata.

Na tym się jednak nie skończyło. Najnowsze wydania książek Roalda Dahla zostały – dosłownie – ocenzurowane, i to w setkach miejsc. Jedna z postaci przestała być „gruba", a stała się „ogromna", trzej synowie pana Lisa stali się córkami, z opisu jednej z kobiet wykreślono, iż jest „przerażająco brzydka", z frazy „dziwny afrykański język" wykreślono słowo „dziwny". Autorowi podopisywano fragmenty, np. tam, gdzie stwierdzał, że czarownice są łyse pod perukami, dodano: „jest mnóstwo innych powodów, dla których kobiety mogą nosić peruki i z pewnością nie ma w tym nic złego".

Takie praktyki trzeba określić wprost: to barbarzyństwo. W imię współczesnych przesądów niszczy się dzieła literackie. A wszystko to za zgodą potomków pisarza. Którym pewnie dano do wyboru: albo zgodzicie się na te cięcia, albo koniec z kolejnymi wydaniami. I z dochodami z praw autorskich.

Skoro u „Szekspira dla dzieci" już dokonano cenzury, teraz czas na dzieła samego Williama. A w Polsce doczekamy się pewnie nowego wydania – już krytykowanej – powieści „W pustyni i w puszczy". Niemoralny Kali będzie teraz białym absolwentem Oksfordu, a urocza, jasnowłosa Nel starą Murzynką.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

Reklama | 10/0223/F

eprasa.pl b96b151b81

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Zielona Kopalnia KGHM w Chile



Sierra Gorda 100% energii z OZE

Sierra Gorda to jedna z pierwszych kopalni na świecie w pełni zasilana energią pochodzącą ze źródeł odnawialnych. Polski koncern KGHM to siódmy na świecie producent miedzi i drugi na świecie producent srebra.

eprasa.pl b96b151b81

BRONISŁAW WILDSTEIN

Modlitwa czy terapia

Biskup Edward Dajczak z powodu depresji na rok przed emeryturą odszedł z urzędu. Spotkał się z powszechnym zrozumieniem, a nawet podziwem, i to ze strony zarówno duchownych, jak i świeckich. Właściwie stał się bohaterem, bo za bohaterstwo uznaje się dzisiaj nie walkę ze słabością, ale jej obnoszenie. Nie oskarżam o to biskupa, choć kiedy czytam jego deklaracje, że sprawę mógłby ukryć, ale wolał stanąć w prawdzie, budzą się we mnie wątpliwości.

Szczujne redakcje Onetu, „Wyborczej" czy „Polityki" usiłowały wytropić krytykę Dajczaka ze strony duchowieństwa, by przedstawić ją jako wyraz bezduszności i obskurantyzmu polskiego kleru. Ponieważ nic takiego nie zaszło, zlepiły sprawę Dajczaka z piętnowaniem przez abp. Gądeckiego „deficytu wiary", który prowadzi do „narcystycznego egoizmu". „Wówczas pojawia się szukanie psychologii, psychoterapii czy też sportów mających zapewnić dobre samopoczucie".

Sprawy zostały połączone tytułami w rodzaju: „Bp Dajczak rezygnuje z powodu depresji. Abp Gądecki drwi z psychoterapii". Czytelnicy mieli to zrozumieć jako szyderstwo poznańskiego hierarchy z chorego.

Manipulacja wywołała popłoch u duchownych, którzy tłumaczyli, że Gądecki nie powinien tego mówić, gdyż Kościół respektuje naukę. Czy psychoterapia jest nauką, można mieć wątpliwości. Psychologia jest nauką w ograniczonym sensie, ale jest z pewnością doskonale funkcjonującym przemysłem, którego psychoterapia stanowi istotną odnogę. Po to by działała, trzeba w nią wierzyć, bo w ogóle wierzyć w coś trzeba, np. w naukę, co przychodzi tym łatwiej, im mniej na jej temat wiemy.

Depresja jest stara jak (ludzki) świat. Hipokrates opisywał czarną żółć jako źródło melancholii, która – biorąc pod uwagę objawy – stanowiła odpowiednik depresji. „Wszystko jest marnością" – po wielekroć deklaruje Kohelet.

Rozpacz wywołaną poczuciem beznadziejności spotykamy we wszystkich kulturach i religiach. I wszędzie jest ona piętnowana jako zło. W tradycji chrześcijańskiej najczęściej nazywana acedią, czyli słabością woli, była uznawana za jeden z grzechów głównych, w tradycyjnych przekładach polskich nazywana lenistwem. Dante obciążonych nim umieszczał w piątym kręgu piekła.

Żyjemy w dobie medykalizacji człowieka. Wady uznajemy za choroby. Erotomania stała się seksoholizmem, karierowiczostwo – pracoholizmem, obłęd posiadania – zakupoholizmem itd.

Choroby nie zależą od nas i zamiast walczyć z przywarami, oddajemy się pod opiekę profesjonalistów, którzy za pomocą farmaceutyków i terapeutycznych obrzędów mają nas doprowadzić do właściwego stanu. Przy okazji gubimy tak fetyszyzowaną wolność i redukujemy się do stanu urządzenia, które dzięki fachowcom ma działać w określony sposób. Farmaceutyczny przemysł zaleca kolejne preparaty na wszelkie psychiczne problemy, a my skwapliwie z tego korzystamy.

Depresja jest symptomem naszych czasów. Ludzie zawsze jednak mieli i mieć będą problemy z sobą i muszą nauczyć się z nimi radzić. Niedojrzali oddają te sprawy w cudze ręce. W infantylnej nowoczesności staje się to wręcz obowiązkiem. Czy już nic nie ma zależeć od naszej woli?

Jeśli jednak depresja ma fizjologiczne przyczyny, wynika z niedoboru konkretnego hormonu albo niedoczynności jakiegoś gruczołu? Materialistyczny obskurantyzm przyjmuje jednokierunkową determinację psychiki przez fizjologię. Czy nie może być na odwrót? Czy relacje te nie są bardziej skomplikowane? W doświadczeniu są nam dane wyłącznie współzależności.

Nie neguję sensu psychiatrii, ale oddanie całej egzystencji człowieka pod nadzór psychologii musi budzić niepokój.

Zawieszając odpowiedź na pytanie: „Czym jest depresja?", z pewnością możemy uznać, że zbyt łatwo staje się ona dzisiaj usprawiedliwieniem i zbyt często zrzucamy nasze kłopoty na choroby. Dajczak, opowiadając o walce z nią, wspomina leki czy terapię. Nie mówi o modlitwie. Jakiś czas temu głośny duchowny intelektualista w wywiadzie prasowym opowiadał o swoim alkoholizmie i biadał, że za późno odwołał się do fachowców. O Bogu nie wspomniał. Czyżby Stwórca nie miał nic do czynienia z ziemskim bytowaniem, jakby nie było swoich kapłanów? Owszem, modlą się, ale wierzą w terapeutów. Trudno zespolić te wiary. Nie sposób pogodzić rozumienia człowieka jako osoby nakierowanej na Boga, traktującej ziemską egzystencję jako zadanie, które postawił przed nami Najwyższy, z wizją maszyny ludzkiej, w której psychologiczni guru regulują kolejne segmenty, by odciążyć ją od stresów. Za terapeutycznymi praktykami jawi się określona antropologia radykalnie odmienna od chrześcijaństwa. Matka Teresa dziesiątki lat szła „ciemną nocą" rozpaczy, nie mogąc odnaleźć Boga, ale nie udała się do terapeuty, tylko modliła i pracowała dla innych.

Dowcipnisie będą kpić, że zamiast aspiryny proponuję modlitwę. Nie, jedno z drugim może współegzystować, problemy psychiczne mają jednak specyficzny charakter, a od kapłanów mamy prawo wymagać nieco hartu.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b96b151b81

Zielone ciepło z PGNiG TERMIKA SA

PGNiG TERMIKA SA planuje kolejne inwestycje zmieniające obraz polskiego ciepłownictwa. W najbliższych latach działania modernizacyjne związane z dekarbonizacją obejmą wszystkie zakłady spółki

Najważniejsze inwestycje dotyczą zasobów spółki produkujących ciepło i energię elektryczną dla aglomeracji warszawskiej. To przede wszystkim największa w UE Elektrociepłownia Siekierki oraz drugi stołeczny zakład Ec Żerań.

Od grudnia 2021 r. pracuje na Żeraniu nowoczesny blok gazowo-parowy o mocy 500 MWt. Jego eksploatacja spowodowała znaczący spadek emisji CO_2 oraz obniżyła udział węgla w miksie paliwowym PGNiG TERMIKA SA.



Fot. Materiały prasowe

Jak mówi wiceprezes zarządu Jarosław Maślany: – Zakład na Żeraniu będzie też poddany dalszym działaniom związanym z budową przyjaznych środowisku źródeł zasilania. Wkrótce powstanie tu największy w Europie akumulator ciepła. W zbiorniku o kształcie walca ma zmieścić się 61 tys. m^3 (61 mln l) wody o maksymalnej temperaturze 98 st. C. Konstrukcja będzie miała 70 m wysokości i 36 m średnicy. Wstępnie zakłada się, że akumulator pozwoli na zmagazynowanie blisko 10 GJ energii cieplnej, co przełoży się na możliwość wyprowadzenia do warszawskiej sieci ciepłowniczej ok. 230 MWt mocy cieplnej. Będzie on współpracował z blokiem gazowo-parowym.

Do pracującej już w tym sezonie grzewczym kotłowni gazowej nr 1 dołączy wkrótce KG 2 o mocy 260 MWt. Działające tu kotły fluidalne, wykorzystujące węgiel, spełniają – podobnie jak inne węglowe instalacje PGNiG TERMIKA SA – wszystkie najostrzejsze normy środowiskowe wymagane dyrektywami BAT.

Oprócz paliw kopalnianych TERMIKA wykorzystuje także biomasę. Została ona wprowadzona na stałe do PGNiG TERMIKA SA w 2016 r., kiedy to uruchomiono w Ec Siekierki specjalny kocioł biomasowy. Wcześniej zdobywano cenne doświadczenie w wykorzystaniu biomasy, współspalając ją w kotłach węglowych.

– Już od niemal roku trwają prace związane z dostosowaniem zakładu Ec Pruszków do wymogów dyrektywy MCP (z ang. Medium Combustion Plants) – mówi Jarosław Maślany. – Dotyczy ona ograniczenia emisji niektórych zanieczyszczeń do powietrza ze średnich obiektów energetycznego spalania. Do takich należy właśnie elektrociepłownia w Pruszkowie. Po zakończeniu prac modernizacyjnych zostanie znacznie zredukowana emisja produktów spalania do atmosfery – dodaje.

Ciepłownia Kawęczyn, będąca ewenementem w skali światowej, jeśli chodzi o zainstalowaną moc cieplną w źródle szczytowym, wynoszącą ponad 465 MWt, to zakład, który także w pespektywie realizacji założeń Europejskiego Zielonego Ładu będzie w najbliższych latach podlegał procesom transformacji zachodzącym w polskim ciepłownictwie. – Obecnie przygotowujemy się do dwóch dużych inwestycji związanych z modernizacją działającej od 1983 r. ciepłowni – mówi Jarosław Maślany, wiceprezes zarządu PGNiG TERMIKA SA. – To doprowadzenie gazociągu oraz budowa kotłowni gazowo-olejowej. Ciepłownia Kawęczyn odchodzi od węgla i stawia na wykorzystanie bardziej ekologicznych paliw, zapewniając docelowo odejście od spalania stałych paliw kopalnych.

Polityka inwestycyjna PGNiG TERMIKA SA wprowadzająca nowe jednostki w ramach modernizacji zakładów to:

- niskoemisyjne źródła energii,
- wytwarzanie ciepła i prądu przy osiąganiu wysokiej efektywności energetycznej procesu,
- krok w kierunku ograniczenia emisji gazów cieplarnianych i eliminacja węgla kamiennego,
- zmniejszenie emisji substancji szkodliwych do atmosfery (ze spalania paliwa gazowego nie powstają zanieczyszczenia, takie jak dwutlenek siarki, pył, metale ciężkie, co wpłynie korzystnie na jakość powietrza),
- zmniejszenie uciążliwości związanych z transportem węgla i ubocznych produktów jego spalania,
- strategiczne przedsięwzięcie mające istotny wpływ na poprawę bezpieczeństwa energetycznego i możliwości zrównoważonego rozwoju Warszawy.

Tymi inwestycjami PGNiG TERMIKA SA udowadnia, że produkcja ciepła i energii elektrycznej jest przyjazna dla środowiska.

Artykuł sponsorowany | 54/0123/F

eprasa.pl b96b151b81



Walizka Dominiki Chorosińskiej

aktorki i posłanki na Sejm IX kadencji

Był taki czas, gdy głównie jeździłam pociągami i potrafiłam codziennie pokonywać trasę Wrocław–Kraków, a to dlatego, że we Wrocławiu miałam próby, a w Krakowie spektakle. To już była taka rutyna, że po próbie we Wrocku wsiadałam w Intercity i jechałam do grodu Kraka. Pewnego dnia wbiegłam w ostatnim momencie na peron i szczęśliwa, że zdążyłam, wskoczyłam do wagonu. Przychodzi konduktor, sprawdza bilety, wszystko dobrze, a ja ucinam sobie drzemkę. Po jakimś czasie się budzę i widzę, że krajobraz za oknem nie jest taki jak zwykle. Mimo że powinniśmy się zbliżać do Katowic, było zbyt zielono. Więc zapytałam konduktora, czy mamy duże opóźnienie i czy nadrobimy do Krakowa. Od tego momentu wszystko działo się już jak w zwolnionym tempie.

Powoli podnoszący głowę konduktor i ze zdumieniem pytający: „Dokąd? My jedziemy do Berlina...". Ponieważ jechałam na mój spektakl, przeżyłam coś na podobieństwo mentalnego zawału. W naszej profesji chyba każdemu aktorowi towarzyszy stres, związany z myślą o spóźnieniu na teatralny występ, gdzie czeka zniecierpliwiona publiczność. To, co się śni artystom w sennych koszmarach, mnie zdarzyło się na jawie. Wysiadłam w Zielonej Górze, ale oczywiście nie było fizycznej możliwości, żeby zdążyć na spektakl, więc go odwołano. To jedna z podróży, której nigdy nie zapomnę. Teraz przemieszczamy się przeważnie samochodem. Do tego stopnia opanowałem szybkość pakowania dzieci, że potrafię – jadąc w góry – zapomnieć o moich górskich butach czy kurtce.

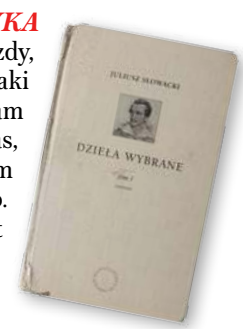


RODZINA

Oprócz całorodzinnych wyjazdów lubimy z mężem podróże podzielone, tzn. ja jadę z dziewczynami, a małżonek z synami. My jeździmy nad Bałtyk, a panowie w góry na męskie, surwiwalowe wyprawy.

KLASYKA

Zdarzają mi się także samodzielne wyjazdy, oczywiście nad moje ukochane morze. Taki wypoczynek trwa krótko, bo zaczynam szybko tęsknić za rodziną, ale jest to czas, który poświęcam klasyce. Uwielbiam m.in. „Dzieła wybrane" Słowackiego. Tam mam swój ukochany poemat dygresyjny poświęcony polskiemu królowi Magadaskaru pt. „Beniowski". Czyta się go jak prawdziwy kryminał.



eprasa.pl b96b151b81





BLUZA

Jestem zmarlakiem i na każdy wyjazd zabieram coś ciepłego. Tu najlepiej sprawdza się bluza moro Wojska Polskiego. Otrzymałam ją z Ministerstwa Obrony Narodowej, kiedy byłam ambasadorką programu Samoobrona Kobiet. Program obejmował 39 miast i kobiety miały 10 darmowych kilkugodzinnych szkoleń. Dla mnie to jest bardzo ważne zwłaszcza jako matki, która chce zapewnić dzieciom bezpieczeństwo.



PERFUMY

Zapach jest częścią mnie i bez niego nigdzie nie wychodzę. Lubię perfumy niszowe, a moje obecne to Cacao Azteque.



TERMOS

Jesteśmy herbaciarzami, dlatego termos zajmuje w walizce główne miejsce. Herbatę zawsze parzył mój mąż, ale uczeń prześcignął mistrza i teraz ten napój z miodem przygotowuje nasza córka Matylda.



HISTORIA

Nadrabiam też zaległości historyczne. Na jednym z wyjazdów udało mi się skończyć „Niepodległą!" Andrzeja Nowaka. W kolejce czeka „Polska i Rosja. Sąsiedztwo wolności i despotyzmu X–XXI w." tego samego autora, który odsłania źródła rosyjskiej mentalności.

FILMOWE INSPIRACJE

Bracia Marx, Fellini, Hitchcock i Kieślowski. Ten ostatni jest dla mnie ogromnym autorytetem. Lubię jego filmy dokumentalne i fabularne. W jego obrazach widać pogłębiony obraz rzeczywistości człowieka. Kieślowskiego szanuję też za to, że traktował widza jako inteligentną osobę i pozostawiał mu ocenę.





ŚW. LOYOLA

Na wyjazdach warto mieć coś, co wzmacnia duchowo. Gdy jest czas tylko dla siebie, sięgam po „Ćwiczenia duchowe" św. Ignacego Loyoli.



LEKTURY DZIECI

Nasze pociechy dzielą się na fanów Sherlocka Holmesa i Tolkiena. Najmłodsze oswajają strach, czytając przygody detektywa (oczywiście nie w godzinach wieczornych). Zachwyt światem tolkienowskich bohaterów u pozostałych dzieci zaszczepił mój mąż. Lubimy wracać zarówno do tych książek, jak i filmów.

ŻAKIET

Zawsze mam przy sobie elegancki komplet na wypadek ważnego oficjalnego wydarzenia. Nieraz ratuje życie.





PASZPORT

Paszport dyplomatyczny zapewnia duży komfort, jeżeli chodzi o podróże zagraniczne. Na użycie tego dokumentu zawsze trzeba mieć zgodę marszałka. Dzięki niemu nie trzeba stać w kolejkach m.in. do przejścia granicznego z Ukrainą, gdzie wozimy pomoc dla potrzebujących.

MUZYKA

Uwielbiam Chopina, Mozarta... Grechutę, Toma Waitsa. Jeżeli chodzi o organy, moim mistrzem jest mój teść, wybitny organista światowej klasy – prof. Andrzej Chorosiński, wieloletni rektor Akademii Muzycznej w Warszawie. Tata grał w Watykanie na kanonizacji stulecia – Jana Pawła II i Jana XXIII – w intencji szczęśliwych narodzin swojego wnuka. Jan Paweł urodził się dwa dni później.





KASZKIET

Przywieziony ze Szkocji kaszkiet dla mojej córki, fanki twórczości Arthura Conana Doyle'a. Czasami mi go pożycza!

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b96b151b81

OGNIEM NA WPROST

„Żelazna lalka Putina” w akcji



Propagandowe tuby Kacapii, zwanej nieoficjalnie Federacją Rosyjską, nie mogły przemilczeć wizyty Joe Bidena w Kijowie. Tym razem prym wiodła „żelazna lalka Putina” Olga Skabiejewa. W prowadzonym przez nią programie „60 minut” na antenie stacji Rossija 1 szaleństwo ogarnęło wszystkich. Wizyta prezydenta USA u swojego ukraińskiego odpowiednika podziałała na Rosjan niczym płachta na byka. Zaproszeni do studia „eksperci” prześcigali się w analizach. Co jedna, to głupsza, jak ostatnie wypowiedzi byłego szefa MSZ Radka Sikorskiego. Do swoich racji przekonywał m.in. Jewgienij (po polsku Gienek) Burzyński – akademik (tytuł „akademik” oznacza szczególnie wysoką pozycję naukową) z Wydziału Polityki Światowej Uniwersytetu Moskiewskiego im. Łomonosowa. „Biden powinien przylecieć do Kijowa helikopterem. Nasze [rosyjskie] samoloty by go eskortowały” – ironizował w studiu. Problem w tym, że Gienek zapomniał o silnej obronie przeciwlotniczej Ukraińców, przez którą ruskie myśliwce w ogóle nie dolatują do Kijowa, o zachodniej Ukrainie nie wspominając. Potem swój komentarz wtrącił Siergiej Markow, politolog, członek Prezydenckiej Rady ds. Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego i Praw Człowieka (nawiasem mówiąc, tak powinien nazywać się jeden z oddziałów głównego szpitala psychiatrycznego w Moskwie). Wrócił do standardowej narracji, zaczynając od stwierdzenia, że Kijów jest rosyjskim miastem, a od czasów rządów Zełenskiego Rosjanie nie mogli tam wjeżdżać (co jest oczywistą nieprawdą). Jak już się towarzystwo dobrze rozkręciło, głos znowu zabrał Gienek, który jest zarówno akademikiem, jak i generałem. „Można było utłuc Bidena – stwierdził nagle. – Ale to byłoby już chyba zupełnie...” – zawiesił głos po chwili namysłu. „Czyli utłuc Bidena to za dużo, a grozić Putinowi jest OK i wysadzać Nord Stream 2 też w porządku?” – nie dawała za wygraną „lalunia Putina”. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że to wszystko było gadane na trzeźwo.

Szef i sponsor organizacji przestępczej, jaką jest Grupa Wagnera, Jewgienij Prigożyn, wali od drzwi do drzwi różnych generałów, żebrząc o amunicję i broń dla swoich najemników. Niejako przy okazji oskarża ministra wojny (po rusku resort obrony) Siergieja Szojgu o zdradę stanu. „Kucharz Putina”, czyli Prigożyn, tak tłumaczy poważne kłopoty z dostawami sprzętu dla swoich bojców: „Szef sztabu generalnego i minister obrony wydają rozkazy na prawo i lewo, byle tylko nie dostarczać Grupie Wagnera amunicji. Robią też wszystko, by nie pomagać nam w transporcie powietrznym”. I dodał w ostrym wpisie na Telegramie, że można to porównać do zdrady stanu. Od dawna Szojgu ryje pod Prigożynem i odwrotnie. Szojgu choć jest kierownikiem ministerstwa wojny (sorry – obrony) też dysponuje swoją zgrają kondotierów, tylko mniej liczną od comba Prigożyna. Spór przenosi się na sam dół i już dochodzi do strzelanin między regularnym wojskiem (ci od Szojgu) a prigożynowską bandyterką. Wszystko to jedna swołocz. Z tej sytuacji cieszą się Ukraińcy, którzy od jakiegoś czasu pod Bachmutem mają trochę spokoju z najemnikami, bo bez amunicji trudno się atakuje. Chyba że po pijaku, bo wtedy im wsio rawno.

Jak wspomniałem, rzeczony konflikt na linii Prigożyn–Szojgu przenosi się na doły. Powstają już nawet filmy, które najemnicy z bandy Wagnera zamieszczają w mediach społecznościowych. Na jednym z nich widać, jak dwóch bojców od Prigożyna strzela do portretów dowódcy rosyjskich sił na Ukrainie – gen. Walerija Gierasimowa, a także dowódcy wojsk lądowych gen. Aleksandra Łapina. Podczas puszczania serii z rkm-u do zdjęć wyższych oficerów oprócz kul lecą w ich stronę takie przekleństwa, których nie można tu przytoczyć. Z kolei na innym filmie widać, jak wagnerowcy wyzywają żołnierzy regularnej rosyjskiej armii, którzy pojawili się na ich pozycjach. „Wasi dowódcy to idioci. Szojgu, Gierasimow [...]. Bierzcie swoje dziwki i idźcie na pozycje” – słychać na nagraniu. Po wyczerpaniu amunicji najemnik chwali się do kamery swoim rkm-em, mówiąc: „Karabin dobry, generałowie do d...y”. Najlepszy jest jednak Czeczen Ramzan Kadyrow. Siedzi w Dubaju, udziela wywiadów, korzystając z uroków życia. Lepiej nie wkładać palca między drzwi. Przeczekuje. Kaktus mi na plecach wyrośnie, jak ruski wygra tę wojnę.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b96b151b81

Koniec relatywizmu



Marta Kaczyńska-Zielińska

Prezydent Joe Biden w swoim wystąpieniu w Arkadach Kubickiego wyraźnie podkreślił, że autokratom trzeba się przeciwstawiać. „Autokraci rozumieją tylko jedno słowo: »nie«. »Nie, nie odbierzecie mi mojego kraju«, »Nie, nie odbierzecie mi mojej wolności«, »Nie, nie zabierzecie mi mojej przyszłości«". Przemówienie prezydenta USA było wyrazem przeświadczenia o istnieniu jednoznacznego podziału na świat wolności, skonstruowany z wartości, które ukształtowały cywilizację zachodnią, i otchłań zła depczącego ludzką godność, demolującą porządek światowy. Wydaje się, że prezydent Biden chciał zaznaczyć, że znajdujemy się w momencie historii, w którym nie ma miejsca na relatywizm, na którym opierał się reset państw zachodnich z Rosją.

Żyjemy w czasie, w którym wyraźnie widać, jak fundamentalne znaczenie ma pojęcie prawdy obiektywnej, o której znaczeniu nauczał śp. Jan Paweł II. W czasie wojny na Ukrainie i w momencie próby dla całego świata nie ma miejsca na relatywizm. Okupanci Ukrainy powinni opuścić jej granice, a winni zbrodni przeciw ludzkości powinni zostać osądzeni. Trzeba zatrzymać odradzający się totalitaryzm i jednoznacznie nazywać zło.

W czasie rozmów w Pałacu Prezydenckim Joe Biden wspominał swoje spotkanie z Janem Pawłem II w 1980 r. w Bibliotece Watykańskiej: „Cała rozmowa dotyczyła Polski, a na koniec papież zwrócił się: »Senatorze, proszę pamiętać, że rozmawiałem z panem jako dumny Polak. Nie jako papież, tylko jako Polak«. I wtedy zdałem sobie sprawę, jaką siłę ma Polska" – relacjonował spotkanie amerykański prezydent. Joe Biden wspominał słynne „Nie lękajcie się!" – słowa św. Jana Pawła II – w czasie swojej wizyty w Polsce w marcu 2022 r.

Odwołanie się przez amerykańskiego prezydenta do słów św. Jana Pawła II w czasie agresji rosyjskiej na Ukrainę i podania w wątpliwość światowego porządku ma ogromne znaczenie symboliczne oraz stanowi nawiązanie wprost do doświadczeń z okresu zimnej wojny. Jan Paweł II odegrał zasadniczą rolę w obaleniu komunizmu. Papież pisał: „Człowiek jest powołany do wolności. Nie ma wolności bez odpowiedzialności i bez umiłowania prawdy. Wolność jest człowiekowi dana i zadana, by ukazywała prawdę o dobru".

7 czerwca 1982 r. w Bibliotece Watykańskiej miało miejsce pierwsze spotkanie Jana Pawła II i prezydenta Stanów Zjednoczonych Ronalda Regana. Niedługo później prezydent USA zintensyfikował wyścig zbrojeń, powodując, że Związek Sowiecki znalazł się na krawędzi katastrofy gospodarczej. Prezydent uczynił to podobno wbrew niektórym pragmatycznym doradcom, którzy uważali, że strategia powinna opierać na nieprowokowaniu ZSRS. Reagan zdecydowanie przeciwstawił się sowieckiemu złu w Afganistanie, Nikaragui i Angoli, torpedował budowę transkontynentalnego gazociągu z Syberii do Europy Zachodniej, uruchomił sankcje gospodarcze, zwiększył wsparcie finansowe dla Głosu Ameryki i Radia Wolnej Europy, wspierał Solidarność i ruchy opozycyjne w Czechosłowacji i na Węgrzech. Prezydent w swojej żelaznej konsekwencji powstrzymywania komunizmu okazał się skuteczny. Związek Sowiecki i blok wschodni rozpadły się.

Ronald Reagan jest uważany za zwolennika romantycznej wizji uniwersalizmu zachodniego, opartego na tradycji cywilizacji chrześcijańskiej. Skoncentrował amerykańską politykę zagraniczną wokół starcia dobra ze złem. Wspominał: „Zbyt długo nasi liderzy byli niezdolni do właściwej oceny Związku Sowieckiego. [...] Wielu wytykało mi moje stanowisko jako antyliberalne, prowokujące i zbyt szczere. Zawsze jednak sądziłem, że należy właściwie definiować różnice, ponieważ są historyczne wybory i decyzje, które trzeba w życiu podjąć... Sowiecki system przez lata morzył głodem, mordował i brutalnie traktował miliony. [...] Zamykano ludzi w szpitalach psychiatrycznych, gdzie poddawano ich torturom. Czy system taki nie jest diabelski? Jeśli jest, to dlaczego nie mielibyśmy go tak nazywać".

Warto przypomnieć jednolitość postawy amerykańskiego prezydenta także w odniesieniu do trawiącego Zachód kryzysu wartości. Reagan sprzeciwił się wyrastającemu z kontrkultury ortodoksyjnemu relatywistycznemu nurtowi kultury Zachodu, obejmującego swoim oddziaływaniem stopniowo Europę i Amerykę.

REKLAMA



64/0123/F

eprasa.pl b96b151b81

Fani Niemiec mają problem



Samuel Pereira

Po wybuchu wojny na Ukrainie w obozie opozycyjnym powstał jeden z najbardziej prostackich przekazów propagandowych, który opierał się na założeniu, że będąc w Unii Europejskiej, nie można krytykować obecnie rządzących w jej instytucjach polityków. Trochę tak, jakby uznać, że będąc Polakiem, nie można krytykować za nic rządzących Polską.

Okazało się, że gdy spotykają się politycy europejscy stojący w kontrze do pomysłów Berlina na UE, to jest to skandal i dowód na ich prorosyjskość. Politycy opozycji i medialni funkcjonariusze powtarzający ten kłamliwy spin całkowicie przemilczają fakt, że dzięki polskim rządzącym na tymże madryckim szczycie (miesiąc przed wybuchem wojny) wydano wspólne oświadczenie, w którym stanowczo potępiono działania Rosji wobec Ukrainy. Coś, czego politycy PO tak chętnie broniący „błogosławionej dla Europy" niemieckiej polityki, nigdy od Niemców nie uzyskali.

Przy okazji chętnie usłyszałbym od nich odpowiedź na pytanie, dlaczego europosłowie opozycji nieco ponad rok temu – po ujawnieniu przez media, że wielu prominentnych urzędników z Niemiec, Austrii czy Francji pracuje teraz dla rosyjskich firm państwowych – nie znaleźli w sobie odwagi, żeby poprzeć Prawo i Sprawiedliwość w sprawie poprawki do rezolucji Parlamentu Europejskiego, która mówiła o potępieniu byłych polityków UE skorumpowanych przez Gazprom. W tej sprawie przeciwko byli m.in. Ewa Kopacz, Bartosz Arłukowicz, Janina Ochojska, Róża Thun, Marek Belka i Robert Biedroń. Z kolei m.in. Radosław Sikorski i Andrzej Halicki wstrzymali się od głosu.

A dlaczego politycy tych ugrupowań latami popierali, a niektórzy z nich nawet pisali antypolskie rezolucje? W imię praworządności oczywiście. Czy ci sami politycy kiedykolwiek mieli odwagę skrytykować prorosyjską politykę Niemiec w Unii albo na nią wpłynąć, żeby uległa zmianie? Skądże. Dziś sami nie wiedzą, co powiedzieć, bo dziś już zatrważająca większość nie tylko Polaków, lecz także Europejczyków nie ma wątpliwości co do hamulcowej roli Niemiec w tak trudnym dla Europy momencie. Dobre i to.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Mam dużo pięknych piosenek

Z Marylą Rodowicz, pierwszą damą polskiej sceny muzycznej, trenerką „The Voice Senior", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jak słucha się jednego z największych swoich przebojów w czyimś wykonaniu?

Maryla Rodowicz: Zbyszek Zaranek [zwycięzca czwartej edycji „The Voice Senior" – przyp. red.] zaśpiewał pięknie „Niech żyje bal". Przejmująco, wspaniałym głosem. Mnie też wzruszył.

Ponoć to pani podsunęła mu właśnie ten utwór. Czy któraś z innych pani piosenek mogłaby być podobnym sprawdzianem talentu i wokalnych możliwości?

Zbyszek zaskoczył mnie, wymieniając niezliczone ilości moich utworów. Na przykład „Dworzec" (z tekstem Jana Wołka do muzyki Jacka Mikuły), „Z tobą w górach" i „Gdzie to siódme morze" (słowa: Jerzy Kleyny, muzyka: Katarzyna Gaertner)... Mam bardzo dużo bardzo pięknych piosenek.



Dzięki nim wróciła pani na chwilę w muzyczną przeszłość?

„Niech żyje bal" to 1985 r., „Dworzec" – lata 90., dwie pozostałe z wymienionych – 70. Zbyszek opowiadał mi, jak kiedyś śpiewał te utwory i że śpiewa je dalej.

Taki uczestnik to skarb. Nie tylko przypomina dokonania trenera, lecz także wygrywa rywalizację. Jest pani zadowolona?

Bardzo, chociaż bardzo się też denerwowałam. Teraz, jak opadną emocje, jeszcze raz mu powtórzę, że nadszedł czas, by nagrał coś swojego.

Tego zwycięzcy „The Voice Senior" życzymy, a co będzie się działo u pani?

Trwa zima, więc gram koncerty akustyczne: dwóch gitarzystów, perkusja, dwuosobowy chórek. W takim okrojonym składzie czarujemy widownię. W całej Polsce.

Czytaj też na str. 98

Fot. TVP

eprasa.pl b96b151b81

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

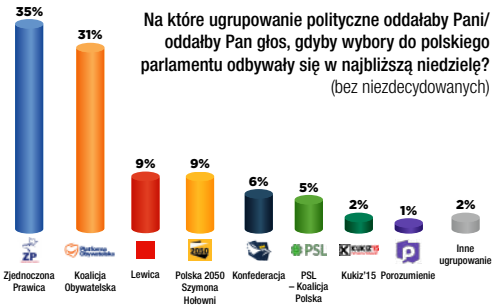
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR

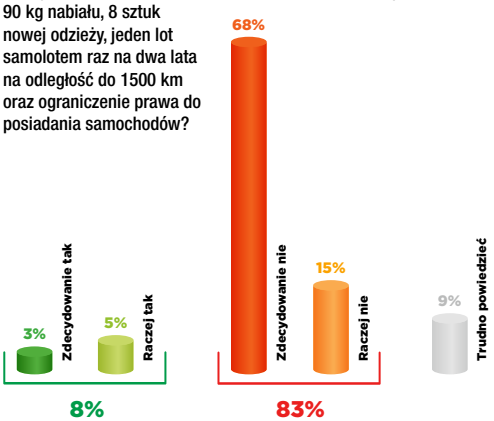
pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

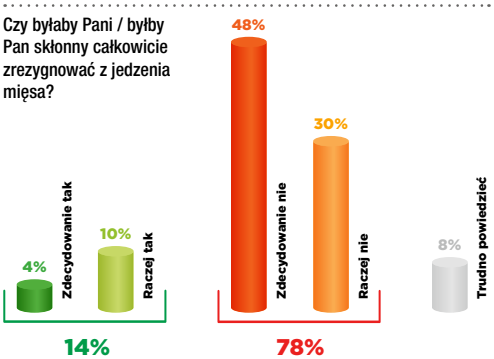
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



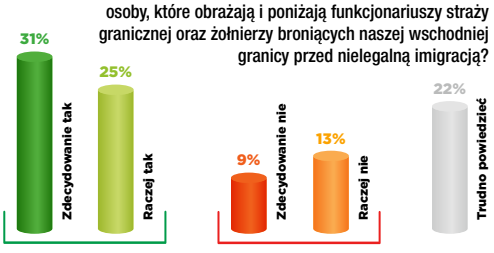
Czy popiera Pani/Pan pomysł, zgodnie z którym od 2030 r. na jedną osobę rocznie przysługiwałoby maksymalnie 16 kg mięsa, 90 kg nabiału, 8 sztuk nowej odzieży, jeden lot samolotem raz na dwa lata na odległość do 1500 km oraz ograniczenie prawa do posiadania samochodów?



Czy byłaby Pani / byłby Pan skłonny całkowicie zrezygnować z jedzenia mięsa?



Czy według Pani/Pana polskie sądy powinny karać osoby, które obrażają i poniżają funkcjonariuszy straży granicznej oraz żołnierzy broniących naszej wschodniej granicy przed nielegalną imigracją?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1070.

Zakres czasowy badania 17–20 stycznia 2023 r.

eprasa.pl b96b151b81

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

TechnoBiznes 2023



Konkursy **Technologiczne**

HIT ROKU 2023 oraz **LIDER** 2022

produkty, rozwiązania i usługi skierowane do firm i instytucji

nowoczesne rozwiązania wdrożone w firmach i instytucjach

w kategoriach:

Bankowość | **Ubezpieczenia i inne usługi finansowe** | **Gospodarka 4.0**

Zgłoszenia przyjmujemy w dniach **23.02-31.03.2023 r.**

Szczegóły na: **gb.pl/konkursy**

Autopromocja

eprasa.pl b96b151b81



Musimy być silni

O rosnącej roli Polski, amerykańskich gwarancjach sojuszniczych, konieczności dozbrajania polskiej armii, konflikcie z Komisją Europejską i perspektywach politycznych przed kampanią wyborczą z prezydentem RP *Andrzejem Dudą* rozmawiają Michał Karnowski i Marcin Wikło

Za panem bardzo intensywne dni, a w nas wszystkich chyba wielkie nadzieje, że wizyta amerykańskiego prezydenta znacząco zwiększyła bezpieczeństwo Polski, że obawy zostały oddalone, gwarancje potwierdzone, a perspektywa zwycięstwa Ukrainy jest realna. Jaka jest pana główna myśl po spotkaniach z Joe Bidenem?

Andrzej Duda: Kilka wątków jest kluczowych. Prezydent Stanów Zjednoczonych przyjechał do nas po raz drugi w ciągu 12 miesięcy w czasie toczącej się wojny na Ukrainie. Po raz drugi wygłosił przemówienie na Zamku Królewskim i po raz drugi twardo stwierdził, że Stany Zjednoczone traktują priorytetowo art. 5 traktatu waszyngtońskiego. Usłyszeliśmy, że każda piędź ziemi będzie broniona i tu nie ma miejsca na niedomówienia. Jeżeli takie słowa wypowiada prezydent największego mocarstwa na świecie, to wszyscy muszą je traktować bardzo poważnie.

Te tak jasne deklaracje prezydenta Bidena to też ocena tego, co Polska sama robi w sferze bezpieczeństwa, kupując najnowocześniejszą broń także z USA?

Ta wizyta pokazała ważność naszego położenia i strategiczne znaczenie Polski na amerykańskiej mapie bezpieczeństwa. To Polska jest korytarzem np. do państw bałtyckich dla NATO, UE. Te 65 km granicy polsko-litewskiej, tzw. przesmyk suwalski, jest odpowiednikiem dawnego Fulda Gap, słynnego korytarza z Niemiec Wschodnich do Zachodnich, który był oczkiem w głowie Amerykanów i strategów zachodnich w czasach żelaznej kurtyny. Polska jest też korytarzem do Ukrainy. Zajmuje potężne miejsce w Europie z północy na południe, ma głębię strategiczną 600 km na szerokość i 700 km na długość. 38 mln mieszkańców, ponad 312 tys. km², potężna rzeka biegnąca przez środek, druga przy zachodniej granicy. A przede wszystkim równiny, na których można rozwinąć się strategicznie.

To waży w polityce i sojuszach?

Oczywiście. Stanowimy szalenie ważny obszar strategiczny, a przede wszystkim teren bardzo dynamicznego rozwoju, dużych inwestycji, rozwoju sieci drogowej, kolejowej. Jesteśmy państwem coraz zamożniejszym, ambitnym, które nie tylko wydaje obiecane na szczycie NATO w Walii 2 proc. PKB na obronność, lecz także traktuje swoje obowiązki sojusznicze na tyle poważnie, że w br. przeznaczy ponad 4 proc. PKB na armię. Uważam więc, że jesteśmy traktowani tak, jak na to zasługujemy. Mam z tego powodu satysfakcję. Wracając do znaczenia wizyty prezydenta Bidena od strony społeczno-politycznej, możemy się czuć bezpieczniej. Dotarły już do Polski kolejne armatohaubice K9 z Korei Południowej, niedługo przyjadą kolejne czołgi K2, w br. jeszcze samoloty FA-50, amerykańskie Abramsy i HIMARS-y, których sprzedaż Polsce aż 500 sztuk zatwierdził właśnie Kongres USA. Nasi obywatele powinni dostrzegać te dobrze wydane pieniądze na bezpieczeństwo nas wszystkich.

Czyli mamy mocne gwarancje bezpieczeństwa, a do tego sami inwestujemy w armię, by ten sojusz był wojskowy nie tylko z nazwy?

Tak, sojusze mają nas wspierać, a nie być jedyną osłoną. Z mojego punktu widzenia jako prezydenta i zwierzchnika sił zbrojnych najważniejsze jest, byśmy byli w stanie samodzielnie się bronić i umacniać funkcjonowanie NATO.

Jakie znaczenie z polskiej perspektywy miała wizyta Joe Bidena w Kijowie? Cały świat widzi ją w wymiarze symbolicznym. Przecież przed rokiem to Putin liczył, że on i jego sołdaci będą paradować po Kijowie. A to prezydent Biden przechadzał się ulicami ukraińskiej stolicy z prezydentem Zełenskim.

Prezydent Biden pokazał całemu światu, że jest odważnym człowiekiem i że USA są w stanie ochronić swojego prezydenta nawet w centrum Kijowa, gdzie trwa wojna i nie ma amerykańskiej armii. To precedens. A dodatkowo dotarł tam pociągiem! Sam pokonywałem tę trasę kilkukrotnie i mogę panom powiedzieć, że to jest długa i niebezpieczna podróż. I z tego Kijowa, gdzie w sposób symboliczny pokazał odwagę i ogromne wsparcie dla bohaterskiej Ukrainy, prezydent Biden przyjechał do Warszawy, gdzie od dawna było zapowiadane jego wielkie wystąpienie. Skoro tak, to znaczy, że odbyło się ono w miejscu bezpiecznym. Tu zaproszono zwykłych ludzi na otwarte spotkanie z Joe Bidenem i przybyły tłumy. To jest sygnał dla całego świata.

Sygnał, że mimo bliskości wojny Polska jest strefą stabilności i bezpieczeństwa? Czy to ma znaczenie z punktu widzenia gospodarki, inwestycji?

Warszawa jest setki kilometrów od frontu, w Polsce, w państwie NATO, w Unii Europejskiej, w państwie wolnym, swobodnym, w którym schronili się przed wojną uchodźcy z Ukrainy. To bardzo ważny sygnał dla inwestorów, zwłaszcza amerykańskich. W kontekście tej wizyty musimy widzieć i czynniki bezpieczeństwa, i ekonomii.

Jeśli mielibyśmy wyciągnąć z przemówienia w ogrodach Zamku Królewskiego najważniejsze zdanie,

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b96b151b81

esencję z wystąpienia amerykańskiego prezydenta, wskazalibyśmy na słowa o tym, iż Ukraina nie będzie zwycięstwem Rosji. Co znaczy to zobowiązanie? Jak definiować zwycięstwo?

Albo inaczej: jak definiować porażkę Rosji? Na pewno zwycięstwem Ukrainy będzie wyparcie Rosji z terenów okupowanych od 2014 r. Czy dla Rosji będzie to porażka? W kategoriach prawa międzynarodowego – nie, bo wróci do swoich granic, które są uznane międzynarodowo i w tych granicach nadal będzie. Nie straci ani metra swojej ziemi. To będzie, owszem, porażka ambicji Putina. Ambicji władania innymi narodami, zabierania innym ziemi, powiększania swojego terytorium kosztem innych, grabieży. Ale to samo dla Ukrainy będzie oznaczało zwycięstwo.

Czy w czasie rozmów z prezydentem Joe Bidenem pojawiła się jakaś wizja przyszłości, pokoju? Jakieś konkrety? Jakaś ścieżka wyjścia z obecnej sytuacji?

Powiedziałem panu prezydentowi Bidenowi bardzo jasno: nic o Ukrainie bez Ukrainy, która musi być przy stole obrad. Nie wystarczy, że będzie na stole, na mapie. Przy stole negocjacji musi zasiadać poważny przedstawiciel walczącego państwa, najlepiej prezydent Zełenski. On musi negocjować ewentualne warunki, czy to pokoju, czy to zawieszenia broni. Z pełną odpowiedzialnością za sprawy swojego państwa, a także za porządek międzynarodowy.

Dlaczego tak ważne jest to prawo międzynarodowe, które pan już kilkukrotnie przywołał?

To ma fundamentalne znaczenie dla bezpieczeństwa świata w przyszłości. Każdy zdobyty przez Rosję fragment ukraińskiej ziemi będzie zachętą do tego, by sięgnąć po następny. Będzie zachętą także dla innych potencjalnych agresorów.

Mamy wsparcie największego mocarstwa świata. Czy to stawia przed nami jakieś dodatkowe wyzwania? W pewien sposób musimy sprostać temu sojuszowi, będąc przecież państwem o rosnącym, ale wciąż nie mocarstwowym potencjale. A musimy być partnerem.

My to wyzwanie realizujemy, umacniając nasze bezpieczeństwo, rozbudowując naszą armię. Nie chcemy być tylko biorcą bezpieczeństwa, w oparciu o art. 5 traktatu NATO, zakładający, że jeśli ktoś na nas napadnie, to inni przyjdą nam z pomocą. Chcemy być też dostarczycielem bezpieczeństwa i nim jesteśmy. Nasze samoloty strzegą nieba nad państwami bałtyckimi, wcześniej robiły to samo nad Islandią. Jeżeli do tego nasza armia zostanie tak świetnie wyposażona, jak wskazują zawarte w ciągu ostatnich lat kontrakty, to znajdziemy się na zupełnie innym poziomie.

> Prezydent Biden pokazał całemu światu, że jest odważnym człowiekiem i że USA są w stanie ochronić swojego prezydenta nawet w centrum Kijowa, gdzie trwa wojna i nie ma amerykańskiej armii

A gdy pana zagraniczni rozmówcy pytają, po co nam taka siła, to co pan odpowiada?

Po to, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Mamy takie geopolityczne położenie i mamy takie doświadczenia historyczne, że wiemy jedno: jeśli chcemy w tym miejscu przetrwać, musimy być silni. Historia ostatnich 250 lat to jest historia nieustannych zmagań, by odzyskać Polskę. Wolną, suwerenną, niepodległą. Wierzę, że będziemy tak silni, że nikomu nie będzie się opłacało nas napaść.

I będziemy dalej się zbroić?

Uważam, że tak. Musimy dbać o to, co kupimy, rozwijać zaplecze, dbać o państwo. A gdy będziemy silni, i będziemy bezpieczni, to inni będą chcieli u nas inwestować. Leżymy na przecięciu kultur, w bardzo atrakcyjnym gospodarczo miejscu. Jesteśmy pomostem między Wschodem a Zachodem. Stąd można prowadzić ekspansję gospodarczą w różne strony. Chiny chciały, by to u nas kończył się nowy jedwabny szlak. Dziś ten plan zablokowała Rosja, atakując Ukrainę, przecinając drogi, ale ta Inicjatywa Pasa i Szlaku wskazywała nas jako główny hub europejski. Musimy o to nadal walczyć. Wciąż jest we mnie nadzieja, że Rosja będzie kiedyś naszym normalnym sąsiadem.

Pan był ostatnim politykiem, który wyjechał z Kijowa przed rozpoczęciem tej barbarzyńskiej rosyjskiej agresji. Rozmawiamy dokładnie w rocznicę tego wydarzenia. Jaka jest pana główna refleksja po tym roku, czym chciałby się pan podzielić z Polakami, z naszymi czytelnikami?

Nie spodziewałem się, że za mojego życia taka wojna zaistnieje w Europie. To jest wojna totalna. Widziałem w Borodziance czy w Irpieniu, co ona robi z ludzkim życiem, z każdym aspektem naszej codzienności. Ktoś buduje dom, ma gospodarstwo, czegoś się dorabia, coś tworzy, rozwija się jego rodzina. I nagle to wszystko niezwykle brutalnie pryska. Domy poburzone, okolica zrujnowana, ludzie z pustymi oczami, zapłakanymi, w resztkach odzienia wyjętego spod gruzów, pełni poczucia beznadziei. To jest przerażające.

W którym momencie Zachód zgubił tę oczywistość, że tam się rodzi nienawistny raszyzm? To, co moskiewska propaganda głosi także o Polsce, to język naprawdę niespotykany w cywilizowanym świecie. Język

eprasa.pl b96b151b81

ideologii totalitarnej, pogarda, nienawiść. Jak można było nie dostrzec zagrożenia tej skali? Mimo polskich ostrzeżeń, w tym śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Niestety, na Zachodzie, jeśli chodzi o Rosję, zwyciężyły cynizm i naiwność w oparciu o jej zakłamany obraz. Naiwność środowisk intelektualnych, które postrzegały Rosję nie przez pryzmat Sybiru, NKWD i zbrodni, ale wyłącznie przez pryzmat kompozytorów, poetów i malarzy. Przy małej wódeczce i kawiorze, na zmrożonym śniegu pan się przechadza z panią, jadą saniami. Pani w futrze, pan w sobolowym kołnierzu, jest pięknie oświetlona ulica, spaceruje Puszkin, piękny Petersburg, Ermitaż itd. Ach, ta Rosja, taka niesamowita – półdzika, a także o niezwykłym ładunku intelektualnym. Jednak wśród naszych sfer biznesowych była pełna świadomość, że Rosja to też zanieczyszczenie środowiska, stara infrastruktura, ludzie żyjący po 40 lat, umierający z powodu zanieczyszczeń, braku higieny pracy. I jednocześnie zasoby naturalne i gigantyczne interesy, które można robić. I nie miało znaczenia, co mówili z Kremla tym ludziom, w jaki sposób przekonywali ich do tego, by chcieli w tych warunkach tyrać za jakieś drobne pieniądze. Oczywiście, wszyscy widzieli oligarchów rosyjskich, którzy pojawiali się na Zachodzie i epatowali bogactwem. Ale ilu z tych 140 mln to ci oligarchowie, to te bogate Moskwa i Petersburg, jeżdżące po świecie? 10 mln, 20? A co z resztą?

Jakie prywatnie wrażenie zrobił na panu prezydent Biden? Pana doradcy publicznie mówią, że złapaliście panowie jakąś chemię?

Przede wszystkim jest to ogromnie doświadczony polityk. Imponujące są jego wiedza, umiejętność negocjacji, własny zasób historii, którą przeszedł. Przecież już jako polityk rozmawiał z Ojcem Świętym Janem Pawłem II, był uczestnikiem historycznych wydarzeń, brał udział w podejmowaniu historycznych decyzji. Wystarczy sobie uświadomić, że 50 lat temu był po raz pierwszy wybrany do amerykańskiego Senatu. To również człowiek o wielkim poczuciu odpowiedzialności. Nie jest młodzikiem, a jednak podejmuje bardzo potężne wyzwania, jak przejazd koleją do Kijowa zaraz po transatlantyckiej podróży samolotem. Niejeden młody nie dałby rady, a on to znosi.

Początek tej prezydentury był nieco niepokojący. Zgoda na Nord Stream, wycofanie z Afganistanu. Wiele się zmieniło. Dlaczego?

Początek nigdy nie jest łatwy. Nawet jeżeli byłeś blisko przy prezydencie – akurat mamy obydwaj to samo doświadczenie (ja przy śp. Lechu Kaczyńskim, prezydent Biden – przy Baracku Obamie) – to piastowanie urzędu głowy państwa – szczególnie w pierwszym etapie – jest zawsze trudne. Każda funkcja ma swoją specyfikę i żeby w nią wejść, musisz ją pełnić osobiście. Obserwowanie, nawet z bliska, to za mało.

> Warszawa jest setki kilometrów od frontu, w państwie wolnym, w którym schronili się przed wojną uchodźcy z Ukrainy. To bardzo ważny sygnał dla inwestorów

Był pan prezydent gospodarzem spotkania, które skupiło uwagę całego świata. Ma pan poczucie, że buduje to pana pozycję także na przyszłość?

To jest skutek uboczny tego, co robię dla Polski. Dziś Polska wymaga zaangażowania. Siedzenie pod przysłowiowym żyrandolem w obecnych czasach naszemu państwu nie pomoże. Trzeba wstać, wsiąść w samolot, czasem w samochód, a czasem i w pociąg, i pracować, zasuwać, negocjować, rozmawiać, szukać najlepszych dla Polski rozwiązań, możliwości rozwoju, nowych sojuszy. To jest mój obowiązek. Dlatego udałem się w trasę dyplomatyczną przed wizytą prezydenta Bidena. Chciałem mu powiedzieć, że jestem po rozmowach z całą czołówką europejskiej polityki i wiem, jak wyglądają poszczególne stanowiska, gdzie są szanse na konsensus, co można zaoferować Ukrainie, co może zaoferować Polska, czego oczekuje na następnym szczycie NATO. Tak właśnie rozmawiałem z prezydentem Bidenem, przywołując także to, co usłyszałem w Brukseli, Londynie, Monachium.

Padło w tych dniach dużo dobrych słów o Polsce, także w mediach światowych. Udało nam się odrzucić kampanię ataku wizerunkowego, która trwa od lat?

Wygląda na to, że w jakimś sensie udało nam się przez nią przebić. Bo ta kampania zapewne jeszcze potrwa i będą nas oczerniać w różnych miejscach. Dyfamacja Polski jest, niestety – przykro to mówić – znakiem firmowym niektórych środowisk. Ta zmiana to wielka zasługa nas wszystkich, w pierwszej kolejności naszych rodaków, że stworzyli dla Polski tak nieprawdopodobne zjawisko swoją spontanicznością, swoim darem serca.

Zgadza się pan prezydent z oceną, że te wszystkie blokady funduszy i różne kary to są faktycznie polityczne sankcje nałożone na Polskę z intencją wpłynięcia na wynik wyborów?

Cała ta polityka – nie mam żadnych wątpliwości – ze względami merytorycznymi nie ma nic wspólnego. Jakaś elitarna sitwa w Polsce broni swoich przywilejów, wykorzystując swoje znajomości z przedstawicielami różnych instytucji europejskich i z różnymi, możnymi politykami obozu lewicowo-liberalnego, który dzisiaj rządzi w UE.

Wściekłymi na wynik wyborów w Polsce?

eprasa.pl b96b151b81



Fot. KPRP

Wściekłymi, bo demokracja jest dobra tylko wtedy, gdy oni wygrywają. Dobrze to pokazywał mem czy dowcip, który widziałem ostatnio. A brzmi on tak. „Mówią, że PiS rozdaje nasze pieniądze. Ja pytam, gdzie były nasze pieniądze, gdy rządziło PO-PSL? Kto je brał". To jest mem, który powoduje, że moi koledzy wspierający inny obóz polityczny niż ten, z którego ja się wywodzę, milkną na chwilę. Bo nie umieją odpowiedzieć na to pytanie: jak to się stało, że udało się zrealizować wszystkie programy socjalne właściwie natychmiast po 2015 r.? Gdzie były te pieniądze? Nie mają na to odpowiedzi.

W budżecie w 2015 r. było niespełna 300 mld zł, teraz jest ponad 600 miliardów. Pana zdaniem gdzie były te pieniądze?

Pozwalano, by państwo polskie było okradane. Takie były naciski wychodzące z różnych wpływowych w innych krajach kręgów politycznych. Domagano się, by to umożliwiać, by nie przerywać wyprowadzania pieniędzy z Polski. Tych sposobów było wiele, a chodziło o miliardy. Jak w przypadku słynnej luki VAT, którą – jak się okazało – można zasypać w trzech czwartych i wykorzystać te pieniądze na programy społeczne, na wsparcie emerytów. Na cele budujące zamożność społeczeństwa, ale w tej jego przeciętnej, zwykłej warstwie, a nie tylko pompujące kieszenie jakiejś wąskiej elity.

Patrząc na naszą gospodarkę, armię, wzrost znaczenia politycznego, można postawić tezę, że Polska jest dziś o krok od wielkości...

Może inaczej – Polska zaczyna zajmować należne sobie miejsce nie tylko w sensie geograficznym, geostrategicznym, lecz także w sensie politycznym.

Ale na horyzoncie wybory, już całkiem blisko. Jest obóz polityczny, który chce przejąć władzę i mówi: cofniemy to wszystko. Zakupy zbrojeniowe są za duże, rozwijające się spółki państwowe trzeba sprywatyzować, cofnąć repolonizację sektora bankowego itd. Czy pan widzi tu jakieś ryzyko? Czy Polska może się zatrzymać w tym rozwoju, a wręcz osunąć, cofnąć?

Ja przede wszystkim myślę, że ludzie są mądrzy, że dokonają analizy, jak się mieli w 2015 r. i co stało się przez te osiem lat. Na szczęście mamy demokrację i ludzie mogą decydować. Dziś żyje nam się gorzej niż przed pandemią COVID-19. Bo już wtedy przeżyliśmy ciężki wstrząs. Wojna na Ukrainie przedłużyła ten trudny czas. Rosyjska inwazja mocno uderzyła nas po kieszeni przez kryzys energetyczny itd. Ale rynki się ustabilizują i to pewnie w niedługim czasie. Jednak my nie daliśmy się zepchnąć z drogi rozwojowej. Jestem przekonany, że absolutnej większości Polaków żyje się jednak lepiej niż przed 2015 r. Wyobrażamy sobie, co by dziś było, gdyby ta poprawa nie nastąpiła.

Ważnym tematem kampanii będą blokowane uporczywie pieniądze z KPO. Ustawę, która miała to odblokować, odesłał pan do Trybunału Konstytucyjnego. Pojawiają się głosy, że to oddala zwycięstwo Zjednoczonej Prawicy. Czuje się pan tu hamulcowym?

Nie. I nie patrzę na ten temat tylko w perspektywie najbliższych wyborów. Mamy demokrację i wierzę w to,

eprasa.pl b96b151b81

że będzie ona trwała przez dziesięciolecia. Chciałbym, żeby obóz Zjednoczonej Prawicy czy ugrupowania, które chcą silnej Polski, a które mają profil konserwatywny (myślę, że wciąż duża część naszego społeczeństwa takiej właśnie polityki oczekuje), mogły rządzić w przyszłości z podniesioną głową, mówiąc: zawsze dotrzymywaliśmy słowa.

Jak to rozumieć? Gdzie tu niedotrzymanie słowa?

Jeżeli młodzi ludzie idą na studia prawnicze, kończą aplikację sędziowską w zaufaniu do państwa, następnie zgłaszają się na wolne stanowiska sędziowskie, są na nie wybierani przez Krajową Radę Sądownictwa, otrzymują nominację od Prezydenta RP, składają ślubowanie, to nie można ich nagle wpychać w jakąś weryfikację. Nie wolno ich stawiać pod ścianą, straszyć, że jeśli nie będą grzeczni i odpowiednio ukierunkowani politycznie, to mogą przestać być sędziami. Może okaże się, że jakiś zły prezydent ich nominował i wcale nie są sędziami? Niezawisłość polega na tym, że przy wydawaniu wyroków nikt nie ma prawa sędziemu powiedzieć, co ma robić, a czego nie. Takie decyzje sędzia musi podejmować zgodnie z prawem, wiedzą, doświadczeniem życiowym i wewnętrznym poczuciem sprawiedliwości i uczciwości. Bez żadnych nacisków. I ma być na tyle mocny, by oprzeć się ewentualnym naciskom. Wierzę, że przez ostatnie prawie osiem lat takich właśnie ludzi, zwłaszcza tych młodych, nominowałem na sędziów. A jest ich ok. 3 tys., czyli jedna trzecia sędziów w Polsce.

Jarosław Kaczyński w ostatnim wywiadzie dla tygodnika „Sieci" mówił, że w jego ocenie główną pana motywacją przy skierowaniu ustawy do TK były sygnały, iż wprowadziłaby ona chaos w sądownictwie. Że miał pan ostrzeżenia, iż wszystko to może się rozsypać. Czy to prawda?

Kiedy występowałem z kompromisową propozycją do Komisji Europejskiej w lutym ub.r., byłem przekonany, że zbliżająca się wojna sprawi, iż Brukseli będzie zależało na spokoju z polskimi władzami, biorąc pod uwagę zagrożenie tuż za naszą granicą. Próbowano mnie zmusić do przyjęcia rozwiązania, według którego inni sędziowie będą weryfikowali sędziów. Powiedziałem: nie ma o tym mowy, bo nie ma do tego kompletnie żadnej podstawy konstytucyjnej. Stwierdziłem: możemy uznać, że do żądania testu bezstronności sędziego jest uprawniona strona postępowania. To konstytucja gwarantuje każdemu obywatelowi rozpatrzenie sprawy przed niezawisłym i bezstronnym sądem. Ale po co innym sędziom takie uprawnienia? To był krok w kierunku anarchii, realizacji żądzy zemsty przez jakichś chorych z nienawiści ludzi ze środowiska sędziowskiego.

> Historia ostatnich 250 lat to jest historia nieustannych zmagań, by odzyskać wolną Polskę. Wierzę, że będziemy tak silni, że nikomu nie będzie się opłacało nas napaść

W świetle pana słów Trybunał Konstytucyjny nie ma innego wyjścia, niż uznać przyjęte przez parlament przepisy za niezgodne z konstytucją?

Decyzja należy do Trybunału. W swoim wniosku przedstawiłem zastrzeżenia z punktu widzenia bezpieczeństwa prawnego Rzeczypospolitej Polskiej, zgodności tej ustawy z konstytucją i bezpieczeństwa ustrojowego. Trybunał to rozważy.

Czy podziela pan pogląd, że przyjęcie ustawy o Sądzie Najwyższym oznaczałoby automatyczną wypłatę należnych nam pieniędzy z KPO?

Zależy mi, by środki z KPO trafiły do Polski jak najszybciej, ale pytanie, czy Komisja Europejska nie będzie piętrzyć kolejnych oczekiwań, pozostaje.

Jak więc umawiać się na cokolwiek z Komisją Europejską na poważnie?

Proszę popatrzeć, co jest zapisane w traktacie o Unii Europejskiej: kwestia ustroju wymiaru sprawiedliwości jest sprawą wewnętrzną państwa członkowskiego. Czyli KE nie ma prawa ingerowania w ten obszar. I dobrze o tym wie, więc posuwa się do wyszukiwania różnych kruczków prawnych i karkołomnych interpretacji, by tylko wykazać, że jednak może na to wpływać. Na tej zasadzie musielibyśmy uznać, że może się wtrącać w każdą dziedzinę życia, a tak nie jest i traktaty mówią o tym bardzo jasno.

Ale politycznie sprawa wygląda niestety tak, że zablokowanie pieniądzy unijnych może być wehikułem dla opozycji. I tu wracamy do odesłanej przez pana ustawy o SN do TK. Pan przedstawia argumenty konstytucyjne, ale na stole leżą też wyborcze, polityczne.

Zaraz, zaraz. Panowie, proszę, byśmy na chwilę odeszli od myślenia w stylu: co się podoba lub nie podoba Andrzejowi Dudzie. Znacznie bardziej istotna jest kwestia, że prezydent nie może podpisać ustawy, co do której ma wątpliwości, czy jest zgodna z konstytucją. Zwłaszcza takie wątpliwości, które w sposób fundamentalny mogą wpływać na bardzo ważne kwestie ustrojowe i funkcjonowania Rzeczypospolitej. A ta kwestia jest bardzo ważna, bo dotyczy funkcjonowania trzeciej władzy. Nawet w obozie Zjednoczonej Prawicy są głosy, może nieartykułowane publicznie, że ustawa o SN jest niezgodna z konstytucją, opozycja mówi o tym głośno. I jak sobie to panowie wyobrażają, że Prezydent RP dostaje taki dokument, udaje, że wszystko jest w porządku, i go po prostu podpisuje? Nie. Z tą ustawą są problemy i od początku o tym mówiłem. W lutym ub.r., gdy rozmawiałem z Komisją Europejską

eprasa.pl b96b151b81



Fot. Andrzej Wiktor

na temat mojego projektu ustawy o SN, mówiłem jasno, że musi się on mieścić w ramach polskiej konstytucji. Nie da się zrobić rzeczy, o które państwo proszą. Albo więc zaakceptujecie mój projekt, albo musimy zakończyć dyskusję, bo ja więcej nie jestem w stanie dla was zrobić. I wówczas się na to zgodzono.

Rozumiemy i oczywiście szanujemy pana stanowisko, ale pytanie pozostaje: czy bezradnie mamy godzić się na polityczne konsekwencje szantażowania Polski niewypłaceniem pieniędzy, co jest nośne społecznie i niewątpliwie sprzyja opozycji?

Gwarantuję panom, że prędzej czy później te pieniądze zostaną Polsce wypłacone.

To się stanie prędzej czy później? Do jesiennych wyborów?

Trzeba na to spojrzeć w kontekście sporu między obozem liberalno-lewicowym, który rządzi w znacznej części Europy i ma przewagę w instytucjach europejskich, a siłami centroprawicowymi w poszczególnych krajach, które rosną w siłę. Liberalna lewica wpadła w panikę, że straci dominującą pozycję. Nazwijmy to w końcu po imieniu. Oni widzą, że w Polsce, dużym kraju członkowskim, jest partia konserwatywna, która rządzi już ósmy rok i robi to skutecznie. Podnosi ludziom poziom życia, dba o gospodarkę, która się rozwija mimo kryzysu, działa sprawnie, nie ma problemów korupcyjnych, jest prężna i radzi sobie nawet w obliczu zagrożenia, była w stanie fizycznie obronić granicę Polski. Dlaczego więc ze wszystkich sił chcą obalenia tej władzy? Bo to jest wzorzec.

> Jakaś elitarna sitwa w Polsce broni swoich przywilejów, wykorzystując swoje znajomości z przedstawicielami instytucji europejskich i z możnymi politykami obozu lewicowo-liberalnego

Czyli mówi pan obozowi Zjednoczonej Prawicy: pieniędzy z KPO do wyborów nie będzie, musicie sobie radzić bez nich?

Zjednoczona Prawica nie powinna uzależniać swojej strategii politycznej od decyzji KE, bo ta ma swoje cele. Pieniądze zostaną Polsce wypłacone: prędzej czy później.

Czy pomoże pan Zjednoczonej Prawicy utrzymać władzę?

Ja bym bardzo chciał realizować swój program, bardzo mi na tym zależy.

To inaczej – czy realizacja pańskiego programu byłaby możliwa, gdyby do władzy w Polsce doszła obecna opozycja?

Byłoby to raczej trudne, biorąc pod uwagę, że był to program, który w znacznej mierze opierał się na

eprasa.pl b96b151b81



zaprzeczeniu tego, co obecna opozycja robiła, gdy była obozem rządzącym. Wygrałem wybory w 2015 r. dlatego, że mówiłem, iż będę robił inaczej, że zacznę dbać o ludzi, czego oni nie robili.

Czy uważa pan, że opozycja ma dziś poważny program polityczny? Jest poważna?

To jest na pewno obóz, który ma inne spojrzenie i podejście do polskiego państwa, a w efekcie także do polskiego społeczeństwa. To jest kwestia innego postrzegania rzeczywistości i pozycji Polski w świecie.

Są obawy, że gdyby te siły objęły władzę, to przy rodzącym się niemieckim superpaństwie budowanym pod płaszczykiem wspólnoty europejskiej znaleźlibyśmy się o krok od utraty niepodległości.

Kwestia zmiany postawy polega właśnie na tym, by zastanowić się, jak długo, sprzątając klatkę schodową, musimy także ciągle uprzątać odpadki spod drzwi bogatszego sąsiada, który je tam notorycznie wyrzuca. Są w UE kraje, które się z tym pogodziły. Jest bieda, ludzie wyjeżdżają masowo, ale rządzące elity są potulne, same mają się nieźle,

> Dziś żyje nam się gorzej niż przed pandemią COVID-19. Wojna na Ukrainie przedłużyła ten trudny czas. Rosyjska inwazja mocno uderzyła nas po kieszeni. Nie daliśmy się jednak zepchnąć z drogi rozwojowej

poklepują je po plecach. To jest realny model rozwojowy oferowany słabszym państwom. To nie jest propozycja, którą przyjęliby Polacy. I nie pasuje ona do Polski, kraju dużego, coraz bogatszego, ambitnego. Są też kraje tak małe, że muszą płynąć z głównym nurtem. My możemy tworzyć swój własny nurt, własny prąd. Jesteśmy wystarczająco duzi. I są już wokół nas tacy, którzy właśnie chcą się dołączyć do naszego nurtu. A jeszcze niedawno ich nie było.

Będziemy potęgą regionalną, europejską?

Kiedy Polska zaczęła prowadzić rzeczywiście samodzielną politykę, także w kwestii odbudowywania potencjału obronnego, kiedy zaczęła tworzyć porozumienia regionalne, takie jak Trójmorze, kiedy powiedziała, że potrzebujemy rozwoju komunikacji w naszym regionie, kiedy pokazała, że nie boi się konkurencji, nagle okazało się, że mamy coraz więcej przyjaciół. Jest coraz więcej takich, którzy mówią: tak, chcemy z wami robić interesy. Mamy atuty: gdy dziś jedzie się samochodem z zagranicy do Polski, to czujemy radość i dumę, gdy wjeżdżamy do naszego kraju. Bo mamy nowoczesne drogi, nowoczesne, czyste stacje benzynowe. Oferujemy komfort najwyższy, jaki może dziś być na świecie.

Ten rok być może rozstrzygnie o przyszłości Polski. Jak pan na to patrzy i co by pan powiedział Polakom tuż po tej tak ważnej wizycie amerykańskiego prezydenta? Jak mają wybrać, co mają wybrać?

Polacy są coraz bardziej świadomi politycznie, demokratycznie dojrzali, będą umieli podjąć mądrą decyzję. Mam tylko jedną, wielką prośbę do moich rodaków. Padam im jako prezydent do nóg i proszę: idźcie do wyborów. Zróbcie przynajmniej taką frekwencję, jaka była w ostatnich wyborach prezydenckich. Moi drodzy, kochani rodacy, pokażcie, że wybieramy świadomie, że mamy władzę ze świadomego wyboru. To jest szalenie ważne. Jeśli ktoś kwestionuje moją politykę, natychmiast mówię: chwileczkę, czy zostałem wybrany na urząd prezydenta ponownie przez moich rodaków? Tak. Przy frekwencji prawie 70 proc., z prawie 10,5 mln głosów? Tak. W czasie pierwszej kadencji też mnie krytykowano? Tak. Ale realizowałem politykę, co do której się wobec ludzi zobowiązałem? Tak. W związku z tym dzieje się w Polsce to, co ma się dziać. Ludzie dokonali demokratycznego wyboru na demokratycznych, uczciwych zasadach i uczciwie jest to realizowane.

Kto będzie za rok premierem?

Polacy zdecydują.

Fot. KPRP

eprasa.pl b96b151b81



Biden na zamku: zbliża się punkt zwrotny

Fot. KPRP

eprasa.pl b96b151b81

W wizycie Joe Bidena w Kijowie nie chodziło o to, by coś mówić, zwłaszcza publicznie, ale tylko o to, by spacerując po mieście z Zełenskim, unaocznić Ukraińcom, Kremlowi i światu, że pogłoski i domysły na temat kombinacji USA o oddaniu albo podziale Ukrainy nie mają pokrycia w prawdzie



JAN ROKITA

Gdyby nie twardy i dobrze znany polityczny kontekst zamkowej mowy Bidena, to można by powtórzyć za Lechem Wałęsą, iż elementów ciekawych nie było. Rozczarowanie Wałęsy bierze się prawdopodobnie stąd, że mowa prezydenta USA była w jakimś sensie apolityczna. Jej oprawa muzyczna, światła i scenografia bardziej przypominały występ wielkiej gwiazdy rocka, z typowym w takich razach suportem w wykonaniu Andrzeja Dudy. „A Sky Full of Stars" śpiewała kapela Coldplay, gdy Biden tanecznym krokiem wchodził na scenę, a zwieńczeniem imprezy stał się „teledysk" prezydenta z różnorasowymi dziećmi (wśród których można było zauważyć Chińczyka!), przy wtórze refrenu kapeli Foo Fighters, głoszącego, że nastał czas, kiedy musimy się uczyć żyć na nowo („It's times like these you learn to live again").

APOTEOZA IDEI WOLNOŚCI

Owo swoiste wrażenie apolityczności mogło się brać jednak nie tylko z oprawy scenograficznej imprezy w ogrodach Zamku Królewskiego w Warszawie, ale przede wszystkim z samej treści mowy. Jeśli bowiem Biden nawiązywał w niej do realnej polityki, to tylko przywołując fakty dobrze znane albo frazesy retorycznie wyeksploatowane przez amerykańskich polityków w ciągu ostatnich miesięcy.

Była więc znów mowa m.in. o znanych okrucieństwach Moskali na Ukrainie, o szlachetnej Polsce, która przygarnęła uchodźców, o sprawdzającej się ponoć ONZ, która potrafiła jednak potępić rosyjską agresję. No i oczywiście o tym, że „Ukrainę będziemy wspierać tak długo, jak będzie trzeba". Faktycznie trudno uznać, żebyśmy się z tego mogli dowiedzieć czegoś ciekawego. Nie było inwokacji skierowanej bezpośrednio do Putina, iżby się opamiętał, bo inaczej spotka go straszna kara, czego oczekiwali, nie kryjąc się z tym, dyplomaci ukraińscy. Ale nie było też wezwań do usunięcia Putina, które rok temu, u początków wojny, padły w mowie Bidena na warszawskim dziedzińcu zamkowym (choć potem je dementowano).

Jednak co najważniejsze – nie było w mowie przywódcy Ameryki nawet śladu jakiegoś politycznego planu doprowadzenia do pokoju na Wschodzie czy też zapewnienia armii ukraińskiej szans na wyparcie okupanta z terytorium własnego kraju. Czyli w gruncie rzeczy nie było niczego o tym, co dziś najważniejsze, najbardziej niepewne i zarazem najbardziej interesujące dla świata, jeśli chodzi o amerykańską politykę decydującą przecież dla losów tej wojny.

Skoro tego wszystkiego nie było w mowie Bidena, to co zatem w niej było? Przede wszystkim była retoryczna apoteoza idei wolności jako sensu istnienia ludzkiej wspólnoty politycznej. „Wolność! Nie ma słodszego słowa niż wolność. Nie ma szlachetniejszego celu niż wolność. Nie ma wyższej aspiracji niż wolność" – mówił prezydent w tonie tak charakterystycznego dla Ameryki kaznodziejstwa politycznego. Ukraińcy – to naród walczący o wolność, więc nie tylko naturalni przyjaciele Ameryki, lecz także ci, których wolność Ameryka zamierza obronić. „My się nie zmęczymy, a Ukraina nigdy nie będzie podbita" – mówił Biden. Rzecz w tym, że tego rodzaju słowa, choć same z siebie są czystą retoryką, to w ustach przywódcy Ameryki są rozumiane nie jako jakaś poetycka fraza, ale jako polityczne zobowiązanie. Biden mówi wprawdzie językiem kaznodziei amerykańskiego, my jednak wiemy, że nie jest kaznodzieją, tylko przywódcą supermocarstwa.

Był też z premedytacją zastosowany swoisty polityczny manicheizm, czyli retoryczne przeciwstawienie sfery ciemności sferze światła. Stabilność przeciw chaosowi. Budowanie przeciw burzeniu. Nadzieja przeciw lękowi. Wyzwolenie przeciw uciskowi. Na tych kontrastach została zbudowana logika całej mowy.

Biden przekonuje, że właśnie teraz, za sprawą wojny na Wschodzie, znaleźliśmy się w zwrotnym punkcie historii i musimy podejmować decyzje, które ukształtują nasze życie na dziesięciolecia (to samo śpiewają Foo Fighters w refrenie do swojej piosenki). Te decyzje – jak każdy dobrze rozumie – będą dotyczyć skali i skutków zaangażowania wolnego świata w obronę Ukrainy. I to one właśnie będą rozstrzygać o losach wojny między siłami światła i ciemności. My oczywiście wiemy, że realna polityka z reguły nie rządzi się aż tak manichejskimi przeciwieństwami wartości. I rozumiemy też, że jeśli przywódca supermocarstwa aż tak radykalizuje owe przeciwieństwa, to przygotowuje nas na możliwość decyzji drastycznych, odważnych, ryzykownych.

ZBLIŻA SIĘ PUNKT ZWROTNY

Biden nie mówi wprost niczego, co zamierza zrobić dalej na Ukrainie. Nie po to zresztą wybrał się na Ukrainę i do Polski, by publicznie cokolwiek nowego obwieszczać na temat polityki amerykańskiej. Jeśli więc ktoś czekał na odsłonięcie w Warszawie kart do gry o świat, to się musiał mocno rozczarować. Ale jak celnie mówi Daniel Fried (były ambasador w Polsce i człowiek bliski liderom demokratów): „Nie wybierasz się do Warszawy, jeśli myślisz o tym, jakby się tu wycofać". Kto wie, czy to nie najtrafniejszy komentarz do całej podróży Bidena na Ukrainę i do Polski, a zwłaszcza

eprasa.pl b96b151b81

do wieczornej mowy w ogrodach zamkowych. Ameryka jest dziś bowiem naprawdę, jak mówi Biden, coraz bliżej punktu zwrotnego, jeśli chodzi o dalsze losy wojny. Jej dotychczasowa polityka wcale bowiem nie jest spójna z ową radykalnie manichejską wizją, za pomocą której Biden opisuje teraz sedno wojny na Wschodzie. Gdyby tak było, to Ameryka nie miałaby od dawna zahamowań co do zaopatrywania armii ukraińskiej w każdą potrzebną do wyzwolenia broń czy nawet ustalenia stref zakazu lotów nad Ukrainą, o co swego czasu tak zabiegał prezydent Zełenski. W rzeczywistości jest jednak całkiem inaczej.

Jedyny rosyjski dyplomata, który wystąpił publicznie przeciw wojnie i schował się teraz przed mściwą ręką Kremla w Szwajcarii – Borys Bondariew – nie ma wątpliwości, że rząd Bidena wcale nie wykazuje determinacji w doprowadzeniu do zwycięstwa światła nad ciemnością. Mówi: „Europa i Stany Zjednoczone wydają się nie chcieć, by Ukraina wygrała wojnę. Chcą pchać Ukrainę w stronę pokoju z Rosją, gdyż taka formuła pozwoliłaby Putinowi zachować twarz" (w wywiadzie dla EFE).

Za tezą Bondariewa mocno przemawiają dotychczasowe fakty. Gdyby Bidenowi istotnie chodziło tylko o zwycięstwo wolności na Ukrainie, to ubiegłego lata, gdy inwazja Moskali osłabła, a armia rosyjska zaczęła ponosić spektakularne porażki, doposażyłby i wzmocnił Ukrainę na tyle, by jej armia miała szanse na wyparcie wroga z kraju. Nie zrobił tego. Przeciwnie, to wtedy właśnie w Ameryce (i nie tylko tam) pojawiły się największe obawy i zastrzeżenia co do dalszych zbrojeń Ukrainy, motywowane obawą, czy Ukraińcy aby nie zaczną się bronić nazbyt skutecznie. Odwaga w Waszyngtonie ponownie wzrosła, kiedy w końcu roku Ukraińcy znów znaleźli się w defensywie, z dramatycznymi niedostatkami amunicji i coraz słabszymi możliwościami obrony. Tak jakby przestraszono się w Białym Domu, że Zełenski może jednak rychło tę całą wojnę przegrać.

To właśnie taki jest twardy polityczny kontekst zamkowej mowy Bidena i jego nieoczekiwanej podróży na Ukrainę. W Kijowie w ogóle nie chodziło o to, by coś mówić, zwłaszcza publicznie, ale tylko o to, by spacerując po mieście z Zełenskim, unaocznić Ukraińcom, Kremlowi i światu, że pogłoski i domysły na temat kombinacji USA o oddaniu albo podziale Ukrainy nie mają pokrycia w prawdzie. A na drugi dzień była warszawska mowa zamkowa na temat zbliżającego się punktu zwrotnego i konieczności jeszcze bardziej zdecydowanej obrony wolności: „My się nie zmęczymy, a Ukraina nigdy nie będzie podbita".

Zapewne Biden sam nie wie jeszcze, do jakich militarnych kroków Ameryka będzie musiała się uciec, by dotrzymać takiego zobowiązania. A choćby i wiedział, to jasne jest, że taką wiedzą nie dzieliłby się z góry z całym światem. Jednak zarówno dryndanie się prezydenta USA 10 godzin pociągiem z Przemyśla do Kijowa, po to by zrobić sobie tam parę ładnych zdjęć z Zełenskim, a także w ostatniej chwili zdecydowana druga podróż do Polski świadczą o tym, iż Biden jest już świadom nieuchronności dużo silniejszego zaangażowania Ameryki w tę wojnę.

Tą wyprawą Biden z premedytacją ograniczył samemu sobie pole manewru w postępowaniu wobec wojny, tak jakby przygotowywał grunt pod bardziej niż dotąd odważną politykę

* * *

W ogrodach warszawskiego zamku nie było już tak jak rok temu na zamkowym dziedzińcu mowy o tym, że przy całej sympatii dla Ukrainy to jednak nie jest nasza wojna, a wolności będziemy bronić, owszem, ale w granicach NATO. Więc prawdziwa wielka wojna może być dopiero o Polskę i w Polsce, a nie o Ukrainę i na Ukrainie. I tym razem co prawda Biden podkreślał rytualnie świętość zobowiązania z art. 5 traktatu waszyngtońskiego, ale to raczej z uwagi na znaną i zrozumiałą nadwrażliwość narodów z wschodniej flanki, a zwłaszcza nas, Polaków. Ale teraz – inaczej niż rok temu – celem Bidena nie było już przekonywanie, że Ameryka będzie bronić każdej piędzi ziemi NATO. Biden mówił, niemal wyłącznie o tym, że Ameryka musi obronić wolność na Ukrainie, chociaż na razie NATO tam formalnie nie sięga. Tu tkwi istota politycznej różnicy warszawskich występów Bidena na dziedzińcu zamkowym rok temu i obecnie – w zamkowych ogrodach. I do tego była potrzebna ta kaznodziejska retoryka o najsłodszym słowie – wolności – oraz powracające antynomie sił światła i ciemności.

Na tym też polega polityczny sens całej kijowsko-warszawskiej wyprawy Bidena. Powtórzmy to wyraźnie: nadal nie wiemy tego, jak w praktyce rozwinie się w najbliższych miesiącach amerykańska strategia wojenna na Wschodzie. „Nic nie powiedział" – rzucił ponoć spontanicznie po wysłuchaniu mowy Jarosław Kaczyński. Ale wiemy, że amerykański prezydent związał teraz dużo ściślej misję Ameryki i swoją własną karierę polityczną z obronieniem wolności Ukrainy. Tylko to tłumaczy fakt, z którym nie mogą pogodzić się w Europie Zachodniej, iż przeleciał nad Paryżem i Berlinem, by wygłosić kaznodziejską mowę na temat wolności w Warszawie i jeszcze tłuc się koleją do Kijowa.

Tą wyprawą Biden z premedytacją ograniczył samemu sobie pole manewru w postępowaniu wobec wojny, tak jakby przygotowywał grunt pod bardziej niż dotąd odważną politykę. Więc choć nie dowiedzieliśmy się żadnych konkretów na temat tej polityki, to jedna rzecz wydaje się niewątpliwa. Kijowski spacerek Bidena z Zełenskim i mowa o zbliżającym się punkcie zwrotnym w ogrodach warszawskiego zamku oddalają perspektywę rychłego rozejmu na Ukrainie. I po raz pierwszy stawiają na porządku dziennym realnej polityki pytanie, czy i kiedy Ameryka poczuje się zmuszona do bezpośredniego, militarnego wejścia w tę wojnę.

eprasa.pl b96b151b81

Gambit prezydenta USA

Podróż Joe Bidena do naszej części Europy była ruchem wyprzedzającym działania Kremla. Putin chciał odzyskać inicjatywę i zacząć mówić o pokoju na rosyjskich warunkach, pozyskując wsparcie Pekinu, a teraz może się okazać, że w obliczu nieustępliwości Zachodu Chiny zaczną wywierać presję na Moskwę po to, by zakończyć wojnę



MAREK BUDZISZ

Ostatnie 10 dni to czas niezwykle intensywny dla światowej dyplomacji. Odbyła się kolejna Monachijska Konferencja Bezpieczeństwa, w której udział wzięli prócz wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych i szefa amerykańskiej dyplomacji chyba wszyscy liderzy europejskich państw. Joe Biden niespodziewanie pojechał do Kijowa, a potem w Warszawie wygłosił ważne przemówienie adresowane do narodów naszego regionu. Putin, przemawiając w Radzie Federacji, wygłosił swoje credo, a Wang Yi, chiński minister spraw zagranicznych, odpowiadający w kierownictwie KPCh za relacje międzynarodowe, poleciał do Moskwy, co zostało poprzedzone zapowiedzią przedstawienia przez Xi Jinpinga planu zakończenia wojny na Ukrainie. Równolegle Antony Blinken, powołując się na źródła w amerykańskim wywiadzie, poinformował, że zdaniem Waszyngtonu Pekin rozważa rozpoczęcie dostaw broni do Rosji, co jeśli się wydarzy, będzie przekroczeniem przez Chiny „czerwonej linii", a Putin zapowiedział wyjście Rosji z traktatu Nowy START, regulującego kwestie związane ze strategicznym potencjałem nuklearnym Rosji i Stanów Zjednoczonych, czemu towarzyszyła nieudana – jak poinformowało CNN – próba nowego testu rosyjskiej balistycznej rakiety międzykontynentalnej Sarmata.

Innymi słowy, za nami okres niezwykle bogaty w wydarzenia, wypowiedzi, komentarze i działania. Każdy z uczestników globalnej rywalizacji prowadzi swoją rozgrywkę, wszyscy sformułowali swoje przesłanie i uważnie przyglądali się reakcjom rywali.

REAKCJA ROSJI NA SŁOWA BIDENA

W Moskwie doskonale zrozumieli komunikat strategiczny, który amerykański prezydent w czasie wizyt w Kijowie i Warszawie sformułował pod adresem Rosji. „Stany Zjednoczone chcą pokonać Rosję – napisał Dmitrij Miedwiediew, były prezydent i premier. – Mamy więc prawo bronić się, używając każdej broni, również nuklearnej". O woli zadania przez Stany Zjednoczone Federacji Rosyjskiej strategicznego ciosu mówi też w wywiadzie dla „Moskiewskiego Komsomolca" Fiodor Łukjanow, jeden z głównych rosyjskich ekspertów ds. międzynarodowych, deklarując przy tym, że oznacza to przedłużającą się wojnę, która najprawdopodobniej trwać będzie również za rok. Giennadij Pietrow, dziennikarz i komentator „Niezawisimej Gaziety", która w szczegółach streściła warszawskie wystąpienie Bidena, zauważył jej regionalny wymiar. W jego opinii amerykańscy prezydenci lubią wygłaszać piękne przemówienia, w których wielokrotnie padają zazwyczaj słowa „wolność" i „demokracja" oraz w których często mówi się o walce dobra ze złem. W tym sensie – w jego opinii – warszawskie wystąpienie Bidena nie odbiegało od pewnej normy, ale jedno było nowe. Otóż jak zauważył, nigdy jeszcze przywódca Stanów Zjednoczonych nie adresował wprost przesłania tego rodzaju do narodów wchodzących niegdyś w skład ZSRS, a mowa jest o Białorusinach i Mołdawianach.

W Moskwie odnotowano też słowa Bidena, który powiedział w Warszawie, że „celem USA nie jest podporządkowanie sobie ani podzielenie Rosji", co odczytano jako zapowiedź obalenia Putina. Inni rosyjscy komentatorzy, bardziej wojowniczo nastawieni, jak Nikołaj Nowiczkow, deputowany do Dumy i profesor ekonomii z formacji Sprawiedliwa Rosja, napisał, że Rosja tej wojny nie może przegrać, a to oznacza, iż nie leży w jej interesie zamrożenie konfliktu czy podpisanie jakiegoś zgniłego kompromisu na wzór choćby rozwiązania koreańskiego dlatego, że tylko w ten sposób Moskwa jest w stanie udowodnić, że stary porządek odchodzi do historii, a jego miejsce zajmuje nowy. Rosja, która wystąpiła w roli lodołamacza starego ładu, jeśli chce zająć należne jej miejsce w świecie, musi wojnę w oczywisty sposób wygrać.

Jak się wydaje, Kreml miał w tej kwestii swój plan, który jednak został pokrzyżowany przez Bidena. Putin, informując o wyjściu Rosji z układu Nowy START, a jednocześnie deklarując gotowość rozpoczęcia rozmów pokojowych, o ile pomoc wojskowa Stanów Zjednoczonych dla Ukrainy zostanie wstrzymana, chciał znów użyć atomowego straszaka, by osłabić determinację Zachodu. O tym, że mieliśmy do czynienia z zawczasu przygotowywanym planem, świadczy wiele poszlak.

eprasa.pl b96b151b81

Już kilka dni temu Norwegia informowała o możliwości wyjścia w morze rosyjskich okrętów uzbrojonych w głowice nuklearne, a rosyjski resort obrony opublikował komunikat mówiący o tym, że 100 proc. potencjału strategicznego, którym dysponuje Moskwa, to obecnie najnowocześniejsze rodzaje broni. Putin zapowiedział zwiększenie produkcji międzykontynentalnych rakiet balistycznych i hipersonicznych Kindżał, a także rozpoczęcie nowego planu eksploracji kosmosu, co jest wyraźną deklaracją gotowości przeniesienia rywalizacji strategicznej w domenę kosmiczną. Wojownicze wypowiedzi Miedwiediewa, a także zwołanie w przyspieszonym trybie nadzwyczajnego posiedzenia izby wyższej rosyjskiej Dumy miały dopełniać obraz zdecydowania i determinacji, podobnie jak deklaracje rosyjskiego prezydenta, iż Rosja toczy wojnę egzystencjalną, może nie przetrwać porażki, ma zatem prawo odwołać się do potencjału nuklearnego.

Równolegle Wasilij Niebienzia, rosyjski ambasador przy ONZ, oświadczył, że Rosja jest gotowa natychmiast rozpocząć rozmowy pokojowe, ale ze Stanami Zjednoczonymi, nie z Ukrainą, bo to Ameryka stoi za rządem w Kijowie. Nikołaj Gałuzin, rosyjski wiceminister spraw zagranicznych, zaproponował z kolei Ukrainie i Zachodowi złożenie broni oraz zaprzestanie ostrzałów terenów rosyjskich. Tę przewrotnie sformułowaną propozycję trzeba rozumieć raczej jako sugestię gotowości do zawieszenia broni, a nie kapitulacji Kijowa, bo zaraz potem rosyjski dyplomata dodał, że rozmowy pokojowe muszą się odbywać w warunkach uznania geopolitycznych realiów, co w rosyjskim słowniku oznacza zgodę na aneksję terenów okupowanych. Z kolei Andriej Kielin, rosyjski ambasador w Londynie, do tej listy postulatów dodał wprowadzenie na Ukrainie regulacji, które gwarantowałyby status języka i kultury rosyjskiej.



Fot. PRESIDENT OF UKRAINE

ZACHÓD CHCE WYGRAĆ TĘ WOJNĘ

Propozycji tych na Zachodzie nikt nie traktuje już poważnie nie tylko dlatego, że wiarygodność Moskwy jest bliska zeru. Równie istotnym, a może nawet ważniejszym czynnikiem jest wzrost przekonania, że wojnę na Ukrainie można, a nawet należy wygrać. Richard Fontaine, kierujący think tankiem strategicznym Center for a New American Security, dzieląc się swoimi wrażeniami po pobycie w Monachium, gdzie bywa regularnie od 2005 r., napisał o symbolicznym w tym roku zwycięstwie McCaina. Ten amerykański senator, zwolennik twardej polityki wobec Rosji, przez lata apelował o poważne traktowanie zagrożenia ze Wschodu i rozpoczęcie procesu modernizacji sił zbrojnych państw europejskich. Ale w minionych latach, jak napisał Fontaine, uwagę spotykających się w stolicy Bawarii polityków i ekspertów przykuwały zupełnie inne kwestie i jeśli wzywano do zwiększenia wydatków na zbrojenia, to raczej cudze rządy, a nie własny. W br. nastroje były zupełnie inne, znacznie poważniejsze, a debaty zostały

eprasa.pl b96b151b81

zdominowane nie tylko przez kwestię Ukrainy, lecz także sprawy praktyczne – produkcję amunicji, potrzebę uzupełnienia arsenałów i zwiększenia wydatków na obronę. W opinii Fontaine'a wszyscy zaczęli traktować zagrożenia na serio.

O zmianie nastrojów wśród przywódców Zachodu napisał też na łamach „Politico" znany dziennikarz Casey Michel. Jego zdaniem przez ostatnie lata, a agresja 24 lutego nie zmieniła tego nastawienia, na Zachodzie dominował pogląd, iż odzyskanie Krymu przez Ukrainę jest niemożliwe. Rosjanie przywiązują do półwyspu zbyt wielkie znaczenie, by pogodzić się z jego utratą, a to oznacza, że będą walczyć do upadłego, a nawet mogą odwołać się do swojego potencjału jądrowego. Ale teraz, jak zauważył Michel, nastroje się zmieniają i wśród przedstawicieli klasy politycznej, i w środowisku eksperckim – coraz częściej można spotkać się z poglądem, że bez odzyskania Krymu Ukraina nie będzie bezpieczna i nie będzie cieszyć się stabilizacją po wojnie. „Okupacja Krymu umożliwia rosyjskiemu wojsku zagrażanie ukraińskim pozycjom od południa i daje rosyjskiej Flocie Czarnomorskiej wysuniętą bazę do przeprowadzania ataków dalekiego zasięgu" – napisał niedawno na łamach „Foreign Affairs" emerytowany pułkownik Alexander Vindman, jeden z czołowych amerykańskich ekspertów ds. Ukrainy. Z kolei Victoria Nuland, zastępca sekretarza stanu, występując na spotkaniu w Centrum Carnegie, zaznaczyła, że kwestią zasadniczą nie jest to, czy Ukraińcy zdecydują się na odbicie z rąk Rosjan półwyspu, ale fakt, że nie mogą się oni czuć bezpieczni, o ile nie będzie on zdemilitaryzowany. Tę wypowiedź należy połączyć z deklaracjami tych przedstawicieli amerykańskiej administracji, którzy jak Blinken mówili niedawno, że obiekty wojskowe na Krymie są uprawnionymi celami ataków ukraińskich i ich niszczenie nie może być traktowane w kategoriach eskalacyjnych, bo nie jest to obszar Federacji Rosyjskiej, lecz Ukrainy.

W Stanach Zjednoczonych można oczywiście znaleźć wystąpienia przeciwne temu poglądowi, ale wahadło nastrojów, przynajmniej wśród przedstawicieli klasy politycznej, powoli się przesuwa. To dlatego, chcąc ugruntować ten trend, zarówno Biden w Warszawie i Kijowie, jak i Harris w Monachium deklarowali, iż amerykańska pomoc dla walczącej Ukrainy nie zmniejszy się. Przeciwnie – może wzrosnąć i będzie dostarczana tak długo, jak to okaże się niezbędne.

Demokraci, zaostrzając stanowisko, toczą też rozgrywkę z republikanami, którzy w sprawie wojny są podzieleni. Skrzydło partii związane z Donaldem Trumpem nazywa Bidena prezydentem wojny, a Ron DeSantis, jeden z głównych faworytów prawyborów, powiedział w telewizji Fox, że „nie sądzi, by w naszym interesie było angażowanie się w wojnę zastępczą z Chinami o sprawy takie jak pogranicza czy Krym". Jednak zupełnie inne stanowisko w kwestii kontynuowania wsparcia dla Kijowa zajmuje Nikki Haley, była gubernator Karoliny Południowej i ambasador USA przy ONZ, która też zgłosiła swój akces w wyborach prezydenckich, nie mówiąc już o Lindseyu Grahamie, republikańskim senatorze z tego samego stanu. Napisał on wespół z Borisem Johnsonem, byłym brytyjskim premierem, artykuł opublikowany w „The Wall Street Journal", w którym wzywa on liderów Zachodu, by walczący jak lwy ukraińscy żołnierze dostali każdy rodzaj broni, w tym myśliwce i rakiety dalekiego zasięgu, by móc pokonać Rosję.

> W Moskwie doskonale zrozumieli komunikat strategiczny, który amerykański prezydent w czasie wizyt w Kijowie i Warszawie sformułował pod adresem Rosji. „Stany Zjednoczone chcą pokonać Rosję" – napisał Dmitrij Miedwiediew

Zdaniem wielu obserwatorów amerykańskiej sceny politycznej elektorat głosujący w wyborach na republikanów – podobnie jak i sama partia – mogą się na tle kwestii kontynuowania pomocy dla Kijowa podzielić, co tylko zwiększa perspektywy kolejnego zwycięstwa demokratów w wyborach prezydenckich. Wydaje się, że to wręcz skłania Bidena i jego otoczenie do kontynuowania obecnej linii.

DEFENSYWA ZAMIAST OFENSYWY

A jak w tym wszystkim sytuują się Chińczycy? Jak napisał Siergiej Strokań, przenikliwy komentator dziennika „Kommiersant", Wang Yi przyleciał do Moskwy nie po to, by pogłębiać – jak chce oficjalna propaganda – przyjaźń z Rosją, ale z zupełnie innego powodu. Jego wizyta ma na celu „wysłanie jasnego sygnału do Moskwy, że trwający impas między Rosją a Zachodem, w którego centrum znalazła się Ukraina, staje się coraz bardziej bolesny i problematyczny dla Chin". W jego opinii oznacza to, że Pekin raczej nie zdecyduje się na dostawy broni śmiercionośnej dla Rosji, a przeciwnie, bojąc się perturbacji w relacjach handlowych z europejskimi sojusznikami Ameryki, zacznie wywierać naciski na Putina, by szybko zakończyć wojnę.

Podróż Joe Bidena do naszej części Europy, podczas której przedstawił on wizję powojennego systemu bezpieczeństwa obejmującego zarówno Ukrainę, jak i docelowo Mołdawię i Białoruś, a także gwarantował, iż Stany Zjednoczone nie zaprzestaną dostarczać pomocy wojskowej, odegrała swoją rolę. Wyznaczyła cel polityczny wojny i perspektywę zwycięstwa, dała nadzieję Ukrainie, a także – co może być nie mniej istotne – była ruchem wyprzedzającym działania Kremla. Putin chciał odzyskać inicjatywę i zacząć mówić o pokoju na rosyjskich warunkach, pozyskując wsparcie Pekinu, a może się okazać, że w obliczu nieustępliwości Zachodu Chiny zaczną wywierać presję na Moskwę po to, by zakończyć wojnę. Zamiast dyplomatycznej ofensywy Rosja może znaleźć się w defensywie, tracąc nadzieje na szybkie zwycięstwo czy to na froncie, czy przy stole rokowań.

eprasa.pl b96b151b81

Jest szansa na zatrzymanie rosyjskiego walca

Nieraz już mówiłem i powtórzę to jeszcze raz: pomoc wojskowa dla Ukrainy powinna być zwiększona. Jeżeli ma ona skutecznie przygotować się do odparcia moskiewskiego ataku zgrupowaniami, które powstały po przeprowadzeniu mobilizacji rezerw osobowych i na bazie nowo wyprodukowanego sprzętu w Federacji Rosyjskiej, musi mieć możliwość atakowania, obezwładniania i niszczenia miejsc koncentracji znajdujących się 100–200 km od ukraińskiej granicy, w głąb rosyjskiego terytorium



Z gen. broni dr. Bogusławem Samolem, dyrektorem Instytutu Strategii Wojskowej Akademii Sztuki Wojennej, rozmawia Andrzej Rafał Potocki

W naszej pierwszej rozmowie, tuż przed wybuchem wojny, sugerował pan atak Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej (SZFR) w kierunku Lwowa oraz granicy z Rumunią w celu odcięcia Ukrainy od swojej głębi strategicznej, którą jest Polska, i przerwania przez to dostaw. Raczej wykluczaliśmy szturm Kijowa jako zbyt kosztowny zarówno militarnie, jak i politycznie. Czy Moskale popełnili błąd, usiłując wtedy zdobyć stolicę?

Bogusław Samol: Wojna, jak stwierdził niegdyś wybitny teoretyk strategii Carl von Clausewitz, jest tylko kontynuacją polityki innymi środkami. Władimir Putin zapowiadał jeszcze przed napaścią bezwzględne podporządkowanie państwa ukraińskiego Moskwie. To był błąd polityczny i strategiczny, który zakładał podbicie całego państwa w czasach nowożytnych. Najpierw jednak należało pokonać w polu armię przeciwnika, którego kremlowski satrapa nie docenił. Mieliśmy informacje – przyznali to zresztą sami Rosjanie – że inwazja powinna zakończyć się w kilka dni, a wojska rosyjskie miały być witane chlebem i solą na zwycięskiej defiladzie w Kijowie. Opanowanie Kijowa było celem politycznym Putina. Miało mu przynieść wypędzenie władz Ukrainy, załamanie morale narodu i zainstalowanie w stolicy marionetkowego rządu, najprawdopodobniej pod przywództwem byłego prezydenta Janukowycza. W tym założeniu został popełniony kardynalny błąd. Zlekceważono zdolności operacyjne ukraińskiej armii, oceniono nisko morale narodu ukraińskiego, nie przewidziano też przywództwa prezydenta Ukrainy. Poza tym źle zostały wybrane kierunki działań operacyjnych dla poszczególnych zgrupowań. Podtrzymuję to, co powiedziałem tuż przed wybuchem wojny. Gdyby Moskale uderzyli na zachodzie z Białorusi w kierunku na Lwów, odcinając drogi komunikacyjne i zaopatrzeniowe z Polską, to prawdopodobnie wojna miałaby kompletnie inny przebieg. Krótko mówiąc – Ukraina by upadła.

Może to i lepiej, że sztab generalny rosyjskiej armii nie prenumeruje tygodnika „Sieci”.

[śmiech] Ale operacja kijowska się nie udała. Ukraińcy postanowili przygotować swój schwerpunkt [punkt ciężkości – przyp. red.], w pierwszej kolejności skupiając się na obronie stolicy. Doskonale zdawali sobie sprawę z konsekwencji upadku Kijowa. Bazując na doświadczeniach NATO-wskich, a także na zasadach sztuki wojennej, przygotowali dodatkowe zgrupowanie obronne w ramach Północnego Dowództwa Regionalnego, tzw. dowództwo taktyczno-operacyjne, którym kierował szef wojsk lądowych Sił Zbrojnych Ukrainy (SZU). Skutecznie doprowadził do rozbicia wojsk moskiewskich w rejonie Kijowa, zmuszając resztki zgrupowania przeciwnika do wycofania się. Był to sukces decydujący o przebiegu wojny, która do tej pory trwa.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b96b151b81



Miał pan rację, przestrzegając Rosjan przed atakiem na Kijów.

Mieliśmy później przykłady krwawych walk w mniejszych od Kijowa miastach, jak Mariupol, Siewierodonieck, no i wreszcie Bachmut, który jest ważnym ogniwem w łańcuchu obrony Ukrainy.

Jakie wady miał jeszcze moskiewski plan inwazji na Ukrainę?

Rosjanie popełnili dodatkowo strategiczny błąd, przygotowując zgrupowania na pięciu kierunkach operacyjnych. Jest pytanie, na które do tej pory nie znajdujemy odpowiedzi. Kto koordynował działania zgrupowań operacyjnych na tylu kierunkach? Zabrakło dowodzenia na poziomie strategicznym, jeśli chodzi o koordynację. Każdy dowódca zgrupowania działał w pojedynkę i to przyniosło opłakane skutki dla Moskwy.

Wracając do Bachmutu. Od miesięcy toczą się tam wyjątkowo zacięte walki. Jakie znaczenie ma to miasto dla obrony Ukrainy?

Są eksperci i komentatorzy, którzy dziś lekceważą znaczenie Bachmutu. Uważają, że jego upadek niewiele zmieni w sytuacji na froncie. Nie podzielam tych opinii i mam inne zdanie na temat znaczenia Bachmutu zarówno dla strony ukraińskiej, jak i rosyjskiej. To dla Rosjan bardzo ważny kierunek operacyjny. Gdyby udało im się zdobyć Bachmut, uczyniliby z tego swój bardzo duży sukces, który umożliwiłby SZFR marsz w kierunku Dniepru i ostatecznie opanowania całego Donbasu. Sukces rosyjskich dowódców zapewniłby osiągnięcie celu politycznego, a więc zdobycie Donbasu i w konsekwencji w następnych etapach możliwość rozwijania natarcia w celu opanowania ukraińskiego terytorium na wschód od Dniepru. Strona ukraińska doskonale zdaje sobie sprawę z wagi tego miejsca w prowadzeniu uporczywej obrony pozostałych obszarów Donbasu.

Mają już w zasięgu swojej artylerii dwie drogi dojazdowe do tego miasta. Ciężki sprzęt został praktycznie już wycofany z Bachmutu i bronią go głównie oddziały piechoty. Jednak do tej pory nie udało się Moskalom okrążyć tej twierdzy.

Bachmut to nie tylko węzeł komunikacyjny. Opanowanie go przez Rosjan zmusi Ukraińców do wycofania się na wzgórza za miastem. Oddzielają one linie SZFR od płaskich terenów Zaporoża i rzeki Dniepr. W razie przełamania obrony Rosjanie wyjdą na równiny. Umożliwi im to tworzenie na wiosnę i lato dużych zgrupowań pancernych oraz zmechanizowanych, które będą miały szansę wyjścia na tyły i zaplecze sił ukraińskich broniących tego obszaru, by dotrzeć do Dniepru. Putin już nieraz ogłaszał terminy zajęcia Bachmutu. Teraz mówił o marcu. Ale moim zdaniem to niewykonalne.

Ukraińcy twierdzą, że utrzymają front, o ile będą mieli zapewnione dostawy broni i amunicji.

Rosjanie biorą pod uwagę bardzo poważnie wsparcie Zachodu dla Ukrainy. Nieraz już mówiłem i powtórzę to jeszcze raz: pomoc wojskowa dla Ukrainy powinna być zwiększona. I to w przypadku uzbrojenia – zarówno sprzętu, zachodniej techniki, jak i sprzętu dalekiego zasięgu do uderzeń na zgrupowania rosyjskich wojsk, instalacje logistyczne oraz do niszczenia węzłów komunikacyjnych na wschód od granicy, w głąb rosyjskiego terytorium. Nie mówimy tu o 70 km donośności rakiet HIMARS, ale nawet o ponad 300 km. Jeżeli Ukraińcy mają się skutecznie przygotować do odparcia moskiewskiego ataku zgrupowaniami, które powstały po przeprowadzeniu mobilizacji rezerw osobowych i na bazie nowo wyprodukowanego sprzętu w Federacji Rosyjskiej, muszą mieć możliwość atakowania, obezwładniania i niszczenia miejsc koncentracji znajdujących się 100–200 km na wschód od ukraińskiej granicy. Jeżeli to nie nastąpi, istnieje możliwość uzyskania częściowego sukcesu przez Moskwę. Latem ub.r. Federacja Rosyjska (FR)

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b96b151b81

przestawiła przemysł zbrojeniowy na tory wojenne. Produkują znowu dużo amunicji, ciężki sprzęt, mundury sprowadzają z Korei Północnej, a drony z Iranu. Z kolei by strona ukraińska mogła przejść do kontrofensywy w przyszłości, musi utrzymać front szczególnie w rejonie Bachmutu i równowagę w powietrzu. Trzeci warunek: obezwładnienie rzutów czy odwodów na terytorium Rosji, które przygotowują się do uderzenia. Dlatego niezbędne są dostawy nowoczesnego uzbrojenia, i to jak najszybciej.

Moskwa poniosła poważne straty w sprzęcie pancernym. Mają o połowę mniej czołgów. Lotnictwo nie stanowi jak na razie poważnej siły Kremla. Wielu żołnierzy zawodowych poległo i zastępują ich słabo wyszkoleni poborowi. Czy w ogóle są w stanie przeprowadzić skuteczną ofensywę?

Jako zawodowy oficer kieruję się zasadą: nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika. Kto go nie docenia – przegrywa. Ta wojna pokazała, że strategia rosyjska dalej polega na przewadze ilościowej. Ukraińcy do dziś opierają się na produkowanym u siebie sprzęcie postsowieckim, choć dostają coraz więcej zachodniej broni. Ciągle za mało mają HIMARS, artylerii samobieżnej: Krabów, PzH 2000, ale one napływają. Na razie jednak jakiejś wielkiej przewagi jakościowej nie mają. Nie na tyle w każdym razie, żeby niwelować ilościową przewagę Rosji. Co gorsze, nie wiemy, jaką ilością broni pancernej dysponują Rosjanie. Wiemy, że modernizowali i naprawiali uszkodzony sprzęt, ponadto trwa produkcja czołgów, bojowych wozów piechoty, transporterów opancerzonych. Nie znamy stanów ich zapasów. Mówiono o zapasie 12–20 tys. czołgów znajdujących się na składach przed rozpoczęciem inwazji na Ukrainę. Dokładnie nie wiadomo. Mamy informacje, że odtworzyła się 1. Gwardyjska Armia Pancerna, która koncentruje się między Woroneżem a granicą. Biorąc pod uwagę znaną strukturę organizacyjną tej armii, można się spodziewać 500–700 czołgów w jej składzie. Łącznie siły Zachodniego Okręgu Wojskowego, w którego skład wchodzi 1. Gwardyjska Armia Pancerna, mogą posiadać do 1 tys. czołgów. To jest bardzo duże zgrupowanie. I jeszcze jedno. Rosjanie usprawnili system dowodzenia. Działaniami w Donbasie kieruje gen. Siergiej Surowikin. Prawdopodobnie zgrupowaniem wojsk, które szkolą się w głębi Rosji i przygotowują do uderzenia, kieruje inny dowódca z doświadczeniem operacyjnym. Przypuszczam, że koordynacją działań zgrupowania będącego w styczności z wojskami ukraińskimi i przygotowaniami zgrupowania na terenie Rosji zajmuje się szef sztabu generalnego gen. Walerij Gierasimow. Problem teraz polega na tym, że do lata nie mogą rozwinąć dużych zgrupowań wojsk na otwartych przestrzeniach ze względu na wszechogarniające błoto (rasputicę) i wyjść w otwartą przestrzeń, czyli step, co umożliwiłoby im wybieranie dla nich dogodnych kierunków operacyjnych do uderzeń, zaskakując stronę ukraińską, z możliwością obchodzenia umocnionych miast i bronionych obszarów zgrupowań pancerno-zmechanizowanych.

Uważa pan, że z powodu pogody i błota Rosjanie nie uderzą z całą siłą przed czerwcem?

A niech tak zrobią, to znowu dostaną łupnia i poniosą straty jak na początku wojny. Chyba że presja polityczna Kremla będzie tak silna, że popełnią ten sam błąd. Raczej skupią się teraz na kruszeniu obrony masami piechoty, dalej stosując w praktyce teorię „głębokich uderzeń" na wrażliwą infrastrukturę państwa ukraińskiego, w tym Kijowa. Zauważmy, że Niemcy w czasie inwazji na Związek Sowiecki prowadzili działania wojskami pancernymi i zmechanizowanymi głównie latem. Często z sukcesem. Tylko w 1943 r. dojechali aż do Stalingradu. Rosjanie na Ukrainie zimą i wiosną ub.r. złamali tę zasadę.

Do tej pory ten konflikt przypomina I wojnę światową. Wtedy milionowe armie przez lata nie mogły przełamać frontu. Dopiero gdy pod koniec weszły do akcji czołgi, zawaliła się niemiecka obrona. To dlaczego teraz miałoby być inaczej, tym bardziej że nasycenie bronią maszynową i artylerią na jeden kilometr frontu jest dużo większe. Bez zmasowanego ataku pancernego nie da rady odnieść sukcesu w postaci przełamania frontu. Czy myślę właściwie?

Absolutnie tak. Teraz czołgi działają jako wsparcie piechoty, a nie masa przełamująca. Ukraińcy bardzo dobrze postępują, broniąc się. Stosują m.in. zasadę ekonomii sił. Wykorzystują dogodne tereny do prowadzenia działań obronnych, bronią miast mających operacyjne znaczenie, blokują węzły komunikacyjne ważne ze względu na możliwości wykonywania manewrów wojskami i organizację zaopatrzenia dla walczących. Przypuszczam, że ukraińscy dowódcy zdają sobie sprawę z tego, że czeka ich decydujące starcie z Rosjanami, by zatrzymać obecne i przyszłe natarcie wojsk przeciwnika z terytorium Rosji. Dlatego trzymają odwody na zapleczu i zużywają je w stopniu, w jakim należy to robić. Żeby jednak przejść do skutecznej kontrofensywy, muszą utrzymać co najmniej równowagę w powietrzu. Nie polega to do końca na posiadaniu określonej liczby samolotów. W dużej mierze również na skuteczności działania obrony przeciwlotniczej. Ale tę akurat armia Kijowa ma coraz mocniejszą. Dziś jest na tyle skuteczna, że Rosjanom nie udało się sparaliżować uderzeniami rakietowymi i lotnictwem dostaw uzbrojenia z Zachodu na front i załamać morale ukraińskiej ludności. Mam nadzieję, że Ukraińcy trzymają w pogotowiu swoje odwody strategiczne, przygotowując się na kolejną fazę wojny. Jeśli dobrze rozegrają sztukę operacyjną w wykorzystaniu wojsk pancernych i zmechanizowanych oraz bojowego wsparcia i zabezpieczenia w tej fazie wojny, to istnieje szansa zatrzymania rosyjskiego walca, a może nawet przełamania frontu.

> Jeśli Rosjanie uderzą na Ukrainę z całą siłą przed czerwcem, to znowu dostaną łupnia i poniosą straty jak na początku wojny. Chyba że presja polityczna Kremla będzie tak silna, że popełnią ten sam błąd

eprasa.pl b96b151b81



Platforma ludz



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Nie dajmy sobie wmówić, że przeciętny wyborca PO kieruje się tylko troską o demokrację, praworządność czy liberalne wartości. Przeciwnie, pod tymi ładnie brzmiącymi hasłami skrywają się często niskie motywy, kompleksy lub zwykły brak wiedzy

Koalicja Obywatelska jest najsilniejszym ugrupowaniem anty-PiS-owskiej opozycji. Według ostatnich sondaży swój głos chce na nią oddać – w zależności od badania – od 22 do 30 proc. wyborców. Kim są ci ludzie?

Oni sami przedstawiają się jako nowocześni, wykształceni, stosunkowo młodzi zwolennicy wolności – indywidualiści, którzy walczą z dyktatem władzy i wszelkich ideologii. Jednym słowem: liberałowie. I choć tacy też się pewnie w tym obozie zdarzają, to rzeczywisty obraz przeciętnego wyborcy Platformy jest znacznie bardziej złożony.

Bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że wielu głosujących na PO jedynie pretenduje do bycia liberałem, bo taki wizerunek pozwala leczyć własne kompleksy, daje poczucie awansu społecznego i prymitywnie pojmowanej elitarności. Ta potrzeba dowartościowania bywa tak silna, że dla niektórych wyborców PO staje się główną treścią ich życia i wywołuje skrajne emocje.

To właśnie na podgrzewaniu takich emocji żeruje spora część anty-PiS-owskiej opozycji. Rządząca prawica jest przedstawiana jako największe zagrożenie dla aspiracji platformerskiego ludu, jako ciemna siła próbująca z powrotem wtrącić ten lud do zaścianka, z którego niedawno z trudem się wydostał. To dlatego spora część wyborców PO postrzega PiS jako egzystencjalnego wroga, którego za wszelką cenę trzeba pozbawić władzy i zniszczyć.

WYCHOWANKOWIE

Nie dajmy sobie wmówić, że przeciętny wyborca PO kieruje się głównie troską o demokrację, praworządność czy liberalne wartości. Przeciwnie, pod tymi ładnie brzmiącymi hasłami skrywają się zazwyczaj bardzo niskie motywy i gigantyczne kompleksy. Gdyby rzeczywiście chodziło o jakość życia publicznego w Polsce, to ani Platforma, ani jej zwolennicy nie zachowywaliby się wobec swoich politycznych rywali jak mongolska horda łaknąca krwi i nie obawialiby się stanąć z nimi do merytorycznej debaty.

Oczywiście pojawia się tutaj pytanie: na ile pies kręci ogonem, a na ile to ogon kręci psem? To znaczy – w jakim stopniu politycy PO sterują zachowaniami swoich wyborców, a w jakim są zakładnikami nastrojów panujących wśród własnego elektoratu?

W pewnym sensie Platforma jest bardzo polską partią. W tym znaczeniu, że kumuluje w sobie większość naszych wad narodowych. Są tu spore pokłady i cwaniactwa, i chamstwa, i egoizmu, i bezinteresownej złośliwości wobec bliźniego. Wystarczy spojrzeć do mediów społecznościowych i poczytać wpisy zwolenników partii Tuska, by się o tym przekonać.

W codziennym życiu człowiek zwykle wstydzi się takich zachowań, nie przyznaje się do nich, by nie uchodzić we własnym otoczeniu za prymitywnego chama. Ale uczestnictwo w większej grupie podobnie myślących i zachowujących się ludzi daje poczucie rozgrzeszenia, pozwala bezkarnie dawać upust własnym frustracjom i słabościom – w końcu rzekomo chodzi przecież o dobro publiczne. To trochę tak jak z niektórymi artystami performerami, takimi np., którzy biegają publicznie nago, smarują się ekskrementami lub płynami fizjologicznymi.

Fot. Krzysztof Radzki/East News

eprasa.pl b96b151b81



kich słabości

Gdyby zachowywali się tak w obecności własnych sąsiadów w bloku, to zostaliby zapewne wzięci za wariatów, ale gdy przedstawiają to na wystawach jako formę sztuki, to wówczas są usprawiedliwieni.

Ktoś może powiedzieć, że nienawistników i frustratów nie brakuje również po drugiej stronie politycznej barykady. Oczywiście, że są po obu stronach. Tyle że – jak pokazują badania socjologiczne (np. analizy Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego) – nienawiść i pogarda nie zdominowały prawej strony w tak wielkim stopniu, w jakim zdegenerowały anty-PiS-owską opozycję spod znaku PO.

Nie ma społeczeństw doskonałych i Polacy nie są tu żadnym wyjątkiem. W historii zawsze się u nas pojawiały – niezależnie od osobistych wyborów światopoglądowych – zachowania heroiczne, otwarcie na bliźniego, troska o dobro wspólnoty (nazywana czasem myśleniem propaństwowym), tolerancja dla odmiennych przekonań. Były jednak również zupełnie inne postawy: tchórzostwa, egoizmu (często mylonego z indywidualizmem), konformizmu oraz łajdactwa i zwykłej głupoty. W różnych epokach i w różnych okolicznościach przeważały szlachetne zachowania bądź podłe. Nie ma żadnego powodu, by myśleć, że dziś jest inaczej.

Główny zarzut wobec Platformy Obywatelskiej polega na tym, że ta partia od czasu swojej pierwszej porażki wyborczej z PiS w 2005 r. cynicznie pielęgnowała najgorsze cechy Polaków i uczyniła z nich główne narzędzie w swojej walce o władzę, doszczętnie demolując w ten sposób polskie życie publiczne. Dokonanych zniszczeń nie uda się naprawić przez długie lata, bo postawy ukształtowane wśród ludzi w toku brutalnej kampanii politycznej stały się już na tyle trwałe, że przeżyją wiele lat nawet bez Tuska i Platformy. Jeśli więc Platforma chce nadal coś znaczyć na scenie politycznej, to nie ma wyboru i musi ciągle podążać tą samą niszczycielską ścieżką.

SILNI RAZEM

Nieustanna mobilizacja elektoratu PO przeciwko prawicy spowodowała, że część spośród najwierniejszych wyborców tej partii przekształciła się w rodzaj sekty, która podpisuje się w internecie jako Silni Razem. To dość dziwni ludzie, którzy sprawiają wrażenie, jakby w ogóle nie mieli własnego życia, własnych domów, rodzin, pracy i cały swój czas poświęcali wyłącznie politycznym przepychankom i pyskówkom. Można byłoby ich przyrównać do dawnych komunistycznych funków, gdyby nie to, że w przeciwieństwie do nich nie są (a prawdopodobnie większość nie jest) na partyjnych etatach.

Są uzasadnione podejrzenia, że niektórzy spośród Silnych Razem działają z emigracji, kompensując w ten sposób swoje życiowe niepowodzenia za granicą. Inni mieszkają tu w Polsce, to z nich rekrutują się przeróżne bojówki zakłócające państwowe uroczystości oraz spotkania polityków PiS. Wspólna walka przeciw „reżimowi", rozpoczęta pewnie jeszcze w czasach manifestacji KOD i groteskowych dyżurów w przyczepach kempingowych, połączyła tych ludzi i nadała im sens życia. Głupi sens, ale jednak jakiś sens. Być może zresztą niektórzy z nich liczą na jakąś wdzięczność liderów PO i profity w przyszłości.

To właśnie tacy frustraci są najwierniejszymi żołnierzami Tuska, bo to on – z jego z trudem skrywaną złością i zawiścią – jest faktycznym twórcą tej sekty. Sekciarze widzą w Tusku samych siebie, pokrzywdzonych przez PiS liberałów, rzekomo otwartych na świat, oświeconych znawców wina i sztuki, którym zła władza zabiera życiowe szanse i możliwości. Gdy jednak – choćby w internecie – wejdziemy na konta tych bojowników o wolność, by zobaczyć, kim są, to zamiast wyrafinowanego estety pojawi się nam na ekranie przepuszczona przez filtry opasła twarz prowincjonalnego geszefciarza, który wydoił już z budżetu wszystkie zapomogi przekazane mu przez znienawidzony reżim, a teraz knajacko ujada na swoich wybawicieli.

Żeby to zresztą było tylko ujadanie. Ludzie ci, działając głównie w internecie, rozsiewają każdego dnia dziesiątki kłamstw i manipulacji. Można zakładać, że sami ich nie wymyślają (nie ten rozum), więc ktoś – być może

eprasa.pl b96b151b81

jacyś funkcyjni działacze lub wynajęte firmy zajmujące się czarnym PR – podsuwają im świeże fejki. Prawdopodobnie zresztą sekciarze, podobnie jak ich internetowi odbiorcy, wierzą w podsyłane im bzdury. To właśnie stąd wzięły się w ostatnim czasie, podsycane potem przez anty-PiS-owskie media, afery z rzekomym brakiem cukru, węgla czy chlebem po 30 zł. Nie brakuje też prymitywnych, wulgarnych memów mających obrzydzić politycznych rywali.

Można powiedzieć, że tak się dziś, niestety, uprawia politykę. Owszem, tyle że ci, którzy się tak bawią, nie powinni pretendować do miana obywateli zatroskanych losem wspólnoty. To zwykli internetowi trolle, którzy z sobie tylko znanych osobistych powodów niszczą tę wspólnotę, codziennie zalewając ją ściekiem kłamstw i wyzwisk. Ich fanatyzm, cynicznie podsycany przez bliżej nieznanych partyjnych strategów, staje się już niebezpieczny dla państwa.

ZAGUBIONE UMYSŁY

Nie można oczywiście stwierdzić, że wśród zwolenników PO są wyłącznie fanatycy i brakuje normalnych ludzi o dobrych intencjach. Z pewnością tacy są, może nawet wielu, choć taki ich wybór polityczny nie świadczy raczej o dużej przenikliwości intelektualnej. W pluralistycznym społeczeństwie różnice światopoglądowe są zrozumiałe, zatem nie o niewłaściwe poglądy tych ludzi tu chodzi, ale o rozumienie demokracji i dobra publicznego. Żaden przytomny człowiek, któremu leży na sercu jakość państwa i debaty publicznej, nie powinien przechodzić do porządku dziennego nad destrukcyjnym sposobem uprawiania polityki przez Platformę, a nie uderza ona wyłącznie w zwolenników obozu rządzącego, ale także w sympatyków innych formacji.

Ostatnio – o tym, co PO rozumie przez uprawianie polityki – mogli przekonać się choćby działacze partii Szymona Hołowni, zmieszani z błotem za to, że zwątpili we wspólną listę wyborczą. To samo tyczy się także części lewicy, której nie po drodze z Donaldem Tuskiem. Trudno zrozumieć, że nie wzbudza to wątpliwości wśród tych wyborców PO, którzy jakoby kierują się szlachetnymi pobudkami.

Wytłumaczenie może być zatem tylko jedno. Tacy ludzie, to przynajmniej w jakiejś – pewnie sporej – części po prostu poczciwi głupcy. Niektórzy, zamknięci w swoich bańkach informacyjnych i towarzyskich, być może rzeczywiście wierzą w to, że odsuwając PiS od władzy, ratują Polskę przed osunięciem się w putinowski autorytaryzm. Ale – jeszcze raz powtórzmy – oznacza to, że kompletnie nie rozumieją, co się wokół nich dzieje.

Szczególną kategorią są tu artyści i celebryci, działający zwykle pod presją własnego środowiska. Niewiele wiedzą, jeszcze mniej rozumieją, ale za to są próżni i tę próżność łatwo wykorzystać. Dlatego plotą głupstwa o strasznych rządach PiS, choć nawet najmniejsza krzywda im się nie dzieje, ale dzięki tym bzdurom mogą trochę zapunktować w towarzystwie („Jaki ty jesteś odważny/odważna"), a przy okazji przypomnieć światu o własnym istnieniu (i o własnej głupocie).

> W pewnym sensie Platforma jest bardzo polską partią. W tym znaczeniu, że kumuluje w sobie większość naszych wad narodowych

Czasem bywa tak, że o poglądach ludzi decyduje też głupia przekora i słaba pamięć. Działają pod wpływem impulsu lub otoczenia, często zupełnie wbrew własnym interesom, na zasadzie: „Skoro inni mówią, że PiS jest zły, to ja też tak uważam". Ale dlaczego tak uważają, sami nie wiedzą.

WYWŁASZCZENI ARYSTOKRACI

Najbardziej znanym przedstawicielem elektoratu PO jest oczywiście leming. Czyli ten wykształcony, młody z wielkiego miasta. W rzeczywistości nie jest ani wykształcony, ani już nie młody, ani też nie pochodzi z wielkiego miasta. On po prostu chce za takiego uchodzić, dlatego robi wszystko, by odciąć się od własnych korzeni i być – wprawdzie tylko w swoim mniemaniu – nowoczesny i postępowy. Pije wino, odszedł od Kościoła i oczywiście głosuje na PO, bo dowiedział się, że tak robią miastowi, a na prawicę głosują tylko nieokrzesane chamy ze wsi, podczas gdy on bardzo wstydzi się własnych przodków.

Czasem o konkretnym wyborze politycznym decydują nie tylko kompleksy, głupota czy fanatyzm, lecz także interes, czyli – mówiąc wprost – pieniądze. Niektórym po prostu za rządów Tuska żyło się lepiej niż dziś. Szły wielkie interesy, przekręty na VAT, optymalizacje podatkowe, dlaczego więc mieliby nie chcieć tego, ażeby – jak to ładnie określiła Agnieszka Holland – „znowu było, tak jak było". To kategoria dość szczególna – ludzi, którzy uważają się za lepszych od innych, niemalże za arystokratów wybijających się spośród rzeszy pospólstwa zrewoltowanego przez PiS.

Zresztą nie zawsze chodzi tu o ogromne pieniądze, czasem wystarczy subiektywne poczucie skrzywdzenia i mniej lub bardziej złudne nadzieje na lepszą przyszłość po zmianie władzy – mam tu na myśli tych, którzy liczyli, że po objęciu rządów przez PiS w 2015 r. załapią się na jakieś profity, bo uważali, że im się one po prostu należą, ale nic z tego nie wyszło. Sporo takich osób krąży w przestrzeni publicznej i dość łatwo je zlokalizować. To zwykle ci, którzy w ostatnich latach przeszli polityczną metamorfozę i dość nieoczekiwanie rozczarowali się PiS-owską władzą. Tyle że to ich rozczarowanie, choć po ludzku może wydawać się zrozumiałe, nie ma nic wspólnego z troską o państwo. Prędzej z osobistymi planami.

I oto taki konglomerat ludzkich słabości urósł w Polsce w ciągu ponad siedmiu lat rządów Zjednoczonej Prawicy i w większości schronił się pod skrzydłami PO. Chyba jednak nie byłoby dobrze, gdyby to ludzkie słabości miały decydować o naszej wspólnej przyszłości.

eprasa.pl b96b151b81



Fot. Pablo Barrera/ANADOLU AGENCY/Anadolu Agency via AFP/East News

Dywersant Trzaskowski

Zapał prezydenta Warszawy w realizowaniu awangardowego programu C40, dotyczącego klimatycznej rewolucji odczuwalnej dla wszystkich obywateli, może pogrzebać wyborcze szanse opozycji na zwycięstwo



STANISŁAW JANECKI

Prezydent Warszawy i wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej już się zorientował, że to, co uznawał za swoje wielkie osiągnięcie, może skutkować przegraną opozycji w wyborach parlamentarnych jesienią 2023 r. Tym wielkim osiągnięciem miała być rola jednego z liderów inicjatywy C40, czyli miast najbardziej zaangażowanych w ochronę klimatu, stawiających sobie ambitne zadania nie tylko redukcji tego, co klimatowi szkodzi, lecz także takiej przebudowy społeczeństwa, żeby ono samo było klimatyczną awangardą.

C40 utworzyły w 2005 r. władze 18 metropolii, a należy do niej obecnie 96 „progresywnych" miast, wypracowujących 20 proc. światowego PKB. To m.in. Amsterdam, Ateny, Bangkok, Barcelona, Berlin, Chicago, Hongkong, Johannesburg, Kopenhaga, Kuala Lumpur, Lizbona, Londyn, Los Angeles, Meksyk, Melbourne, Miami, Montreal, Nairobi, Nowy Jork, Paryż, Pekin, Rzym, Seul, Sztokholm, Tel Awiw, Waszyngton. Warszawa jest członkiem C40 od 2007 r. Przewodniczącym projektu jest obecnie burmistrz Londynu Sadiq Khan.

eprasa.pl b96b151b81

Mieszkańcy Warszawy znajdują się jeszcze na początku drogi do wielkiej przebudowy, więc trzeba ich najpierw odpowiednio wyedukować, żeby nie odrzucili zbawiennych dla klimatu propozycji. Niestety „Dziennik Gazeta Prawna" opublikował w lutym 2023 r. grafikę, w której przedstawiono ambitne cele zmiany stylu życia. Okazało się, że społeczeństwo nie było na nie przygotowane, mimo że ambitne cele zostały sformułowane już w 2019 r., ale nie zostały dostatecznie spopularyzowane, a przede wszystkim nie wyjaśniono sensu ich wprowadzania.

Spora część mediów – za nimi politycy, a potem pospolite ruszenie na platformach społecznościowych – wyśmiała plany albo uznała za kompletnie nierealistyczne, co Rafała Trzaskowskiego najpierw zaskoczyło, potem zasmuciło, a wreszcie mocno zirytowało. Przyznał więc, że ambitny projekt przemiany społecznej wprawdzie istnieje, ale to tylko szkic drogi do celu, a nie konkretne dyrektywy. Nie tylko warszawiacy, lecz także Polacy mogą więc spać spokojnie.

Gdy wrzawa nie ucichła, Trzaskowski na tyle się zdenerwował, że zaatakował Prawo i Sprawiedliwość oraz niemainstreamowe media, iż robią problem z czegoś, co właściwie nie istnieje, co nie ma szans wejścia w życie i jest tylko luźną propozycją intelektualistów zatroskanych o klimat. Mleko się jednak rozlało i powstał całkiem spory ruch sprzeciwu wobec wizji naprawy klimatu przez zasadnicze redukcje i zmianę stylu życia. Ruch może nawet większy i głośniejszy od zwolenników zmian zaproponowanych w 2019 r. przez inicjatywę C40. A jeśli coś jest głośne i szybko się rozrasta, nabiera politycznej wagi.

JAK BĘDZIEMY RZĄDZIĆ, TO BĘDZIE SZYBCIEJ

Cele stawiane przez C40 to m.in. spożywanie rocznie najwyżej 16 kg mięsa na osobę (w wersji optymalnej – wykluczenie mięsa z diety), ograniczenie spożycia nabiału do 90 kg na osobę (w wariancie maksymalnym wykluczenie go z diety), ograniczenie dziennego spożycia do 2,5 tys. kcal w przypadku mężczyzn oraz 2 tys. kcal dla kobiet, zmniejszenie liczby aut do 190 na 1000 mieszkańców i wydłużenie ich żywotności do 20 lat, a urządzeń elektronicznych do 7 lat, skrócenie łańcuchów dostaw, doprowadzenie do tego, żeby dominowały zakupy od lokalnych wytwórców. Redukcje objęłyby też zakupy nowych ubrań: o 39 proc. do 2030 r. i o 66 proc. do 2050 r., oraz podróże lotnicze – do jednej na 2 lub 3 lata na osobę.

Rafał Trzaskowski zaczął od planów ograniczenia liczby samochodów przez wyznaczenie strefy czystego transportu. Na razie ratusz planuje ją jedynie w otoczeniu centrum miasta i części dzielnic przylegających do Śródmieścia. Magistraccy urzędnicy włączyli się też w promowanie roślinnej diety, m.in. w szkolnych stołówkach.

> Polacy alergicznie reagują na wszelkie pomysły ograniczeń, reglamentacji i przymusowych zmian stylu życia, bo to się im kojarzy z przeszłością, czyli z komunistycznym w stylu zamachem na prawa i wolności obywatelskie. A do tego sprowadza się program C40

Gdy zaczęło być głośno o prezydencie Warszawy jako awangardziście w kwestii stylu życia, w tym zmiany nawyków żywieniowych, ten stwierdził: „Nie chcemy nikomu zabraniać jedzenia mięsa. Dementuję te wszystkie głupoty i manipulacje powtarzane przez rządzących. To PiS zabiera mięso Polakom, bo przez ich politykę inflacja i drożyzna doprowadza do tego, że mało kogo stać na to, by codziennie jeść mięso". Ale trzy warszawskie radne Koalicji Obywatelskiej jednak oburzyły się, że „w wielu szkołach posiłki wegetariańskie nie są dostępne. [...] Dla osób niejedzących mięsa brak posiłków wegetariańskich w szkolnych stołówkach oznacza brak ciepłego posiłku w ciągu dnia". A Jakub Leduchowski, zastępca rzecznika miasta, poinformował, że wprowadzenie dań wegetariańskich oraz dni bezmięsnych dla wszystkich dzieci miasto zaproponowało dyrektorom placówek oświatowych już w 2019 r. To jeszcze nie to, co zrobiły władze szkockiego Edynburga, gdzie wykluczono mięso z jadłospisu szkolnych stołówek. To jeszcze nie to, co zrobił rząd Francji, który nakazał, by w szkołach roślinne menu obowiązywało przynajmniej jeden dzień w tygodniu. Ale lawina ruszyła.

Awangarda społeczna spod znaku C40 nie ma wątpliwości, że trzeba ograniczyć wiele nawyków, np. swobodę wyboru środka transportu czy tego, co jemy i w co się ubieramy. C40 radzi np., by miasta wpływały na ograniczenie dostępności mięsa, radykalnie zmniejszając zamówienia publiczne na jego zakup.

Problemem jest to, że Polacy nie akceptują ograniczeń ich praw i wolności, a szczególnie tych dotyczących życia codziennego. Dlatego plany C40 traktują bardzo poważnie i jest prawie pewne, że będzie to ważny temat kampanii wyborczej. Polacy traktują plany C40 podobnie jak obowiązkowe dostawy wprowadzone przez komunistów w latach 1944–1946, a potem w latach 1951–1953 i zniesione dopiero od 1 stycznia 1972 r. Traktują tak jak reglamentację towarów (w tym kartki) w latach 1944–1949, 1951–1953 i 1976–1989. Byłby to regres i ograniczenia, jakie istniały tylko w czasach komunizmu, a po 1989 r. nigdy nie były nawet rozważane.

Problemem Rafała Trzaskowskiego, Platformy Obywatelskiej i części opozycji jest to, że prezydent Warszawy publicznie oświadczył (podczas Campusu Polska 2022): „My się do tego przygotowujemy krok po kroku razem z C40, organizacją, która jest najbardziej ambitna, jeśli chodzi o walkę z ociepleniem klimatycznym, mamy dokładny plan, jak do tego dojść. Jak będziemy rządzić, to będzie szybciej". Trzaskowski z lutego 2023 r. zaprzecza

Autopromocja

eprasa.pl b96b151b81

Trzaskowskiemu z sierpnia 2022 r., ale to ten ostatni miał długofalowy program, którym się zresztą szczyci.

W CIENIU SOROSA

Kiedy cele C40 zostały ujawnione, a politycy PiS wezwali Rafała Trzaskowskiego do konkretnej odpowiedzi, czy zamierza wprowadzić rekomendacje, ten zaatakował pytających. Ale to nic nie zmienia, gdyż prezydent Warszawy zostawił swego rodzaju ślad węglowy swojej aktywności w ramach i na rzecz C40. Był przecież obecny w październiku 2019 r. w Kopenhadze podczas przyjmowania deklaracji C40. Potem na szczycie C40 między 18 a 24 października 2022 r. w Argentynie, a to świadczy o konsekwentnym przygotowaniu do wdrażania rozwiązań zaproponowanych w 2019 r. Efektem spotkań i konsultacji była decyzja z 16 lutego 2023 r., gdy C40 uruchomiło wraz z Open Society George'a Sorosa pilotażowy Europejski Globalny Zielony Nowy Ład, do którego przystąpiły m.in. Warszawa, Barcelona i Mediolan. Te stolice mają dawać przykład innym.

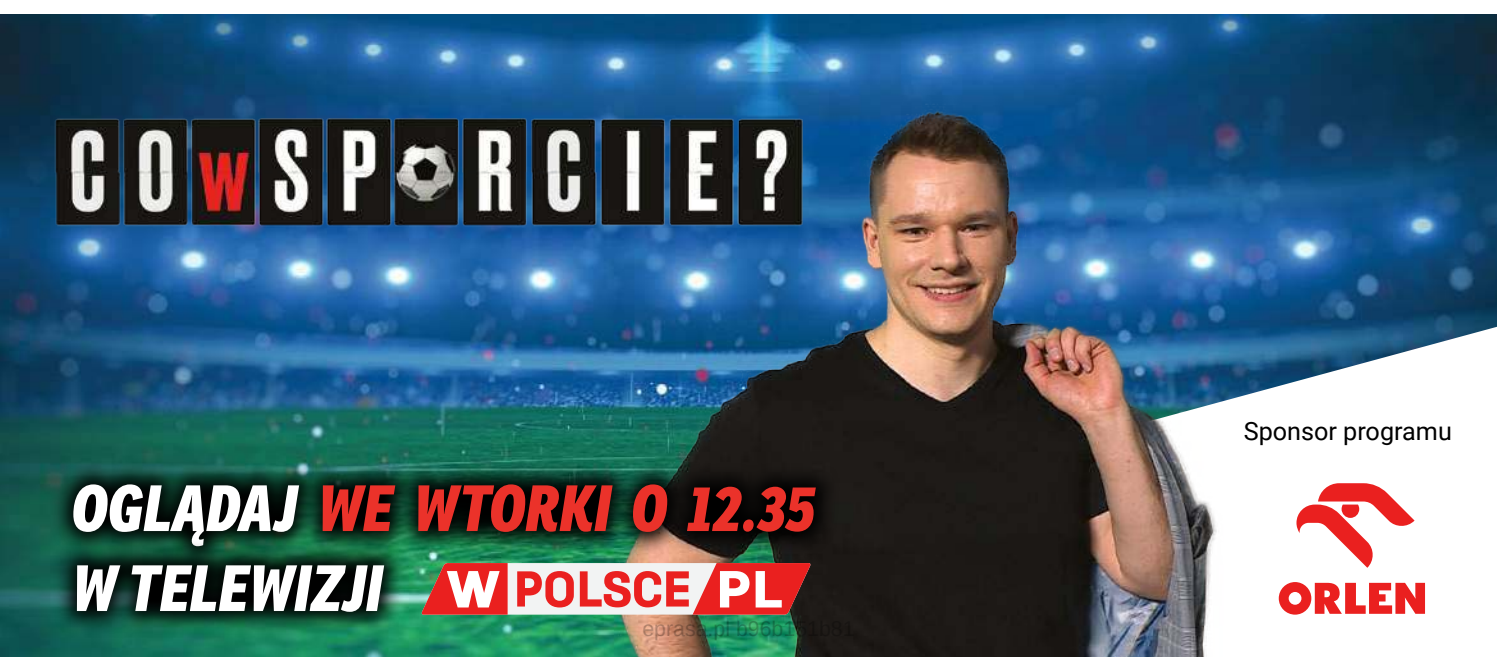
Zaangażowanie Rafała Trzaskowskiego w inicjatywę C40 przypomniało o tym, co Donald Tusk i jego rząd robili w 2012 r. ze sprawą ACTA (Anti-Counterfeiting Trade Agreement), czyli układu między Australią, Kanadą, Japonią, Koreą Południową, Meksykiem, Marokiem, Nową Zelandią, Singapurem, Szwajcarią i USA, do którego miała dołączyć UE. Tusk był wtedy zwolennikiem podpisania przez Polskę ACTA. Formalnie umowa miała ułatwiać walkę vw alnej oraz handlem podrabianymi towarami. Organizacje pozarządowe oraz dziesiątki milionów internautów na świecie uznały ją za kagańcowe prawo blokowania różnych treści w internecie oraz cenzurę. W styczniu 2012 r. Donald Tusk mówił: „Rząd w żadnym wypadku nie ustąpi wobec szantażu. Nie wyobrażam sobie, by polski rząd, polski parlament, polski premier ustępował przed kimś, kto mówi: »Nie podpisuj, bo inaczej opublikujemy kompromitujące dane o twoich urzędnikach«". Ostatecznie Tusk jednak ustąpił wobec masowych protestów, a nawet zadeklarował, że będzie walczył z cenzurą w internecie. Tyle że niewielu mu uwierzyło, a dla młodych ludzi stał się wtedy niewybieralny. To przyspieszyło jego decyzję o ucieczce do Brukseli z polskiej polityki, do czego doszło pod koniec 2014 r.

Sprawa planów inicjatywy C40 oraz Rafała Trzaskowskiego jest traktowana w kontekście wyborczym i ogólnie politycznym jako znacznie groźniejsza niż ACTA. Byłaby bowiem największą po II wojnie światowej ingerencją w życie polskiego społeczeństwa, w dodatku dotyczącą i dotykającą każdego. Ingerencją oznaczającą ograniczenie praw i wolności każdego. Dlatego wywołuje i może jeszcze wywołać równie spektakularne protesty, jak to było w wypadku ACTA.

Rafał Trzaskowski jest jednoznacznie kojarzony z inicjatywą fundamentalnego ograniczenia praw i wolności obywatelskich, w dodatku jest wiceprzewodniczącym PO, był kandydatem tej partii w wyborach prezydenta RP i jest wymieniany jako kandydat na premiera. A to oznacza, że może być uznany za polityka groźnego dla większości Polaków, a przez niego za groźną może być uznana Koalicja Obywatelska (PO). Pośrednio za niebezpieczną może być również uznana lewicowa opozycja. Ta, która uznaje propozycje C40 za słuszne i warte wdrożenia, choć część lewicy się z tym kryje.

Żadna sprawa społeczna, w dodatku mająca długofalowe i radykalne konsekwencje, od lat nie miała takiego znaczenia. Co oznacza, że może mieć też wpływ na wybory parlamentarne w 2023 r.

Polacy alergicznie reagują na wszelkie pomysły ograniczeń, reglamentacji i przymusowych zmian stylu życia, bo to się im kojarzy z przeszłością, czyli z komunistycznym w stylu zamachem na prawa i wolności obywatelskie. Trzaskowski, Tusk i PO już to wiedzą. Dlatego są mocno przestraszeni i zrobią wszystko, by to nie zdominowało kampanii wyborczej. Rewolucje zaczynają się od pozornie drobnych spraw, o czym Polacy akurat dobrze wiedzą.





Robert Bąkiewicz



Bartosz Malewski

Personalne wycinanki u narodowców

W Konfederacji robi się przed wyborami nerwowo. Z każdej strony trwają przepychanki, wycinanie przeciwników i walka o szyldy stowarzyszeń, partii, organizacji. Ciekawe w tym jest jednak to, że jeden z wewnętrznych nurtów tej partii popiera mainstream III RP. Czy to nie dziwne, że polityczna grupa, w której są głosy uniewinniające Hitlera z Holokaustu, straszące Żydami i wyjściem z Unii, znajduje tyle zrozumienia w liberalnych środowiskach?



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

W niedzielę 19 lutego br. odbyło się spotkanie członków Stowarzyszenia Marsz Niepodległości. Część z nich nazywa je teraz zjazdem walnym, który usunął z funkcji prezesa Roberta Bąkiewicza, a pozostali – zwykłym zebraniem, które nie miało kworum i mocy wiążącej, by wymienić władze. Tak oto od tygodnia trwa spór, czy liderem Stowarzyszenia koordynującego wielkie, coroczne wydarzenie na 11 listopada jest Robert Bąkiewicz, czy 29-letni Bartosz Malewski. Tego ostatniego od dawna popierają parlamentarzyści Krzysztof Bosak i Robert Winnicki, którzy za Bąkiewiczem nie przepadają. Zresztą ta niechęć jest odwzajemniona.

– Roberta drażni gwiazdorzenie Bosaka – mówi nam osoba z władz Stowarzyszenia. – Z kolei Krzysztof nieufnie patrzy nie uniezależnienie się Roberta na wszystkich polach: organizacyjnym, finansowym i prawnym – dodaje. Faktycznie, Bąkiewicz założył stowarzyszenia i fundacje (np. Roty Niepodległości), pozyskuje fundusze i realizuje różne projekty, także proukraińskie, co wielu narodowców nastawionych życzliwie do Rosji jako niby to ostoi konserwatyzmu mocno irytuje. Bosak publicznie posunął się nawet do ostrych oskarżeń wobec Bąkiewicza na antenie Radia Zet: „PiS go kupił. Mamy nawet wyciek korespondencji. Oni po prostu ich kupili za te pieniądze, pierwotnie była mowa o 20 mln, później chyba trochę zeszli z ceny. Traktujemy ich jak zdrajców. To są po prostu zdrajcy, którzy się sprzedali za pieniądze". Prowadzącym program był Andrzej Stankowski, który słynie ze swojej anty-PiS-owskiej retoryki. To on był jednym z głównych dyrygentów akcji w wyborach 2020 r., kiedy chciał publicznie zarzucić prezydentowi Andrzejowi Dudzie, że ułaskawił pedofila, co wywołałoby lawinę szumu informacyjnego i prawdopodobnie oddało Pałac Prezydencki w ręce Trzaskowskiego.

Po co wspominać o tej gwieździe Onetu i Radia Zet? Ano tydzień po tej arcyżyczliwej rozmowie z Bosakiem, w której zgodnie krytykowali obóz rządzący, część członków Stowarzyszenia Marsz Niepodległości ogłasza, że Robert Bąkiewicz nie jest już prezesem. Warto to odnotować, gdy partia Korwin-Mikkego, Brauna i Bosaka mieni się jako antysystemowa,

Fot. Andrzej Wiktor, Liudmyla Kazakova

eprasa.pl b96b151b81

a tymczasem to liberalny establishment wspiera ich działania i roszady personalne. Onet zrobił również wywiad z Bartoszem Malewskim, ogłaszając go nowym prezesem i wystosowując wiele zarzutów wobec Bąkiewicza, któremu nie dał się wypowiedzieć w adekwatny sposób. Widać wyraźnie, że główne media wspierają przewrót Winnickiego i Bosaka, choć na tę chwilę (23 lutego) Bąkiewicz jeszcze walczy. Na posiedzeniu zarządu usunął wielu członków ze Stowarzyszenia, w tym właśnie posłów Konfederacji.

BĄKIEWICZ: NIELEGALNA ZMIANA WŁADZ

My zapytaliśmy obie strony, jaka jest przyczyna sporu. Bąkiewicz o zgromadzeniu z 19 lutego wypowiada się jednoznacznie. – To walne zostało zwołane nieprawidłowo – komentuje dla tygodnika „Sieci". – Dokonano zmiany władz przez procedury, które są nielegalne – ciągnie działacz narodowy. Jego zdaniem Bosak i Winnicki wzięli go sobie na cel jako zagrożenie. – Zwłaszcza że często publicznie wyrażam poglądy, które nie są zbieżne z opiniami moich, nazwijmy to, kolegów czy nawet całej Konfederacji. – Bąkiewicz już wcześniej wyrażał się sceptycznie o Ruchu Narodowym, który dla polityki sejmowej wszedł w koalicję z „liberałami", czyli m.in. partią Janusza Korwin-Mikkego (dziś Sławomira Mentzena). Zdaniem założyciela Rot Niepodległości prawica narodowa nie powinna wchodzić w takie alianse, gdyż traci na ideowości. Ale w ostatnim roku pod adresem posłów powiązanych z Ruchem Narodowym Bąkiewicz wysunął jeszcze inne, poważniejsze zarzuty. – W niektórych przypadkach jest to afirmacja Rosji. Pojawia się tu rozwadnianie odpowiedzialności strony rosyjskiej w tej wojnie, a ja uważam, że taka postawa jest bardzo niebezpieczna i dla Polski, i dla środowiska narodowego – wyjaśnia. Wiele wskazuje na to, że Bąkiewicz pozwie do sądu tych, którzy publicznie oskarżają go o prowadzenie niejasnej polityki finansowej Stowarzyszenia. Zwłaszcza że Bąkiewicz przecież jest prezesem już drugą kadencję (w sumie od 2017 r.) i wybrano go głosami jego obecnych przeciwników.

MALEWSKI: BYŁO MNÓSTWO NIEPRAWIDŁOWOŚCI

Bartosz Malewski jest 29-letnim działaczem z Młodzieży Wszechpolskiej, z wykształcenia prawnikiem, aplikantem radcowskim, współpracującym m.in. z Ordo Iuris. Do tej pory był mało znanym członkiem zarządu, niezbyt aktywnym w Stowarzyszeniu Marsz Niepodległości, choć intensywnie zaangażowanym w działalność narodową, np. w Lublinie. Malewski, którego popiera spora część członków Stowarzyszenia, a także takie media jak Onet czy tygodnik „Polityka", nie chce rozgłosu wokół sprawy, obawia się, że robienie z tego afery zaszkodzi organizacji. Bąkiewicza ocenia bardzo krytycznie. – Mamy do czynienia z mnóstwem różnych nieprawidłowości – komentuje dla tygodnika „Sieci" i wskazuje m.in. na wykreślenie Stowarzyszenia z listy organizacji pożytku publicznego, którym można przekazywać 1,5 proc. swoich podatków. Lider antybąkiewiczowskiej frakcji zwraca też uwagę, że jego poprzednik nieprawidłowo złożył sprawozdanie finansowe, o czym zarząd miał nie wiedzieć. Animozji wśród narodowców wydaje się o wiele więcej. Malewski jako jeden z przykładów relacji Bąkiewicza z PiS wymienia poparcie, które poseł Janusz Kowalski miał udzielić na Twitterze zwalczanemu prezesowi, zarzucił też mu poparcie Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich w 2020 r. To szczególnie paląca sprawa – zwłaszcza że aż 50 proc. wyborców Konfederacji w drugiej turze tamtych wyborów poparło Rafała Trzaskowskiego. I tu dochodzimy do konkretnych korzeni tego sporu.

> Anty-PiS-owskość Konfederacji znajduje czułe traktowanie w mediach liberalnych. Establishment III RP zdaje się widzieć w tej partii nadzieję na odebranie PiS części konserwatywnego elektoratu

O ile Bąkiewicz czasem krytykuje PiS, o tyle potrafi też wyrazić uznanie dla obozu rządzącego. Konfederacji, Bosakowi i Winnickiemu to się nie zdarza. Ta anty-PiS-owskość Konfederacji znajduje czułe traktowanie w mediach liberalnych. Establishment III RP zdaje się widzieć w Konfederacji nadzieję na odebranie PiS części konserwatywnego elektoratu, co umożliwiłoby powrót do władzy Donalda Tuska czy Władysława Kosiniaka-Kamysza. O ile z Korwin-Mikke czy Grzegorzem Braunem, którzy wręcz powtarzają propagandę Kremla, nie dałoby się stworzyć nawet zalążków koalicji ze Zjednoczoną Prawicą, o tyle Ruch Narodowy miałby jakieś punkty zbieżne z obecnym obozem rządzącym. W praktyce jednak także Bosak i Winnicki zapisują się do totalnej opozycji, może z dodatkiem w postaci prorosyjskich wstawek, takich jak podchwytywanie antyukraińskich prowokacji czy słowa uznania dla kremlowskiego portalu internetowego Sputnik. Choć Robertowi Bąkiewiczowi pozostało jeszcze kilka miesięcy kadencji, podjęto próbę usunięcia go ze stanowiska wpływowego lidera środowisk narodowych, by oczyścić sobie pole do intensywnego uderzania w PiS. Malewski pytany o swój stosunek do Bosaka i Winnickiego nie wypowiada się.

Konfederacyjne szyki przed wyborami mocno trzeszczą. Ostatnio na konferencji tej partii nie dopuszczono do głosu Grzegorza Brauna. Z kolegi środowisko korwinowców opuścili Artur Dziambor, Dobromir Sośnierz i Jakub Kulesza, którzy założyli partię Wolnościowców. Tego pierwszego wykluczono z koła poselskiego Konfederacji, w środowisku trwa też spór o prorosyjskie wypowiedzi Korwin-Mikkego. Teraz dochodzi spór Bosaka i Winnickiego z Bąkiewiczem. Niewielka grupa posłów niesie za sobą zadziwiająco dużo sporów i konfliktów. Aż dziw, że lubią się czasem jeszcze nazywać ideową prawicą.

eprasa.pl b96b151b81



Praca zdalna została już na stałe wpisana do Kodeksu pracy. Choć niektórzy pracodawcy chętnie z niej rezygnują, to jednak młodzi rodzice mają powody do radości

Ucieczka „do” czy „od” pracy zdalnej?



DOROTA ŁOSIEWICZ

Do niedawna w Kodeksie pracy nie było przepisów dotyczących pracy zdalnej. Możliwość wykonywania obowiązków zawodowych poza miejscem pracy regulowały wówczas przepisy dotyczące telepracy. Pojęcie pracy zdalnej pojawiło się w przepisach rządowych wraz z wprowadzeniem stanu epidemii, czyli jej zasady były oparte na tzw. ustawie covidowej. To jednak się zmieniło, gdy Sejm przyjął nowelizację Kodeksu pracy. „Zostaje wprowadzona definicja pracy zdalnej, możliwość pracy zdalnej, hybrydowej. To są bardzo dobre rozwiązania potrzebne do funkcjonowania państwa, a także wspierające politykę prorodzinną” – mówiła minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg w połowie stycznia, gdy parlament przegłosował zmiany. Według szefowej MRiPS to bardzo wyczekiwana zmiana. Zarówno przez pracodawców, jak i np. rodziców z małymi dziećmi, bo pozwoli łączyć pracę zawodową z życiem rodzinnym.

DLA KOGO TE PRZEPISY?

Na mocy nowych przepisów pracodawca będzie musiał uwzględnić wniosek o pracę zdalną złożony przez: pracownika-rodzica dziecka m.in. legitymującego się orzeczeniem o niepełnosprawności albo orzeczeniem o umiarkowanym lub znacznym stopniu niepełnosprawności, pracownicę w ciąży, pracownika wychowującego dziecko do czwartego roku życia, pracownika sprawującego opiekę nad innym członkiem najbliższej rodziny lub inną osobą pozostającą we wspólnym gospodarstwie domowym, posiadającymi orzeczenie o niepełnosprawności albo o znacznym stopniu niepełnosprawności. „Pracodawca będzie mógł takiemu pracownikowi odmówić pracy zdalnej, tylko jeżeli jej wykonywanie nie będzie możliwe ze względu na rodzaj pracy albo organizację pracy. O przyczynie odmowy pracodawca będzie musiał poinformować pracownika” – tłumaczyła Marzena Maląg.

Praca zdalna okazjonalna będzie udzielana na wniosek pracownika (niewiążący, pracodawca będzie mógł odmówić jego uwzględnienia) w wymiarze 24 dni w roku kalendarzowym. Z uwagi na jej szczególny charakter nie będą stosowane niektóre przepisy dotyczące pracy zdalnej (np. obowiązek zapewnienia materiałów i narzędzi pracy). „Z badań wynika, że młodzi ludzie oczekują elastycznych form zatrudniania” – tłumaczyła mi w studiu wPolsce.pl minister Maląg.

O jakie badania chodzi? Np. 10. coroczny raport LinkedIn Global Talent Trends. „Raport wykazał, że przestrzeń na życie prywatne jest dla pracowników kluczowa. Przedkładają ją nad wszystkie inne kwestie, w tym wynagrodzenie i benefity. Firmy wychodzą naprzeciw tym oczekiwaniom, oferując elastyczne formy zatrudnienia i dostosowany do potrzeb pakiet benefitów” – informuje portal mamopracuj.pl. „Praca zgodna z aktualnymi potrzebami to główna zasada koncepcji work-life fit. Nie chodzi o zachowanie równowagi, lecz o indywidualne dopasowanie obowiązków służbowych do swojego życia prywatnego. Kluczem jest elastyczne podejście ze strony pracodawcy i zrozumienie, że życie – zwłaszcza rodzica – pełne jest nieoczekiwanych zwrotów akcji. Najważniejsze, by osiągać wyznaczone cele. Droga do ich realizacji to już indywidu-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b96b151b81

alna kwestia każdego pracownika" – wyjaśnia portal.

UCIECZKA OD PRACY ZDALNEJ?

Z jednej więc strony cieszą się młodzi rodzice, w wielu firmach powstają zespoły rozproszone, rozsiane po całym świecie. Z drugiej jednak mamy trend przeciwny – niektóre firmy uciekają od pracy zdalnej. Robią to np. Apple, Tesla czy Google. Korporacje i duże firmy nierzadko uskarżają się na home office i stają na głowie, żeby udowodnić, że ich pracownicy wolą działać w biurze.

Kilka miesięcy temu głośno było o e-mailach Elona Muska skierowanych do menedżerów Tesli. Pisał w nich, że ci mają powrócić do swoich biur i być tam minimum 40 godz. tygodniowo albo odejść. E-maile wyciekły do sieci i wywołały burzę. Z raportu CBRE „EMEA Office Occupier Sentiment Survey" wynika, że niemal 7 na 10 przedsiębiorstw chce całkowitego powrotu pracowników do biur. „Pracodawcom zależy na tym, żeby budować społeczności, a buduje się je najlepiej w fizycznym otoczeniu. Formuła rozproszonej pracy nie do końca wspiera budowanie kultury czy poczucia przynależności, czyli tego wszystkiego, na czym zależy pracodawcom" – tłumaczyła zjawisko Strefie Biznesu Małgorzata Niewińska z CBRE. Jednak oczekiwania pracowników są dziś już nieco inne. Niemal połowa chwali sobie pracę zdalną. „To nie jest kwestia wysłania wiadomości e-mail o pełnym powrocie do pracy stacjonarnej. Ponieważ pracownicy oczekują innego sposobu rozmowy – mówiła ekspertka. – Pracownicy nie są skłonni, żeby akceptować takie nakazy, które nie dają nam możliwości wyboru czy uczestnictwa w dyskusji" – wyjaśniała.

W marcu 2022 r. portal pracuj.pl opublikował raport pt. „Dwa lata nowej normalności". Opracowanie przedstawia opinie pracowników m.in. o ich życiu zawodowym i sposobie wykonywania obowiązków w czasie pandemii. Pomiar zrealizowano na początku marca 2022 r. na grupie blisko 1 tys. użytkowników serwisu. Z opracowania wynika, że 6 na 10 badanych wybiera pracę hybrydową jako preferowany model realizacji obowiązków w bliskiej przyszłości. Rośnie presja ze strony kandydatów na umożliwianie pracy z domu. Aż 91 proc. badanych oczekuje ustosunkowania się do pracy zdalnej w ofertach, 74 proc. respondentów nie chce pracować wyłącznie stacjonarnie, 35 proc. respondentów pracujących zdalnie lub hybrydowo było kontrolowanych przez pracodawcę. Najczęstsze metody to spotkania online, raportowanie i formularze.

Choć dziś większość pracodawców wraca do pracy stacjonarnej lub hybrydowej w swoich strukturach. Zgodnie z raportem „Oczekiwania, potrzeby i postawy pracodawców dotyczące pracy zdalnej" przygotowanym dla Związku Przedsiębiorców i Pracodawców: w czasie pandemii 14 proc. ankietowanych wykonywało swoje obowiązki zdalnie, a kolejnych 20 proc. zarówno zdalnie, jak i stacjonarnie. W ostatnich miesiącach blisko 8 na 10 osób znów pracuje stacjonarnie, niemniej co 10. ankietowany wciąż pracuje głównie zdalnie, a drugie tyle hybrydowo – podkreślono w raporcie z października 2022 r.

> Dziś większość pracodawców wraca do pracy stacjonarnej lub hybrydowej w swoich strukturach. W ostatnich miesiącach blisko 8 na 10 Polaków znów pracuje stacjonarnie

NOWA NADZIEJA

Barbara Socha, wiceszefowa MRiPS, zwraca uwagę na jeszcze jeden ważny aspekt pracy zdalnej: „W wielu regionach Polski ciężko o atrakcyjne miejsca pracy, zwłaszcza atrakcyjne dla kobiet. Stąd mamy ogromną migrację kobiet do dużych aglomeracji, bo to daje szanse na znalezienie dobrej pracy, tam jest szansa na rozwój. Więc ta praca zdalna to szansa, by w mniejszych miejscowościach powstawały atrakcyjne miejsca pracy, tak by np. kobiety po studiach mogły wracać w swoje rodzinne strony" – wyliczała Socha w studiu wPolsce.pl.

A problem jest poważny. Na 52 proc. kobiet z wykształceniem wyższym w wieku 25–35 lat przypada tylko 32 proc. mężczyzn z wyższym wykształceniem. Lepiej wykształcone kobiety przenoszą się do dużych ośrodków. W mniejszych miejscowościach i na wsiach młodzi mężczyźni bezskutecznie szukają żon. „Hasło »rolnik szuka żony« nie jest tylko wymysłem telewizji – samotność mężczyzn na wsiach jest faktem i istotnym problemem społecznym" – donosi raport Klubu Jagiellońskiego „Przemilczane nierówności". „Podczas gdy w niektórych małych gminach na 10 młodych mężczyzn przypada 7 kobiet, w Warszawie jest o 14 proc. więcej młodych kobiet niż mężczyzn" – informują analitycy z Klubu Jagiellońskiego. Oznacza to, że w niektórych rejonach kraju nawet co trzeci mężczyzna może nie znaleźć towarzyszki życia. Z kolei w stolicy co siódma kobieta będzie bezskutecznie szukać drugiej połowy. A to tylko kolejny kamyczek do ogródka problemów demograficznych Polski.

„Dzisiaj mamy do czynienia z powszechną homogamią, tzn. łączą się w pary osoby o podobnym wykształceniu. Biorąc pod uwagę, jaką mamy potężną lukę, jeśli chodzi o mężczyzn, łatwo sobie wyobrazić, jakie to ma skutki dla procesu tworzenia się rodzin – one po prostu się nie tworzą – tłumaczyła Barbara Socha podczas Kongresu 590. – Jednym z najważniejszych problemów, jakie mamy dzisiaj w Polsce do rozwiązania, to zachęcenie panów do tego, by szli na studia, by nie porzucali tych studiów, by mieli wykształcenie na takim poziomie, by byli atrakcyjną partią dla młodych, pięknych, bardzo dobrze wykształconych Polek" – dodała minister. Paradoksalnie więc praca z domu może się także okazać częściowym rozwiązaniem problemów demograficznych kraju.

Wpisanie pracy zdalnej do Kodeksu pracy oznacza, że całkiem już nie da się jej wyeliminować i część pracodawców musi się z tym pogodzić.

eprasa.pl b96b151b81

Eurokraci poszli w las

W obronie naszych lasów przed unijnymi urzędnikami chodzi o coś znacznie więcej niż sprawy gospodarcze, dobra materialne. O suwerenność, dziedzictwo, tożsamość, elementarne poczucie godności



DARIUSZ MATUSZAK

Gdyby w 2004 r. ktoś Polakom powiedział, że zagraniczna organizacja zechce sprawować władztwo nad jedną trzecią terytorium Polski, uznaliby to za lichy żart czy też teorię spiskową. Tymczasem A.D. 2023 political fiction staje się rzeczywistością – zewnętrzna siła, czyli Unia Europejska, chce zawładnąć polskimi lasami. Dlaczego można uznać ją za byt zewnętrzny? Eurokraci bowiem zachowują się jak kolonizatorzy, a i sama polska opozycja traktuje ją jako instytucję obcą, która ma narzucać nam swoje porządki. Uznaje, iż Polska powinna się podporządkować Unii, a nie ją kształtować. To w jakimś sensie efekt poddańczej mentalności. Jej wyrazem jest wieczne gadanie, że Polska powinna zasiadać przy jakimś stoliku bogaczy – Niemiec i Francji – by decydować o losie europejskiego pospólstwa w rodzaju Rumunii czy Węgier. Ludziom uniżonym wobec władzy i bogatszych, pełnym kompleksów w głowie się nie mieści, że takiego stolika w ogóle nie powinno być, że Unia ma być tak samo kreacją Brukseli, Berlina jak Bukaresztu czy Warszawy. Ludziom lokajskim nie chodzi o to, by o sobie stanowić, tylko by wysługując się bogatszym i pozornie silniejszym, znaleźć się wśród tych, którzy z pańskiej łaski mogą tresować innych knutem. Skąd ten wywód przy okazji opowiadania o polskich lasach? Bo czeka nas nie tylko leśna batalia o materię – gospodarkę, lecz także ducha – tożsamość, wolność.

Komisja Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności Parlamentu Europejskiego (ENVI) wydała pozytywną opinię w sprawie zmiany unijnych traktatów, tak by leśnictwo nie należało do kompetencji krajowych, a stało się częścią władztwa dzielonego między Unię a kraj członkowski. Owo dzielenie władztwa oznacza, że Bruksela decydowałaby o polskich lasach. W świecie rozsądku i elementarnej przyzwoitości, poczucia godności moglibyśmy na takie *dictum* wybuchnąć śmiechem, ewentualnie kto brutalniejszy i bardziej temperamentny mógłby zakrzyknąć: „Won mi z tymi pomysłami, bo psami poszczuję", i na tym zakończyć sprawę. Ale nie, okazuje

eprasa.pl b96b151b81

się bowiem, że troje europosłów z komisji – Ewa Kopacz, Bartosz Arłukowicz z PO i Andrzej Jarubas z PSL – głosowało za i chce oddać brukselskim urzędasom władztwo nad naszymi lasami, czyli 92 tys. km². To więcej niż łączna powierzchnia Holandii, Belgii i Luksemburga. Nic nie wskazuje na to, że opozycja wygra wybory, ale gdyby zdarzyło się nierealne, to pozostanie nam się modlić, by Finlandia wytrwała w swoim postanowieniu zawetowania unijnego szaleństwa i uzurpacji.

Pomysł wywołał zachwyt w opozycyjnych mediach. Mateusz Kokoszkiewicz z „Gazety Wyborczej" pisze, że Unia chce chronić polskie lasy przed dewastacją. W podobnym duchu głos zabiera OKO.press. Na marginesie dyskusji o wydaniu polskich lasów można zobaczyć, jak wygląda na tym portalu mechanizm ustalania prawdy. Otóż rzecznik Lasów Państwowych Michał Gzowski twierdzi, że po ingerencji Unii w 2016 r. w sprawie Puszczy Białowieskiej zagrożonej kornikiem i potem wyroku TSUE zabraniającego wycinki dotkniętych nim drzew znaczna część tego pierwotnego lasu jest martwa. OKO.press trąbi, że to fałsz, ale nie dlatego, że posiadło jakąś specjalną naukową wiedzę w dziedzinie leśnictwa, ale dlatego, że tak napisano w magazynie „Dzikie Życie" i tak mówi dr Antoni Kostka z fundacji Dzika Polska. Nie szkodzi, że jest doktorem geologii, ale zna się lepiej niż sami leśnicy. Krzysztof Sobczak z portalu prawo.pl pisze brednie o jakichś partyjnych lasach, w domyśle zawłaszczonych przez PiS, i dlatego rząd miałby się nie godzić na oddanie ich eurokracji. Leśnicy są pewnie PiS-owcami, więc z założenia nie mają racji i lasy trzeba koniecznie oddać brukselczykom.

PUSZCZE JAK KOPALNIA TURÓW

W związku z pomysłami eurokratów wraca sprawa tego, co wydarzyło się w sprawie Puszczy Białowieskiej w 2016 i 2018 r. OKO.press pisze, że w jej obronie stanęły najbardziej znane organizacje ekologiczne. Żadne znane, tylko najbardziej agresywne i rozwrzeszczane, często bandy, które zjechały się z zagranicy. Do tego rozhisteryzowane media i politycy. Nie było dyskusji, tylko operacja „ulica i zagranica", tyle że przeprowadzana w części na leśnych duktach. Unia została zaproszona do sporu jako obcy interwent, więc dokonała brutalnej ingerencji. Ot tak, urzędnicy, a potem mianowani przez polityków sędziowie TSUE orzekli, co nam w Polsce, w naszej puszczy wolno wycinać, a co nie. To była jak decyzja hiszpańskiej urzędniczki pełniącej przez chwilę funkcję sędzi – Rosarii Silva de Lapuerta, która nakazała: „Macie zamknąć Turów".

Nie miały znaczenia racje resortu środowiska, polskich Lasów Państwowych, leśników, nie chodziło o spór między nimi a choćby naukowcami z Uniwersytetu Warszawskiego czy PAN, którzy mieli argumenty przeciwko wycinaniu chorych drzew. Puszcza Białowieska stała się miejscem bitwy politycznej. Nieopierzony jeszcze rząd PiS uległ wtedy i konsekwencje ponosimy do dziś. Oczywiście z perspektywy czasu, kiedy poznaliśmy cynizm i zakłamanie eurokracji i wiemy, że ustępstwa wobec jej szantaży przynoszą tylko kolejne żądania, łatwo jest mówić, jak wtedy powinno było się postąpić. Istotne są wnioski z tamtej lekcji i kolejnych. Deklaracje sprzeciwu minister klimatu i środowiska Anny Moskwy, rzecznika Piotra Müllera, europosłów Zjednoczonej Prawicy wobec unijnych pomysłów wskazują, że zostały one wyciągnięte.

Kiedy stanąłem wobec absurdalności pomysłu, zatykającej dech bezczelności panów z Brukseli, zdawało mi się, że wystarczy tupnąć nogą, powiedzieć gromko „nie", ewentualnie „nein", by zrozumieli i schowali się ze swoimi uzurpacjami. Spór będzie jednak zaciekły, bo po stronie UE stoi fanatyczna, pozbawiona zasad opozycja, większość mediów i wielkie firmy gotowe uruchomić lobbystów i ekobandy. Szykuje się kolejna polityczna, gospodarcza i kulturowa wojna.

A będzie ona przebiegać na kilku frontach. Pierwszy dotyczy tkanki materialnej. Chodzi o 9,2 mln ha lasów, z czego ponad 7 mln ha jest dobrem całego społeczeństwa we władaniu Państwowego Gospodarstwa Leśnego „Lasy Państwowe". To nie tylko największy posiadacz ziemski w Polsce, lecz także gigantyczne przedsiębiorstwo, które w ub.r. sprzedało 7 tys. firm 36 mln m³ drewna. Do tego 6 mln m³ drewna opałowego odbiorcom indywidualnym. Sektor leśno-drzewny daje 2 proc. PKB – ok. 14 mld dol. – i zapewnia pracę 400 tys. osób. Kolejne 2 proc. PKB to polski przemysł meblarski, który jest czwartym największym eksporterem na świecie i pierwszym w Europie. Jego najpoważniejsi konkurenci to Niemcy i Włochy. Żadna z branż naszej gospodarki nie ma większego udziału w obrocie globalnym.

Doświadczenie uczy, że duże państwa Unii wykorzystują Brukselę do niszczenia konkurencji. Kraje pośledniego sortu jak Polska mają odgrywać rolę zaplecza. Przekonaliśmy się o tym, gdy zaczęliśmy dominować w transporcie samochodowym.



Autopromocja

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b96b151b81

Niemcy bez skrupułów próbują blokować polskie inwestycje, które zagroziłyby ich panowaniu w niektórych obszarach gospodarczych. Tak było w przypadku portu w Świnoujściu, tak jest na Odrze. Spławne to mogą być Łaba i Ren, a Odra ma zostać dziewicza i szemrząca. Oddanie lasów we władztwo Unii oznacza, że to w Brukseli by decydowano, ile, co i gdzie można w Polsce wycinać. Teza, iż za projektem komisji ENVI stoi niemiecki przemysł meblarski, jest na wyrost, ale wiadomo, że nic w Brukseli nie odbywa się bez przyzwolenia czy polecenia Berlina.

W przypadku lasów równie ważna jak tkanka materialna – gospodarcza, jest ta duchowa. W wielu wymiarach. Pierwszy dotyczy relacji z samą Unią, a właściwie jej właścicielami. Nie chodzi bowiem o wspólnotę, o ideały, ale o realizację interesów Francji i Niemiec i jej bliskich sojuszników, np. Holandii, i międzynarodowych korporacji. To są właściciele Unii. Są jeszcze dziesiątki tysięcy obdarowanych wielkimi przywilejami urzędników, lobbystów, którzy się przy niej żywią. Ktoś przecież na tym dworze musi służyć.

W rozmowie z wp.pl specjalista od prawa europejskiego i gorliwy zwolennik oddania Brukseli władztwa nad lasami Artur Nowak-Far pokrętnie tłumaczy, że jest to w naszym interesie. I że to nie urzędnicy, ale ministrowie będą nimi zawiadywać. Ten człowiek nie ma pojęcia, na czym polega sprawowanie władzy, jak ona jest egzekwowana. Oddzielna kwestia to podporządkowywanie europejskich poddanych przez narzucanie obłąkańczej postępowej agendy, np. klimatyzmu.

„Duża część państw członkowskich UE chce... zwiększyć ochronę środowiska naturalnego, po pierwsze, przez wspólne uzgodnienie zasad racjonalnej gospodarki leśnej, a po drugie, przez to chce przygotować grunt do tego, by Unia miała dobry mandat negocjacyjny w zakresie konwencji międzynarodowych, które dotyczą gospodarki leśnej" – mówi Artur Nowak-Far. I dalej: „To jest wspólny interes wszystkich państw UE – uzyskać przewagę negocjacyjną w rozmowach międzynarodowych z państwami innych kontynentów, bo w grę wchodzą negocjacje dotyczące ochrony lasów równikowych, które są płucami świata. W interesie UE jest pokazanie, że Unia sama ma kwestię racjonalnego zarządzania lasami uporządkowaną, że nie prowadzi się w jej państwach członkowskich gospodarki rabunkowej".

To bzdury niemożebne. Nie jest w naszym interesie, by o polskich lasach decydował minister z Niemiec czy z Malty na polecenie Berlina. Nie jest w naszym interesie, by Puszcza Białowieska była zastawem w negocjacjach Niemiec czy Francji z Brazylią albo Kongo. Ministrowie reprezentujący właścicieli Unii ustalą kierunki – np. ograniczenie pozyskania drewna, bo właśnie tanio załatwili je w Rosji albo Niemcom swojego nie udało się sprzedać Chinom, a konkretny urzędnik w Brukseli wyznaczy, co i ile nam wolno wyciąć w Puszczy Nidzickiej. Z troski o klimat.

POLSKI GAJOWY I BRUKSELSKI GEJOWY

Wypowiedź Nowaka-Fara zasługuje na analizę także dlatego, że dotyka pewnego ulotnego, niematerialnego aspektu naszych relacji z Unią. To emanacja tak obecnego wśród polskich polityków i celebrytów i niektórych mediów kompleksu niższości wobec Zachodu. Polskie lasy są w najlepszym stanie od ponad 100 lat i wciąż ich przybywa. Ze względu na bioróżnorodność są czymś wyjątkowym w Europie. Mamy liczącą setki lat tradycję ich pielęgnowania. Troszczą się o nie całe pokolenia, wręcz rody polskich leśników. I oto ktoś mówi, że Polacy są zbyt głupi, zbyt chciwi, by zadbać o swój skarb. Że wyrżną lasy w pień, zdewastują, więc muszą ich pilnować światli Europejczycy. Ty, polski ciemny gajowy, nie znasz się na swoim lesie, więc zajmie się nim brukselski gejowy. W paranoicznym obrazie świata, odkąd PiS wygrał wybory i władzę objął, lasy przestały być polskie, tylko stały się PiS-owskie, a leśnicy są partyjnymi funkcjonariuszami. Z wspomnianych powyżej mediów bije też pogarda wobec rodaków. W Polsce o naturę to dbają opozycyjni politycy i celebryci, jaśnie oświeceni Europejczycy jak Nowak-Far. Zwykli Polacy – hołota, to by je spaliła w piecach, wybiła zwierzynę, rozkradła to, co zostało, a na koniec urządziła wysypisko śmieci.

> Nie wiem, jak Jarubas może się pokazywać w PSL czy na wsi. Przy całym pogubieniu ludowców wydawało się, że są dla nich pewne wartości jak skała. To umiłowanie ziemi, ojcowizny. Przywiązanie do niej i poczucie czerpania z niej siły. A tu członek PSL oddaje ojcowiznę obcym!

Kolejna trudna do zdefiniowania sprawa dotyczy tożsamości. Nie wiem, jak Jarubas może się pokazywać w PSL czy na wsi. Przy całym pogubieniu ludowców wydawało się, że są dla nich pewne wartości jak skała. To umiłowanie ziemi, ojcowizny. Przywiązanie do niej i poczucie czerpania z niej siły. Nie dziwią Kopacz czy pozbawiony trwałych wartości Arłukowicz. Ale żeby członek PSL oddawał ojcowiznę obcym? Jakby nie znał historii Drzymały, Witosa czy Batalionów Chłopskich. A jednak jestem naiwny. Z ujawnionej w 2015 r. przez WikiLeaks notatki ambasadora USA Victora Ashe'a wynika, że PO knuła od 2009 r., by sprzedać Lasy Państwowe. W 2014 r. próbowała nawet zmienić wraz z PSL i SLD konstytucję pod taką transakcję.

Wszystko jest więc na sprzedaż, a my znów musimy się bronić. Dlatego też w naszych relacjach z Unią coś powinno ulec fundamentalnej zmianie. Nie możemy prowadzić wobec niej wiecznej polityki appeasementu, osłaniać się i ciągle żalić, że znów nas chcą skrzywdzić. Nie przystoi. Powinniśmy przejść do ofensywy. Eurokracja musi zacząć ponosić konsekwencje swoich czynów. To nie jest konkretna podpowiedź, ale nie rozumiem, dlaczego „The New York Times" może pozwać szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen o skrywanie negocjacji z Pfizerem, a my nie potrafimy byle unijnego karbowego szacunku nauczyć. Na pocieszenie na razie pozostaje myśl, że ci, którzy chcą oddać nasze lasy Unii, nie dostaną w wyborach głosów polskich leśników, drwali, strażników i ich rodzin.

Autopromocja

eprasa.pl b96b151b81

V Forum wGospodarce.pl

Zapraszamy do śledzenia relacji i wniosków
z dorocznego cyklu debat o wyzwaniach gospodarczych,
z udziałem ekspertów oraz liderów administracji i biznesu

V edycja projektu Grupy Medialnej Fratria poświęcona jest temu

JAK TWORZYĆ I UTRZYMAĆ DOBRE WARUNKI ROZWOJU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO POLSKI I EUROPY?

PARTNERZY STRATEGICZNI:

PARTNERZY GŁÓWNI:

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

Więcej informacji na **www.wGospodarce.pl/sektory/forum-wgospodarce**

eprasa.pl b96b151b81

W polskiej Cerkwi wrze

Czy krwawa agresja Rosji na Ukrainę przyspieszy proces wyzwalania się Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego spod silnego wpływu rosyjskiego obecnego w polskim prawosławiu od dziesiątków lat?



GORAN ANDRIJANIĆ



Fot. Leon Stankiewicz / REPORTER / EastNews

„Ruchy tektoniczne w PAKP?" – to tytuł niedawno opublikowanego artykułu na portalu ekumenizm.pl. Czytamy w nim o reakcjach, które w Polskim Autokefalicznym Kościele Prawosławnym (PAKP) wywołał list jego zwierzchnika, metropolity Sawy, do patriarchy Moskwy Cyryla. List został napisany z okazji 14. rocznicy intronizacji Cyryla, a niektóre z jego fragmentów brzmią jak przyzwolenie na propagandę wojenną, którą rosyjska Cerkiew usprawiedliwiała agresję na Ukrainę.

„Przez okres Waszej Patriarszej służby, dzięki wysiłkom Waszej Świątobliwości, Rosyjska Cerkiew Prawosławna lśni duchowym odrodzeniem i służy przykładem dla innych. Wrogowi wiary nie podoba się stabilność Cerkwi – stara się ją zniszczyć. Naocznie świadczy o tym to, co stało się w Ukrainie" – czytamy w liście.

Został on opublikowany na stronie internetowej patriarchatu moskiewskiego wraz z podobnymi listami gratulacyjnymi od Władimira Putina i Aleksandra Łukaszenki, a następnie opublikowały go polskie media. Jako pierwszy zrobił to właśnie portal ekumenizm.pl. To, co potem nastąpiło, to lawina oburzenia polskich prawosławnych.

„Czuję zażenowanie tym listem, zwłaszcza że jest to kolejny raz, kiedy władze polskiej Cerkwi otwarcie stają po stronie patriarchatu moskiewskiego. Wydawało mi się, że w momencie napaści Rosji na Ukrainę doszło w naszej Cerkwi do zmiany. Sądziłem, że nastąpi odwrót od ruskiego miru i zwrócimy się w kierunku Grecji, skąd pochodzi polskie i ukraińskie prawosławie. Niestety, Cerkiew w Polsce staje się przekaźnikiem narracji patriarchatu moskiewskiego" – powiedział Patryk Panasiuk, ekspert ds. prawosławia i prezes Fundacji Hagia Marina.

„Drugi akapit merytoryczny listu Władyki jest nie do przyjęcia, gdyż formułuje bardzo dwuznaczne i mętne zarzuty wobec sytuacji w Ukrainie. Jakiś »wróg wiary« usiłuje tam zniszczyć »stabilność« »cerkiewnego organizmu«. Ogólna czołobitność listu wobec Patriarchy Cyryla jasno wskazuje, po której stronie tego »apokaliptycznego« obrazu Władyka się sytuuje. Jak zatem mają się czuć nasi bracia i siostry z Ukrainy, którzy stają z nami w Cerkwi? W liście Władyki nie ma ani słowa o ich cierpieniach!" – napisał z kolei w liście otwartym do Sawy teolog prawosławny Michał Klinger.

Te głosy świeckich prawosławnych były jednymi z wielu. Reagując na nie, metropolita Sawa opublikował przeprosiny z powodu swoich słów. „Perspektywa ostatnich dni oraz dokonana przez wielu interpretacja moich zamiarów i słów, w sposób sprzeczny z moimi intencjami, pokazuje, iż pomyliłem się, a sytuacja wymagała większej ostrożności. Dlatego wyrażam swój żal, że wywołałem tak duże zamieszanie medialne, narażające wspólnotę PAKP na – niezasłużony przez nią – ból. Potępiałem i potępiam zbrodniczą inwazję Federacji Rosyjskiej na niepodległą Ukrainę" – oświadczył duchowy w liście zamieszczonym na oficjalnej stronie

eprasa.pl b96b151b81

Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego.

Wydaje się jednak, że jego przeprosiny tylko w pewnym stopniu pomogły uspokoić sytuację. W Cerkwi wciąż słychać głosy, że list do patriarchy rosyjskiego wskazuje na znacznie głębszy problem silnych związków części hierarchii prawosławnej w Polsce z Moskwą. I że tutaj będą potrzebne głębsze reformy, a nie tylko grzeczne przeprosiny. W międzyczasie ogłoszono też, że Cerkiew ukarała Pawła Panasiuka. Został pozbawiony święceń lektorskich, i to według wszystkich faktów, z powodu jego krytyki Sawy.

Łukasz Kobeszko, filozof, publicysta i dobry znawca sytuacji w środowisku prawosławnym, twierdzi, że zachowanie Sawy wskazuje na obiektywną patologię sytuacji w PAKP. – Długoletnie uwikłanie we współpracę z Moskwą, w którym ma swój udział zarówno metropolita Sawa, biskup od 1979 r., jak i większość biskupów PAKP w Polsce po II wojnie światowej, jest wciąż silne na poziomie mentalnym i psychologicznym. Wysłanie listu do Cyryla bez informowania o tym polskiej i ukraińskiej opinii publicznej jest dowodem na nieprzejrzystość działań tego Kościoła, a mówiąc bardziej dobitnie – jest obiektywnie sprzeczne z polską racją stanu, którą jest wsparcie dla Ukrainy – twierdzi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" Kobeszko.

Publicysta zauważa, że kolejną sytuacją, która wyraźnie pokazuje bliski związek polskiej hierarchii prawosławnej z rosyjską, jest stosunek PAKP do kwestii autokefalii Cerkwi Prawosławnej Ukrainy (CPU) pod kierownictwem metropolity Epifaniusza. Przypomnijmy, Moskwa wystąpiła zdecydowanie przeciwko autokefalii CPU, ta sprawa podzieliła świat prawosławny, a PAKP wyraźnie opowiedziała się po jednej ze stron. – W wielkim sporze w kwestii odrodzenia ukraińskiej autokefalii Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny stanął właśnie po stronie Moskwy, wraz z Cerkwiami tradycji słowiańskiej (Cerkwie Serbii i Bułgarii) i sojuszniczymi wobec Moskwy Cerkwiami na Bliskim Wschodzie (patriarchatami Jerozolimy i Antiochii). PAKP stanął w kontrze wobec świata greckiego, który zdecydowanie poparł powołanie autokefalii na Ukrainie (patriarchat ekumeniczny w Konstantynopolu, Cerkiew Grecji, Cerkiew Cypru, patriarchat Aleksandrii i całej Afryki) – tłumaczy Kobeszko.

Sytuacja ta, kontynuuje publicysta, w pewnym sensie przywróciła PAKP pod patronat patriarchy moskiewskiego, choć w ostatnich kilku latach wydawało się, że się od niego oddaliła. – Z Cerkwiami, które poparły autokefalie CPU, Moskwa zerwała jedność eucharystyczną. Polska tego formalnie nie ogłosiła, niemniej od kilku lat praktycznie żaden z polskich duchownych prawosławnych nie odsłużył publicznie wspólnej boskiej liturgii z biskupami lub Cerkwiami tradycji greckiej. Znamienne jest, że podczas ubiegłorocznej wizyty w Polsce, która była głównie skierowana do uchodźców ukraińskich, patriarcha ekumeniczny Bartłomiej nie odsłużył wspólnej liturgii z metropolitą Sawą. Podobnie było przed kilkoma laty, gdy Bartłomiej przybył do byłego obozu w Auschwitz, uczestnicząc w corocznym Marszu Żywych, upamiętniającym ofiary Holokaustu. Komunikaty o wizycie Bartłomieja w Polsce były wówczas w oficjalnych mediach PAKP wyjątkowo chłodne i zdawkowe – wyjaśnia publicysta.

> Sytuacją, która wyraźnie pokazuje bliski związek polskiej hierarchii prawosławnej z rosyjską, jest stosunek Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego do kwestii autokefalii Cerkwi Prawosławnej Ukrainy pod kierownictwem metropolity Epifaniusza

Zdaniem Kobeszki list Sawy należy odczytywać właśnie w świetle tego sporu o autokefalię ukraińskiej Cerkwi. – Znamienna jest lektura komunikatów polskich biskupów prawosławnych (Świętego Soboru PAKP) na przestrzeni ostatniego roku, już po rosyjskiej inwazji. W żadnym z nich nie znajdziemy krytyki Cyryla, ale mamy za to fragmenty o rzekomo destrukcyjnej działalności metropolity Epifaniusza. Odkryty przez polskie media list Sawy do Cyryla jest więc świadectwem ugruntowanych poglądów Sawy na ukraińską autokefalię pod kierownictwem Epifaniusza. Sawa trzyma się tutaj narracji rosyjskiej Cerkwi, że święcenia Epifaniusza i księży w nowej autokefalii są nieważne, gdyż na początku lat 90. metropolita Filaret, który ogłosił się patriarchą Kijowa, został przez rosyjską Cerkiew za dążenia do autokefalii Ukrainy zdegradowany do funkcji zwykłego mnicha, więc wszystkie udzielone przez niego święcenia biskupie i kapłańskie, w tym Epifaniusza i głównych hierarchów nowej ukraińskiej autokefalii, są nieważne. Stanowisko Moskwy i PAKP ignoruje przy tym całkowicie decyzję patriarchatu ekumenicznego w Konstantynopolu z 11 października 2018 r., która zdjęła wszystkie kary kościelne z ukraińskich hierarchów pozbawionych godności kapłańskich przez Moskwę i tym samym otworzyło drogę odbudowy ukraińskiej autokefalii – mówi Łukasz Kobeszko.

Jednak nie wszyscy biskupi prawosławni podzielają to samo zdanie. Ekumenizm.pl wskazuje w swoim tekście przykład arcybiskupa przemyskiego i gorlickiego Paisjusza, który wzywa swoich wiernych do modlitwy w rocznicę rosyjskiej agresji na Ukrainę. „Jego słowa są tak radykalnie inne od wcześniejszych wypowiedzi metropolity Sawy i są również pierwszymi tak ostrymi wypowiedziami prawosławnego dostojnika cerkiewnego o Ukrainie" – czytamy w tekście na portalu, który jest dość wypływowy w środowiskach prawosławnych.

Portal stawia również tezę, że toczące się debaty mogą pokierować przyszłością polskiego prawosławia: „Różnego rodzaju głosy w kwestii Ukrainy to wypadkowa wewnętrznych sporów, ale i sondowania gruntu, jaka będzie przyszłość Cerkwi i kto ewentualnie ma największe szanse na zastąpienie metropolity Sawy".

Wydaje się, że coraz więcej jest polskich prawosławnych, którzy uważają, że ich Kościół musi zmienić swój kurs i raz na zawsze zdystansować się od upolitycznienia religii przez patriarchat moskiewski.

eprasa.pl b96b151b81

Co się stało podczas synodu w Pradze

Część hierarchów katolickich ostrzega, że synod o synodalności może stać się narzędziem destrukcji Kościoła





GRZEGORZ GÓRNY

Kard. Gerhard Müller w latach 2012–2017 był prefektem Kongregacji Nauki Wiary, a więc głównym strażnikiem ortodoksji katolickiej w kurii rzymskiej. Kilka miesięcy temu w wywiadzie dla amerykańskiej telewizji EWTN niezwykle ostro skrytykował on trwający od 2021 r. synod o synodalności. Według niego jest to próba wrogiego przejęcia Kościoła Jezusa Chrystusa przez siły, które dążą do zniszczenia wiary katolickiej. Przedsięwzięcie, które zainicjował sam Franciszek, niemiecki hierarcha nazwał systemem samoobjawienia i okupacją Kościoła katolickiego. O architektach synodu powiedział: „Oni myślą, że doktryna jest tylko programem partii politycznej, który może się zmieniać zależnie od ich wyborów", dodając, iż jeśli odniosą oni sukces, będzie to jednak koniec Kościoła katolickiego.

Inny znany purpurat, zmarły niedawno kard. George Pell z Australii, niedługo przed swoją śmiercią napisał tekst dla brytyjskiego tygodnika „The Spectator", w którym nazwał wspomniany synod toksycznym koszmarem. Skrytykował m.in. powstały pod auspicjami Watykanu synodalny dokument roboczy, mający być podstawą do dyskusji na poziomie kontynentalnym, pisząc, że prezentuje on myślenie neomarksistowskie, a nie chrześcijańskie. Jego zdaniem „to rzecz niekompletna, w istotny sposób wroga wobec tradycji apostolskiej. Nigdzie nie uznaje Nowego Testamentu za Słowo Boże, normatywne dla całości nauczania na temat wiary i moralności".

Autorzy obu powyższych, niezwykle krytycznych wypowiedzi to nie jacyś sfrustrowani dysydenci z marginesów Kościoła, lecz wpływowi kardynałowie, do niedawna jeszcze będący jednymi z najbliższych współpracowników Franciszka w Watykanie. Nie są oni bynajmniej odosobnieni w swoich opiniach – podobnych, równie zdecydowanych głosów nie brakuje także wśród innych hierarchów. Czy ich ostrzeżenia są uzasadnione?

GLOBALNE SEJMIKOWANIE

Cały synod o synodalności został pomyślany jako coś w rodzaju globalnego sejmikowania w Kościele: najpierw na poziomie parafii, potem diecezji, później krajów, następnie kontynentu, a w końcu całego Kościoła. Zwieńczeniem tego rozciągniętego na dwa lata procesu mają być końcowe obrady synodu w Watykanie w październiku br. Ponieważ tematyka została zakreślona niezwykle szeroko (wierni mieli mówić o tym, co chcieliby poprawić w funkcjonowaniu Kościoła), na wszystkich kontynentach przedstawiono tak wiele propozycji i pomysłów, że spisane razem

Fot. Eidon/REPORTER/East News

eprasa.pl b96b151b81

zajęłyby wiele tomów, których nikt nie miałby czasu nawet przeczytać. W tej sytuacji kluczową rolę odgrywa sekretariat synodu, który selekcjonuje materiały, wybiera jedne postulaty, a odrzuca drugie, dokonuje gradacji tematów i redaguje dokumenty. Kulisy działania tego gremium ujawnił w maju 2016 r. abp Bruno Forte, odpowiedzialny za redakcję dokumentu końcowego synodu ds. rodziny.

To nie przypadek, że na czele kierownictwa obecnego synodu Franciszek postawił dwóch purpuratów znanych jako zwolennicy rewolucji teologicznej w Kościele: kard. Jeana-Claude'a Hollericha z Luksemburga i kard. Mario Grecha z Malty. Pierwszy z nich opowiada się za zmianą nauczania Kościoła w sprawach homoseksualizmu, LGBT+, kapłaństwa kobiet czy celibatu księży, drugi z kolei dał się poznać jako obrońca niemieckiej drogi synodalnej, będącej najbardziej radykalną próbą destrukcji doktryny katolickiej. Zdaniem kard. Pella w normalnych czasach ktoś głoszący takie poglądy jak Hollerich nie mógłby pełnić tak odpowiedzialnej funkcji.

Choć sam Franciszek zastrzegał się, że nie można zainicjowanego przez niego przedsięwzięcia mylić z systemem parlamentarnym, to jednak trudno nie oprzeć się skojarzeniom z ustrojem demokratycznym. Tak zresztą traktują udział w tym wydarzeniu sami uczestnicy obrad, zwłaszcza w krajach zachodnich, gdzie pęd ku zmianom jest największy. Świadczą o tym końcowe dokumenty synodalne z takich krajów, jak: Niemcy, Austria, Szwajcaria, Belgia, Irlandia czy Francja. Bardzo rzadko we wspomnianych tekstach można natknąć się na takie słowa, jak: „Bóg", „Jezus", „Maryja", „Dekalog", „ewangelizacja", „świętość" czy „misyjność", za to najważniejsze postulaty koncentrują się na dwóch sprawach: władzy i seksie.

Po pierwsze, pojawia się żądanie, by zerwać z hierarchiczno-klerykalną strukturą Kościoła, tzn. by władza nie była już dłużej łączona ze święceniami kapłańskimi. Po drugie, królują postulaty radykalnej zmiany katolickiej etyki seksualnej, które pod koniec XX w. określano mianem „six sex", ponieważ istniał wówczas stały zestaw sześciu roszczeń w tej sferze, powtarzanych przy każdej okazji. Dziś trudno byłoby nawet zliczyć liczbę tych żądań, tak jak trudno jest porachować liczbę wszystkich płci zgodnie z ideologią gender.

NIEJASNOŚĆ I WIELOZNACZNOŚĆ

W lutym w Pradze odbyło się europejskie zgromadzenie synodalne. Wybrzmiały na nim głosy dwóch stron wewnątrzkościelnej konfrontacji: po pierwsze – tych, którzy mówili o konieczności zachowania niezmiennej doktryny Kościoła, nieuleganiu duchowi czasów czy obronie rodziny i małżeństwa (wyróżniali się wśród nich zwłaszcza delegaci z Europy Środkowo-Wschodniej i Skandynawii), po drugie – zwolenników zmian w duchu modernistycznym (prym wiedli tu uczestnicy z krajów niemieckojęzycznych).

Ci ostatni do końcowego tekstu podsumowującego praskie zgromadzenie włączyli wszystkie swoje najważniejsze postulaty, choć nie wprost, lecz w formie zawoalowanej. Za bardzo ogólnym sformułowaniem „nowa rola kobiet" kryje się bowiem dla nich idea diakonatu kobiet oraz ponowne przemyślenie święceń kapłańskich dla kobiet. Za koncepcją inkluzywności wobec „grup wykluczonych", w tym osób queer, czai się postulat akceptacji Kościoła dla aktów seksualnych uważanych zawsze za grzeszne. Za przypomnieniem o koncepcji powszechnego kapłaństwa zakorzenionego w chrzcie stoi z kolei postulat oddzielenia władzy w Kościele od święceń kapłańskich.

W tej sytuacji wiele zależy od tego, kto będzie redagował końcowy tekst synodu i jak zinterpretuje ogólnikowe sformułowania wysuwane przez delegatów (nad tym zaś będą czuwać wspomniani już kardynałowie Hollerich i Grech). Istotny będzie także klucz doboru uczestników watykańskiego zgromadzenia synodalnego, którzy zagłosują za przyjęciem lub odrzuceniem poszczególnych punktów. Do tych wyników będzie mógł odwołać się później Franciszek, pisząc posynodalną adhortację apostolską.

Nie musi ona wprowadzać w sposób otwarty nowych zmian. Może używać niejasnych i dwuznacznych wyrażeń, by takie zmiany zapoczątkować. Tak było z adhortacją „Amoris laetitia", ogłoszoną w 2016 r. po synodzie ds. rodziny. Zawierała ona nieostre i wieloznaczne sformułowania, które wystarczyły jednak, by w wielu krajach episkopaty lub diecezje oficjalnie zezwoliły na przystępowanie do komunii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach. Stolica Apostolska nigdy nie sprzeciwiła się tym decyzjom. Mało tego: Franciszek osobiście pochwalił biskupów argentyńskich i maltańskich, którzy tak uczynili, a nawet sam w podległej sobie archidiecezji rzymskiej wprowadził takie rozwiązania.

SYNODALNOŚĆ JAKO INSTRUMENT ZMIAN

Wiele wskazuje na to, że synodalność może stać się nową formą zarządzania Kościołem, a właściwie narzędziem dokonywania w nim zmian. Jest to wypełnienie postulatu zmarłego w 2012 r. metropolity Mediolanu kard. Carlo Marii Martiniego, na którego często powołuje się Franciszek. Włoski purpurat proponował mianowicie wprowadzenie nowego sposobu kierowania Kościołem przez permanentne synody, które umożliwiłyby przeprowadzanie radykalnych reform.

Co jednak miałoby być ich celem? Martini uważał, że najważniejszym zadaniem stojącym dziś przed katolikami jest nadrobienie 200 lat zapóźnienia, które Kościół ma wobec współczesnego świata. Według niego Kościół popełnił błąd, nie przyswajając sobie zdobyczy oświecenia i od tamtej pory stracił kontakt z nowoczesnością. Dlatego konieczna jest przyspieszona modernizacja. Jednym z elementów tego procesu powinna być demokratyzacja życia kościelnego w różnych jego wymiarach. Dziś widać wyraźnie, że ten plan jest realizowany przez Franciszka, który zresztą powtórzył niedawno słowa Martiniego o 200 latach zapóźnienia Kościoła wobec świata.

Na koniec jako ciekawostkę warto dodać, że kiedy mediolański kardynał zmarł w 2012 r., włoska Loża Wielkiego Wschodu pożegnała, a właściwie „powitała brata Carlo Marię Martiniego w jego podróży na wschód".

eprasa.pl b96b151b81

Nie należy robić z praw człowieka religii

Jeśli społeczeństwo nie chce dłużej uznawać istnienia natury ludzkiej, bo neguje istnienie Stwórcy, to czeka je cierpienie – mówi ***dr Grégor Puppinck***, francuski prawnik, dyrektor Europejskiego Centrum Prawa i Sprawiedliwości oraz ekspert pracujący na forum organizacji międzynarodowych i na rzecz służb dyplomatycznych Stolicy Apostolskiej w rozmowie z Aleksandrą Rybińską

Czy potrzebujemy praw człowieka? Czy możemy Powszechną deklarację praw człowieka ONZ i różne inne znane z dziejów deklaracje wrzucić do archiwum pamiątek i żyć bez nich znośnie, a może nawet znośniej, niż żyjemy?

Grégor Puppinck: To bardzo trudne pytanie. Gdy mówimy o prawach człowieka, chodzi nam na ogół nie tylko o nie same, lecz także o mechanizmy międzynarodowe, które je chronią. ONZ, Europejski Trybunał Praw Człowieka czy OBWE. Mówimy o nich w takim właśnie kontekście. Tak, potrzebujemy praw człowieka. Te mechanizmy są bardzo przydatne w wielu miejscach na świecie, w określonych okolicznościach. W niektórych państwach są grupy ludzi, mniejszości, które padają ofiarą politycznych reżimów, odmawiających im podstawowych praw, zaspokojenia podstawowych potrzeb. Dlatego ważne jest, by bronić choćby prawa do apostazji, szczególnie w krajach muzułmańskich, czy prawa chrześcijan do godnego życia tam, gdzie stanowią mniejszość. Swobodna praktyka religijna to podstawowa potrzeba człowieka. W takim kontekście działalność tych instytucji międzynarodowych, które zajmują się obroną praw człowieka, jest jak najbardziej uzasadniona. Instytucje te zostały ustanowione po II wojnie światowej w celu ochrony naturalnych potrzeb człowieka. Potrzeby zawarcia małżeństwa chociażby czy założenia rodziny. Wówczas w USA niektóre formy małżeństwa były zakazane, jak np. małżeństwa mieszane osób białych i czarnoskórych. Należało więc bronić tych praw przed państwami, które chciały je ograniczać. Niestety, system nie jest idealny. Dziś, 75 lat po podpisaniu Powszechnej deklaracji praw człowieka, jego wady są aż nader widoczne.

Lista praw się znacznie powiększyła i dziś wielu uważa, że prawem człowieka są lub powinny być aborcja czy eutanazja. Niedawno we Francji parlament debatował nad wpisaniem prawa do aborcji do konstytucji. Tymczasem art. 3 Powszechnej deklaracji praw człowieka mówi o prawie do życia.

Aborcja nie jest prawem człowieka. Nie należy robić z praw człowieka religii. W Europie Zachodniej mamy do czynienia ze zjawiskiem sekularyzacji. Prawa człowieka zaczęły więc zaspakajać potrzebę moralności w społeczeństwie. Czyniąc z nich rodzaj świeckiego systemu wiary, dajemy im władzę o wiele większą, niż powinniśmy. Są one kreacją ludzką, instrumentem przede wszystkim politycznym i prawnym. Transformacja dyskursu politycznego w religię jest bardzo niebezpiecznym pomysłem. Dla człowieka, ponieważ każda zmiana ideologii w religię zawsze się obróci przeciwko niemu. Tak się dzieje właśnie dziś wraz z afirmacją nowych, fałszywych praw. Jak prawo do aborcji czy do godnej śmierci, czyli eutanazji.

Często przeciwstawia się prawom człowieka prawo naturalne, reprezentujące wartości samoistne, autonomiczne, uniwersalne i ponadczasowe.

Relacja między nimi jest ścisła. W założeniu prawa człowieka miały dać moc prawną prawom naturalnym, które nie zostały nigdy pisemnie sformalizowane. Moc nadrzędną nad legislacją państw, czyli prawem pozytywnym. Wprowadzono normy moralne wynikające z prawa naturalnego do systemu międzynarodowego. Wolność zawierania małżeństw czy zakładania rodziny to prawo naturalne. Potrzeba modlitwy to prawo naturalne. To, co nazywamy prawami podstawowymi, to czynności odpowiadające naturalnym zdolnościom człowieka: przemieszczanie się, zrzeszanie się, zakładanie rodziny. Zintegrowano prawo naturalne w prawie pozytywnym. Jednocześnie pozwalając na jego wynaturzenie przez możliwość wprowadzenia zmian za pośrednictwem decyzji sądów czy głosowań parlamentów. Dziś więc prawa człowieka wciąż zachowują w pewnym stopniu normy prawa naturalnego, ale gdy chodzi o życie intymne, prywatne, przeszły znaczną transformację. Z po-

eprasa.pl b96b151b81



wodu zmiany koncepcji człowieka wynikającej z postępującej indywidualizacji i sekularyzacji. Prawa człowieka są pochodną wizji człowieka w zachodnich społeczeństwach.

Dziś „mam prawo" na ogół oznacza, że czegoś bardzo chcę lub potrzebuję i że inni ludzie powinni mi to dać bądź umożliwić. Tak jest w przypadku debaty wokół kwestii „trans". Mężczyzna postanawia, że jest kobietą lub na odwrót, zmienia wygląd i zaimki, a reszta społeczeństwa musi to uznać. A jeśli nazajutrz zmieni zdanie, a potem znowu, społeczeństwo musi za tym nadążyć. Bo jeśli nie, to jest to dyskryminacją.

Sytuacja staje się coraz bardziej absurdalna. Widzimy, co się dzieje chociażby w sporcie – transseksualni mężczyźni startują w zawodach z kobietami, nad którymi mają znaczną przewagę fizyczną. To wszystko wynika z logiki negacji ciała. Tyle że ta negacja ciała pociąga za sobą cierpienie. Te dzieci, które dziś są poddawane terapii blokerami hormonalnymi czy zabiegom zmiany płci, doświadczą wcześniej czy później cierpienia. Będzie to dla społeczeństwa doświadczeniem bolesnym, które moim zdaniem spowoduje odwrót od tej drogi. Gdy społeczeństwo nie chce dłużej uznawać istnienia natury ludzkiej, bo neguje istnienie Stwórcy, musi cierpieć. Wszystkie te zjawiska – zaliczam do nich także aborcję i eutanazję – mają wspólny mianownik: negację ciała i przekonanie, że umysł definiuje człowieka. Ciało według tej definicji to zwykła materia, której można używać, jak się chce. Zniszczyć, sprzedać, zmodyfikować. Tak jakby człowiek nie był jednością ducha i ciała, tylko duch i ciało istniały zupełnie oddzielnie. Jest to wizja dualistyczna człowieka. Gnostyczna. Prostytucja jest kolejnym dobrym przykładem. Prostytutka sprzedaje ciało, jest ono towarem jak każdy inny. Nie ma z nią jako osobą nic wspólnego. To, co robi ciało, nie ma żadnego wpływu na osobę. Prostytucja czy pornografia pod nazwą sex workingu weszła na salony, jest usilnie propagowana.

Jaki kryje się za tym cel?

Nie wydaje mi się, by krył się za tym jakiś określony cel. W każdym razie świadomy. To proces. Proces postępu, nieskończony, w kierunku uwolnienia się od ciała, od materii. Na końcu jest transhumanizm. Nowe technologie to maksimum rozumu przy minimum materii. Jednoczesna koncentracja i dematerializacja rozumu. Tę aspirację do dematerializacji ducha znajdujemy zarówno w nowych technologiach, jak i w transseksualizmie czy eutanazji. Moja wola dominuje nad moim ciałem. Mogę więc nawet z niego zrezygnować, jeśli zechcę. Zamiast przejść np. cierpienie związane z chorobą. Jest to więc proces deifikacji człowieka, który staje się swoim własnym Bogiem. Może być wieczny, nieśmiertelny. Wszechmocny. Ciało jest ciężarem, narzuca nam ograniczenia. To bardzo gnostyczne podejście. Ciało jest złe, tylko duch jest dobry. U gnostyków prowadziło to albo do ascezy, jak dziś w przypadku wegan, albo do hedonizmu. Ciało jest niczym, można z nim robić, co się chce. W obu przypadkach u gnostyków wiązało się to także z odmową posiadania dzieci. Dziś jest podobnie. Mamy odmowę posiadania dzieci z powodu np. zmian klimatycznych. Jest to odrzucenie wcielonego Stwórcy. Bo pokazał on wartość i godność ludzkiego ciała.

Kościół katolicki ma pewne trudności ze znalezieniem odpowiedzi na to zjawisko. Kościoły protestanckie dawno się poddały i poszły za duchem czasów. W Kościele katolickim

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b96b151b81

jednak są także ci, choćby w Niemczech, którzy uważają, że należy zintegrować tę nową wizję człowieka.

Jan Paweł II rozwinął całą teologię ciała. To była właśnie odpowiedź na ten dualizm, na tę koncepcję gnostyczną człowieka. Kościół katolicki dysponuje więc dość obszernym dziedzictwem teologicznym, wystarczającym, by móc odpowiedzieć na wyzwania współczesnych społeczeństw. Niestety, to dziedzictwo nie jest do końca uznawane w Kościele, a momentami jest nawet sabotowane. Tak jak sam Jan Paweł II był sabotowany. Kościół posiada wszystkie narzędzia, trzeba tylko mieć odwagę, by z nich korzystać. Oczywiście Kościołowi, który przez wieki dominował w Europie, ciężko jest się pogodzić z marginalną rolą, jaką dziś w niej odgrywa. Niektórzy w Kościele wolą więc zmienić dyskurs, by trwać w iluzji, że wciąż coś znaczą, niż być wiernym Bogu. Mamy w dzisiejszym Kościele – tak mi się wydaje – pewną tendencję samobójczą. Są ludzie, którzy uważają, że skoro toczy się rewolucja kulturalna, sekularyzacja i utrata wiary, należy wprowadzić takie zmiany, które pozwolą Kościołowi przetrwać. To trochę jak eutanazja: umrę, by pokazać, że jestem panem własnego losu. Zamiast zaakceptować misterium cierpienia i agonii, zaakceptować własną słabość. Dlatego Kościół walczy m.in. z tradycjonalistami. We Francji jednak kościoły, w których odprawia się mszę trydencką, są pełne. Jeśli Kościół ma zniknąć z Europy, lepiej sprawić, by wydawało się to nieuniknione. Trzeba więc zniszczyć to, co działa dobrze. Sen o zjednoczonej ludzkości z prawami człowieka będzie się wówczas jawił jako dokonanie Kościoła. Sakramenty będą już niepotrzebne, ludzkość zbawi się sama. Jest to iluzja, w której żyją postępowcy w Kościele: że odniosą zwycięstwo mimo porażki.

> W Europie Zachodniej mamy do czynienia ze zjawiskiem sekularyzacji. Prawa człowieka zaczęły więc zaspakajać potrzebę moralności w społeczeństwie. Czyniąc z nich rodzaj świeckiego systemu wiary, dajemy im władzę o wiele większą, niż powinniśmy

Prawa człowieka wchodzą także czasami w kolizję z państwami narodowymi. Chodzi mi przede wszystkim o migrantów znajdowanych na morzu przez organizacje pozarządowe lub w lasie na granicy polsko-białoruskiej. Aktywiści krzyczą o prawie do azylu. Państwa wskazują na swój obowiązek ochrony granic i bezpieczeństwa wewnętrznego. Kto ma rację?

Jeśli chodzi o aspekt prawny, to nikt nie ma prawa dostępu do terytorium obcego państwa. Oprócz Unii Europejskiej, gdzie mamy wolny przepływ osób. Każde państwo ma za to prawo bronić swoich granic. To także wynika z prawa naturalnego: każda społeczność ludzka ma potrzebę posiadania własnego terytorium. Rodzina wymaga wspólnoty i terytorium, by kwitnąć. Na poziomie politycznym należy zadać sobie pytanie: czy Polska powinna dalej istnieć jako państwo, czy powinna się rozpuścić całkowicie w globalizacji? Niemcy ze względu na swoją winę historyczną dawno wybrały tę drugą opcję. Francja wciąż jest rozdarta. Lewica od ponad 50 lat usiłuje wpędzić ją w poczucie winy. Kolonializm, wyzysk, niewolnictwo. Jej zdaniem taki okropny naród nie ma powodów, by dalej istnieć. Emmanuel Macron stwierdził nawet, że nie ma czegoś takiego jak kultura francuska. Globalizacja i zniknięcie państw narodowych to nie jest jednak coś, o czym zwykli ludzie marzą. Człowiek jest szczęśliwy w swoim naturalnym środowisku, w swojej społeczności. Jeśli jakaś społeczność znika, inna ją szybko zastępuje. Jeśli Francja dojdzie do wniosku, że nie posiada już legitymacji jako naród, a można odnieść takie wrażenie przy 233 tys. aborcji rocznie, to ktoś inny ją zastąpi. Inna ludność. To nieuniknione. Polska ma więc prawo chronić swoich granic, a jednocześnie obowiązek moralny nieść pomoc tym migrantom, którzy jej potrzebują. Pomagać, ale nie wpuszczać. Nie można poświęcić całego kraju dla ideologii, dla utopii zglobalizowanego, ujednoliconego, pokojowego świata. Jest to zresztą utopia zupełnie niechrześcijańska.

Jest to ideał kosmopolitycznych elit, tych, które czują się w Berlinie, Paryżu i Londynie jak u siebie w domu?

Te kosmopolityczne elity gardzą zwykłymi ludźmi. Naprawdę, to nie jest przesada. Niestety, demokracja opiera się na głosach tych wzgardzonych. Na ilości, a nie na jakości, więc jest wrażliwa na populizm. Elity lubią widzieć się jako duch, a zwykłe masy jako materię. Tymczasem model demokracji odziedziczony po oświeceniu uważa, że masy nie mogą się mylić. A te masy czasami chcą Marine Le Pen, innym razem głosują na Donalda Trumpa. Jednym ze sposobów na to, by rozwiązać ten dylemat, są instytucje międzynarodowe. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu. Sędziowie. W ten sposób można obejść demokrację. Jej aspekt ilościowy. Zamiast mas przy urnach – decydują panie i panowie w togach. Ograniczając ryzyko polityczne. Polska zostanie prawdopodobnie niedługo skazana przez ETPCz za decyzję TK o zakazie aborcji eugenicznej. Jeśli komuś nie podobają się demokratyczne decyzje, może sięgnąć po organizacje ponadnarodowe: europejskie lub międzynarodowe. Jak się przed tym bronić? Cóż, system unijny został stworzony w taki sposób, by zdominować państwa. Jedyne, na co Polska może liczyć, to na utworzenie koalicji państw, które również nie chcą lewicowego postępu, oraz na przechylenie się większości państw w UE na prawo. Gra jest bowiem nieczysta. Nie łatwo bronić zasad konserwatywnych w grze rozgrywanej za pomocą liberalnych reguł.

01/PK/0223, 50/0223/F, 51/0223/F, 55/0223/F

eprasa.pl b96b151b81

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO
Energa GRUPA ORLEN
KGHM POLSKA MIEDŹ
PKO Bank Polski
SIECI

WIERNI PRZYSIĘDZE

NARODOWY DZIEŃ PAMIĘCI „ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH”



eprasa.pl b96b151b81



Wyklęci bronią się prawdą

eprasa.pl b96b151b81

Żołnierze niezłomni to ludzie z krwi i kości, którym starczyło siły, by po 1945 r. dalej walczyć w wojnie sprawiedliwej – w obronie ojczyzny i wierności przysiędze

Z dr. Karolem Nawrockim, prezesem Instytutu Pamięci Narodowej, rozmawia Marcin Wikło

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych jest wpisany na stałe do polskiego kalendarza. Czy można uznać, że walka o ich dobre imię jest zakończona?

Karol Nawrocki: Walka o pamięć nie ma swojej mety – płomień prawdy historycznej po prostu gaśnie, gdy pamięci się nie pielęgnuje. Wówczas pojawia się amnezja lub przestrzeń dla kłamstwa. Tym bardziej jeśli mówimy o zjawisku – bohaterach podziemia antykomunistycznego, których w prostej arytmetyce pamięci przez 50 lat bądź obrażano, bądź co najwyżej ewaporowano. Walka więc trwa. Niemniej – i mówię to jako wieloletni działacz społeczny na tym polu – możemy uznać, że dzięki wielu środowiskom, Instytutowi Pamięci Narodowej (IPN) i oczywiście prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu jesteśmy w zupełnie innym miejscu niż w końcówce XX w. i na samym początku XXI w., kiedy żołnierze wyklęci w powszechnej percepcji społecznej wciąż byli odbierani przez pryzmat kolonialnych, komunistycznych kalk.

Czy ma pan poczucie, że dobrze nakreśliliśmy postawę żołnierzy wyklętych? Czy jest wiedzą powszechną złożoność czasów, w których musieli walczyć?

Uważam, że tego zadania – niestety – nie udało się nam skutecznie zrealizować. Potrzeba jeszcze czasu i ciężkiej pracy, żeby oddać złożoność postaw na tle rodzącej się kolejnej niewoli w 1945 r., po sześciu latach przerażającej wojny. To skomplikowana materia, w której emocje społeczne wychylają się od niegodnych określeń typu „bandyci" po deifikację, rodzaj odbierania ludzkich cech ludziom. W tym wychyleniu skrajnych emocji część społeczeństwa nie może odnaleźć miejsca dla swoich zainteresowań, pasji, poszukiwań. Tymczasem żołnierze niezłomni to ludzie z krwi i kości, którym starczyło siły, by po 1945 r. dalej walczyć w wojnie sprawiedliwej – w obronie ojczyzny i wierności przysiędze. Oczywiście dla ludzi biegłych w historii, świadomych, dojrzałych, także dla mnie osobiście, to wielcy bohaterowie. Niemniej przekonanie kogoś, że w ósmym roku walki na śmierć i życie, z wieloma wrogami, z dwoma totalitaryzmami, po stracie bliskich, po miesiącach spędzonych w lesie, żołnierz bohater jest pozbawiony wewnętrznego dramatyzmu, czasem złych decyzji itd., jest niemożliwe i niepotrzebne. Ten fenomen broni się prawdą, w której jest miejsce na ludzkie słabości. A ci, którzy widzą w nich bandytów błądzą i bluźnią.

Jak wygląda kwestia sprawiedliwości w kontekście żołnierzy wyklętych? Czy przedstawianie ich – zarówno wcześniej, jak i teraz – jako bandytów miało służyć odwróceniu uwagi od zbrodni komunistycznych?

System komunistyczny, zainstalowany w Polsce wolą i mocą obcego mocarstwa, także za sprawą zdrajców Polski eliminował wszystkie objawy oporu. To na tyle brutalna ideologia, że nie tylko morduje fizycznie, lecz także dokonuje lobotomii społecznej świadomości. W tej konstrukcji dla przeciwników totalitaryzmów nie było miejsca do 1990 r. Jeśli zaś transformacji ustrojowej dokonywali w dużej części kustosze kolonialnej Polski, to i dla nich podziemie antykomunistyczne było kłopotem, bo znaczyło walkę o wolność. A jeśli do tego dodamy wartości, które cechowały tych dzielnych żołnierzy, wierność Bogu, honorowi i ojczyźnie, to dla architektów transformacyjnej rzeczywistości wyklęci byli sporym obciążeniem. Widać to wyraźnie w ich stosunku do tego środowiska przez co najmniej 10 lat wolnej Polski. Poza nielicznymi przykładami: pracami prof. Jerzego Ślaskiego, aktywnością Ligi Republikańskiej i garstki historyków, badania dotyczące historii żołnierzy podziemia niepodległościowego po 1945 r. nie były w zasadzie w ogóle prowadzone. Zainteresowanie tym fenomenem nastąpiło po powołaniu do życia IPN i otwarciu archiwów bezpieki. Dziś szczęśliwie możemy i dbamy o bohaterów naszej wolności.

Komu dziś może przeszkadzać mit żołnierzy wyklętych, który bardzo trafia do młodych ludzi i jest szansą na wychowanie nowego pokolenia w duchu patriotyzmu?

Tym, którzy nie znają ich historii bądź nie czują się dobrze w wolnej Polsce, wychowani są w duchu postkomunizmu lub służą obcej racji stanu.

Czy państwo polskie zadośćuczyniło żołnierzom wyklętym i ich rodzinom za krzywdy doznane od PRL?

PRL nie była polskim państwem, powstałym z woli polskiego narodu. Była agendą Związku Sowieckiego nad Wisłą. Stąd też jakiekolwiek budowanie ciągłości w tym względzie uznaję nie tylko za kłopotliwe, lecz także niebezpieczne. Wolna Polska z całą pewnością oddała należyty honor żołnierzom wyklętym, choć dojrzewanie do tego trwało długo. W wolnej Polsce uchwalono ustawę o uznaniu za nieważne wyroków wydanych przez komunistyczne sądy wobec żołnierzy podziemia antykomunistycznego. Właściwą drogą do zadośćuczynienia pomordowanym żołnierzom, a także ich rodzinom jest ich należyte i godne upamiętnienie.

Fot. IPN

eprasa.pl b96b151b81



Odnalezienie szczątków, przywrócenie imienia oraz nazwiska, chrześcijański pochówek, pamięć. A dodatkowo edukacja i badania naukowe pokazujące heroizm postaw, bohaterstwo i wierność uniwersalnym wartościom.

Dlaczego powstał Przystanek Historia IPN w Berlinie? Jak znacząca to placówka, jakie ma cele? Dlaczego opowiadanie o polskich bohaterach za granicą jest ważne?

Otwarcie Przystanku Historia w Berlinie to realizacja aktywnej i odpowiedzialnej polityki historycznej prowadzonej przez IPN. Dzięki działaniom podejmowanym w stolicy Niemiec będziemy wypełniać luki w wiedzy historycznej niemieckiego społeczeństwa. Niemcy mają dla nas ogromne znaczenie z punktu widzenia polityki pamięci. Dla dobra wzajemnych relacji i pełnego zrozumienia konieczne jest posługiwanie się prawdą. Bez niedomówień i poprawności politycznej. Ma to szczególne znaczenie w kontekście dyskusji nad najtrudniejszymi problemami dotyczącymi reparacji wojennych. Niemcy mają dzisiaj niepowtarzalną okazję, by tę sprawę raz na zawsze zakończyć, wypłacając należne państwu polskiemu zadośćuczynienie za doznane krzywdy i popełnione zbrodnie w okresie II wojny światowej.

Jeśli są miejsca pamięci, to łatwiej o pamięć – jak mawiają historycy. Jakie miejsca na polskiej mapie pamięci są dla pana szczególne?

Miejsca pamięci, takie jak powązkowska Łączka, więzienie na Rakowieckiej czy dawna siedziba NKWD przy ul. Strzeleckiej 8 w Warszawie, to przestrzeń święta. W murach komunistycznych więzień i ubeckich katowni ginęli nasi bohaterowie narodowi, ci odważni, którzy nie wahali się przeciwstawić totalitarnej ideologii przyniesionej na sowieckich bagnetach. Później grzebani w haniebny sposób, w bezimiennych grobach na warszawskich Powązkach. Takich miejsc jest w Polsce bardzo dużo. Należy o nie dbać, zachowując dla potomnych nie tylko urbanistyczne świadectwa zbrodni, ale przede wszystkim pamięć o ofierze życia, jaką zapłaciło wielu patriotów miłujących ojczyznę.

Jak IPN dba o prawdę historyczną w przestrzeni publicznej?

Od blisko roku IPN jest organem prowadzącym Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL przy Rakowieckiej w Warszawie. Głęboko wierzę, że zaplanowane przez nas działania związane z tym miejscem już wkrótce doprowadzą do powstania nowoczesnej placówki muzealnej. Równie istotnym procesem polityki pamięci jest dekomunizacja, która nabrała tempa po rosyjskiej agresji na Ukrainę w lutym 2022 r. Z przestrzeni publicznej muszą zniknąć obiekty propagandowe gloryfikujące zbrodniczą Armię Czerwoną. Z blisko 60 tego typu obiektów, które jeszcze rok temu stały w wielu miejscowościach, usunięto blisko połowę. Ten proces powinien niebawem się zakończyć. A w miejscach, gdzie stały komunistyczne upamiętnienia, powstają pomniki będące wyrazem hołdu złożonego bohaterom naszej wolności bądź szacunku wobec ofiar systemów totalitarnych.

Jakie jest pana przesłanie na Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych? Dlaczego powinniśmy o nich pamiętać?

Przede wszystkim dlatego – choć zabrzmi mocno zasadniczo – bo to nasz obowiązek. Ale także dlatego, że społecznie po wielu latach daliśmy im drugie życie – w naszej pamięci. Nie możemy pozwolić im umrzeć w naszej pamięci, bo są żywą i tragiczną lekcją życia w obliczu totalitaryzmu, który wciąż się tli.

Reklama | 51/0223/F
Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b96b151b81



CZEGO POTRZEBUJESZ W DRODZE DO CELU?

PO RAZ SIÓDMY JESTEŚMY BANKIEM ROKU W POLSCE WEDŁUG MIESIĘCZNIKA THE BANKER

Sprawdź nas w działaniu. W aplikacji mobilnej:
- płać za parking i bilety komunikacji miejskiej
- czasowo blokuj kartę
- wypłacaj BLIKIEM z bankomatów w Polsce.

Bank Polski
dzień dobry

PKO Bank Polski otrzymał nagrodę „Bank of the Year 2022 in Poland", przyznawaną przez brytyjski miesięcznik „The Banker" należący do grupy Financial Times, m.in. za innowacyjne rozwiązania technologiczne.
Usługi opłaty parkingowe i bilety komunikacyjne dostarcza Mobile Traffic Data sp. z o.o., właściciel rozwiązania technicznego moBILET.
Aplikacja mobilna IKO jest usługą bankowości elektronicznej.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

eprasa.pl b96b151b81



Jadwiga Cieplińska z synem Andrzejem oraz Jerzy Klus (pierwszy z lewej), wrzesień 1955 r.

Obywatele drugiej kategorii

Problemy ze znalezieniem pracy, często brak środków do życia, nękanie wezwaniami na przesłuchania – to powojenna rzeczywistość rodzin żołnierzy niezłomnych. Dla nich prawdziwa gehenna zaczynała się często po stracie męża lub ojca



JAROMIR KWIATKOWSKI

Płk Łukasz Ciepliński, prezes IV Zarządu Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, rozstrzelany wraz z sześcioma współpracownikami 1 marca 1951 r. w więzieniu UB na warszawskim Mokotowie, przed śmiercią martwił się o przyszłość żony Jadwigi i ich jedynego syna Andrzeja. Zdawał sobie sprawę, że czeka ich bardzo trudne życie, ale prosił żonę, by przez cierpienie przeszła z godnością, spokojem i wiarą w Bożą sprawiedliwość. „Rodzina i dobrzy ludzie, o ile w ogóle tacy jeszcze istnieją – w tej dobie panowania szatana – pomogą Wam przetrwać” – pisał w grypsie z więzienia 16 stycznia 1951 r.

Matka karmiąca w areszcie

Jak się okazało, Ciepliński martwił się nie bez powodu i trafnie przewidywał przyszłość. Wdowa po prezesie IV Zarządu Zrzeszenia WiN, do swojej śmierci w 1990 r. mieszkająca w Rzeszowie, i jej syn Andrzej w okresie PRL cierpieli biedę. Pani Jadwiga nigdy nie podjęła pracy – odmawiano jej zatrudnienia ze względu na męża.

Synowa Magdalena Kuińska w wywiadzie opublikowanym w biuletynie Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL „Rakowiecka 37” (nr 17 z marca 2022 r.), zauważa, że drugim powodem, dla którego Jadwiga Cieplińska nie mogła podjąć pracy, było to, że podupadła na zdrowiu po „kotle”, jaki już po aresztowaniu Łukasza Cie-

Fot. Archiwum Jerzego Klusa

eprasa.pl b96b151b81

plińskiego bezpieka urządziła w ich mieszkaniu w Zabrzu w 1947 r. Nie wypuszczono jej na wolność od razu. W areszcie przetrzymywano ją kilka miesięcy, choć była matką karmiącą piersią.

„Podawano jej jakieś środki psychotropowe, wspominała coś o bromie. Potem przez całe swoje życie musiała używać środków uspokajających, bez których nie umiała funkcjonować, więc niewykluczone, że miało to wpływ na ogólny stan jej zdrowia i organizm był mniej odporny" – podkreśla Kuińska.

Lekcje pianina i swetry na drutach

Wdowa po Łukaszu Cieplińskim musiała jakoś sobie radzić w tej trudnej rzeczywistości. – W latach 50. w jej mieszkaniu widziałem jeszcze nieco starych, luksusowych mebli, które systematycznie sprzedawała, by za uzyskane pieniądze kupić artykuły pierwszej potrzeby – wspomina Jerzy Klus, długoletni pracownik Działu Informacji Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" w Rzeszowie (obecnie na emeryturze), przyjaciel Andrzeja Cieplińskiego z dzieciństwa.

Pani Jadwiga dorabiała, udzielając lekcji gry na pianinie, robiła też swetry na drutach, które sprzedawała. Wspierała ją rzeszowska rodzina – kuzynostwo Pisulińscy, którzy do końca jej życia opłacali czynsz za mieszkanie.

Syn Andrzej udzielał korepetycji z matematyki mniej zdolnym uczniom. Jego pasją była fotografia i – jak wspomina Jerzy Klus – był jednym z pierwszych fotografów amatorów w Rzeszowie, który rozpoczął odpłatne wykonywanie kolorowych zdjęć, choć prawdopodobnie nie przynosiło mu to większych dochodów. Miał bardzo dobry aparat fotograficzny. Magdalena, wdowa po Andrzeju, podejrzewa, że zafundował mu go brat mamy, wujek Stefan, który mieszkał w Anglii i w miarę ograniczonych możliwości (miał bowiem sparaliżowaną żonę, leżącą wiele lat w łóżku) starał się pomagać Cieplińskim finansowo. „Pamiętam, że krótko przed naszym ślubem z Andrzejem w 1971 r. zasponsorował kupno telewizora – wspomina pani Magdalena. – Przekazywał przez kogoś funty, które później odbierał Andrzej. […] A telewizor działał do śmierci mamy w 1990 r., miała wówczas 81 lat".

Wyjazd na drugi koniec Polski nic by nie zmienił

Sławomir Stanisław Górski, reżyser i współscenarzysta filmu o rodzinie Cieplińskich „Z krwi i kości", który obecnie przygotowuje, opowiada, że na jego prośbę Mirosław Surdej, historyk z Oddziału IPN w Rzeszowie, przeprowadził kilkumiesięczną kwerendę zasobów archiwalnych, próbując ustalić, czy pani Jadwiga i Andrzej byli inwigilowani przez bezpiekę. – Nie ma takich śladów, a przynajmniej Mirek nie natrafił na ślad, żeby panią Cieplińską poddawano jakimś wyrafinowanym formom obserwacji – zaznacza Górski. – Ta kwerenda nie jest jeszcze skończona, ale jeżeli to się potwierdzi, ilustruje to poziom wyrafinowania i ponadprogramowej zabawy ubeków. Oni traktowali to jako obowiązek, formę misji, żeby dopieprzyć tym biednym ludziom, rodzinom bohaterów. Jeżeli nie ma w dokumentach, że łazili za panią Jadwigą i Andrzejem – a wiem, że łazili – to z jakiego powodu to robili? Mogły to być prywatne wojenki, które uprawiali ze względu na to, że Łukasz Ciepliński wielu z ich środowiska nastąpił na odcisk. Nie ma śladu tego w dokumentach, ale trafiłem na dowody, że to był permanentny proces, który miał miejsce, ale nigdzie nie był rejestrowany.

Reżyser zastanawia się, co by to dało, gdyby pani Jadwiga z Andrzejem – choć nie mieli materialnych możliwości – zdecydowali się wyjechać z Rzeszowa na drugi koniec Polski. Z pozoru wydaje się to najprostszym wyjściem. Lecz mój rozmówca dochodzi do wniosku, że pewnie nic by to nie dało. – PRL był akwarium, w którym ludzie byli jak oznakowane jednostki – uważa Górski. – Trudno byłoby dokonać takiej zmiany bez zwrócenia na siebie uwagi. Szczególnie taka rodzina jak Cieplińscy. W Rzeszowie mieli życie jako tako poukładane i kontakt z dzielnymi ludźmi, którymi Łukasz Ciepliński dowodził. Myślę, że to ich trzymało.

Andrzej nie dał się złamać

Andrzej Ciepliński rozpoczął w 1954 r. naukę w rzeszowskiej Szkole Podstawowej nr 1 im. Adama Mickiewicza. Jerzy Klus, o rok młodszy uczeń tej samej szkoły, wspomina, że podczas komunistycznych rocznic Andrzej był zmuszony recytować wiersze Broniewskiego, m.in. „Do towarzysza-więźnia", „Na śmierć rewolucjonisty" czy „Pokłon rewolucji październikowej". – Z perspektywy lat oceniam angażowanie go przez nauczycielki do recytacji tego rodzaju utworów za co najmniej nietakt – podkreśla przyjaciel Andrzeja z dzieciństwa.

Reżyser Górski widzi tę sytuację nieco inaczej: – Andrzej do pewnego momentu nie miał świadomości tego, co się stało. Broniewskiego deklamował jako bardzo młody człowiek, który nie zdaje sobie sprawy, że to jest jakieś zło.

Syn Łukasza Cieplińskiego kontynuował naukę w rzeszowskim II LO. Jerzy Klus wspomina, że szkolna koleżanka Andrzeja mówiła mu, iż w tamtym czasie często bywał głodny. Zauważył to jeden z nauczycieli i pomagał mu w różny sposób, m.in. przynosił dla niego do szkoły drugie śniadania.

Andrzej Ciepliński studiował na Wydziale Elektrycznym Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Rzeszowie (dzisiejsza Politechnika Rzeszowska), ale miał na uczelni bardzo poważne problemy, związane głównie z nazwiskiem. „Jeden z profesorów (nie będę wymieniała nazwiska, choć do dzisiaj je pamiętam) był wręcz wrogo nastawiony i tę wrogość ciągle okazywał. Dlatego Andrzej przeniósł się do Wyższej Szkoły Pedagogicznej" – wspomina Magdalena Kuińska.

Nie było mu dane cieszyć się długim życiem. Zmarł na nowotwór dzień przed wigilią 1972 r. w wieku zaledwie 25 lat.

– Postawiłem sobie za cel próbę weryfikacji przyczyny śmierci Andrzeja. Czy oni mogli się do tego przyczynić – mówi reżyser filmu o Cieplińskich. – Nie mogę zdradzić pewnych informacji, bo one jeszcze nie zostały przeze mnie do końca sprawdzone. Śmiem jednak twierdzić, że się przyczynili, a jakimi metodami, to będzie pokazane w filmie – dodaje Górski.

Podkreśla, że celem komunistów było złamanie osób inwigilowanych, doprowadzenie do ich przejścia na ciemną

eprasa.pl b96b151b81

stronę mocy. – Andrzej nie dał się złamać, w pewnym momencie odszedł jednak od nurtu kontestacji systemu i szedł raczej w stronę samorealizacji, co zresztą wynikało z prośby ojca zawartej w testamencie z więzienia – podkreśla Górski.

Pod opieką podziemnej Solidarności

W latach 80. losem wdowy po bohaterskim żołnierzu niezłomnym zainteresowali się działacze podziemnej Solidarności z Diecezjalnego Zespołu Charytatywno-Społecznego przy klasztorze oo. Bernardynów w Rzeszowie. Dostarczali pani Jadwidze paczki żywnościowe, kupowali jej rzeczy niezbędne do życia czy przyznawali niewielkie zapomogi pieniężne (jak podaje Jerzy Klus, tylko w 1986 r. przyznano Jadwidze Cieplińskiej trzy zapomogi po 5 tys. zł każda, zakupiono jej koc za 2,6 tys. zł i upominek świąteczny za 300 zł). Do akcji pomocy włączyli się harcerze, przynosząc pani Jadwidze obiady. Pod koniec 1989 r. członkowie zespołu wywalczyli dla niej specjalną rentę, którą niestety do swojej śmierci (zmarła 16 stycznia 1990 r.) zdążyła pobrać jedynie trzy razy.

Nie zapomnieli też o niej współpracownicy Łukasza Cieplińskiego, którzy wspierali ją finansowo. Warto tu wymienić m.in. Fundację z Brzezia Lanckorońskich, Jana Jędrzejowicza i Jana Łopuskiego oraz Barbarę Dzieduszycką z Kanady. Także rodzina z Kwilcza (miejsca urodzenia Łukasza Cieplińskiego) wspomagała wdowę.

Wdowa po Tarzanie żyła w ciągłym strachu

Andrzej Gajda, syn kpt. Tadeusza Gajdy „Tarzana”, wspomina strach, który do końca życia odczuwała wdowa po bohaterze – Jadwiga. Zmarła dwa lata temu, dożyła sędziwego wieku 97 lat. Lecz nawet w ostatnim okresie nie chciała rozmawiać z synem przez telefon o ojcu. Prosiła: „Nic nie mów, bo czasy mogą się zmienić, będziesz miał problemy”. – Kiedy kilka lat przed jej śmiercią wytatuowałem sobie hasło „Tarzan”, nalegała: „Zlikwiduj to, nie ryzykuj” – opowiada pan Andrzej.

Tarzan urodził się 15 lutego 1924 r. w Charzewicach (dziś dzielnica Stalowej Woli). Był żołnierzem oddziału NOW-AK Franciszka Przysiężniaka. W 1945 r. został najmłodszym dowódcą oddziału partyzanckiego Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW).

> – Postawiłem sobie za cel próbę weryfikacji powodu śmierci Andrzeja. Czy oni mogli się do tego przyczynić – mówi reżyser filmu o Cieplińskich. – Nie mogę zdradzić pewnych informacji, bo one jeszcze nie zostały przeze mnie do końca sprawdzone. Śmiem jednak twierdzić, że się przyczynili, a jakimi metodami, to będzie pokazane w filmie – dodaje Górski

Zastrzelony przez UB 14 października 1946 r. w wieku zaledwie 22 lat w więzieniu na Montelupich w Krakowie.

Wdowa po Tarzanie zamieszkała po śmierci męża wraz z synem Andrzejem i córką Zosią u swojej matki w Rudniku nad Sanem. Była bez środków do życia. Pomagała jej rodzina i mieszkańcy miasteczka. Żeby uzyskać pracę, musiała się ujawnić na UB w Nisku. Pracowała w nadleśnictwie. Była wielokrotnie wzywana na przesłuchania. Żyła w ciągłym strachu. Jak wspominała (jej słowa przytacza biogram Tarzana na stronie kedyw.pl): „Idąc na UB, ze łzami żegnałam maleńkie dzieci, bo nigdy nie wiedziałam, czy do nich wrócę”. Syn Andrzej wie o tym, ale – jak podkreśla – był zbyt mały (rocznik 1944), by to lepiej pamiętać.

W 1949 r. Jadwiga Gajda z dziećmi przeprowadziła się do Przemyśla. Wyszła po raz drugi za mąż. Pracowała w tamtejszym Okręgowym Przedsiębiorstwie Przemysłu Drzewnego. – Ojczym służył w armii Andersa, ale po wojnie wrócił do Polski, dostał mieszkanie w Przemyślu – opowiada Andrzej Gajda. – Miał dobre układy na milicji, był myśliwym, miał broń.

Tamte lata pan Andrzej pamięta już lepiej, chodził wtedy do szkoły podstawowej. Wspomina, że bezpieka przyjeżdżała do OPPD i zabierała mamę na przesłuchanie. – Wówczas nasz ojczym zaraz jechał na milicję, interweniował i mamę wypuszczali – opowiada. – Kiedyś trzymali ją jednak do nocy. To było takie nękanie. Mama przychodziła z takiego przesłuchania smutna i przygnębiona.

Pan Andrzej, mieszkający od 1970 r. w Rzepedzi w Bieszczadach, przyznaje, że sam takiego nękania nie doświadczył. Może dlatego, że głośno nie chwalił się, kim był jego ojciec.

Zniszczyć komuś życie to igraszka

Dlaczego ubecy czerpali jakąś perwersyjną satysfakcję z zatruwania życia rodzinom żołnierzy niezłomnych, traktowania ich jak obywateli drugiej kategorii? Przecież najczęściej nie prowadzili działalności antykomunistycznej i chcieli po prostu spokojnie żyć. Czy bezpieka nie mogła im po prostu odpuścić?

Sławomir Stanisław Górski uważa, że nie. I uzasadnia dlaczego: – Taki był system. Bazował na zgniliźnie moralnej. Ci ludzie nie byli wychowani w świadomości pewnych wartości. Zniszczyć komuś życie to była dla nich igraszka, a bawić się niszczeniem życia innych, dawaniem im ciągle w kość, chodzeniem za nimi, nękaniem – to wywoływało w ubekach rodzaj jakiegoś podniecenia.

Autor dziękuje Mirosławowi Surdejowi, historykowi z rzeszowskiego Oddziału IPN, za pomoc w realizacji materiału

Reklama | 50/0223/F

eprasa.pl b96b151b81

Wspólnie
dla wolności



Historia o odwadze i poświęceniach, o której warto pamiętać. Szczególnie 1 marca.

Było ich nawet kilkadziesiąt tysięcy. Inżynierowie, robotnicy, wyczynowi sportowcy, humaniści - wszyscy znaleźli odwagę by zmienić komunistyczną rzeczywistość.

Mężni, niezłomni, zdeterminowani - zawsze w naszej pamięci.

Energa
GRUPA ORLEN

eprasa.pl b96b151b81

Obroty Kopernika

Jak na jednego z największych astronomów w dziejach Mikołaj Kopernik wciąż jest postacią bardzo tajemniczą. Prawie nic nie wiemy o jego życiu prywatnym, choć co kilka lat wybuchają związane z nim kontrowersje



WOJCIECH LADA

Kopernik – wiadomo – zatrzymał Słońce i poruszył Ziemię. Ale to było 500 lat temu. Tymczasem sama jego postać porusza i jest poruszana niezmiennie do dziś. Był Polakiem czy Niemcem? W jakim języku mówił? Czy jako duchowny miał kochankę? Dlaczego swoją przełomową teorię ogłosił dopiero na łożu śmierci? Czy to prawda, że to właśnie ten wielki astronom wynalazł kanapkę? Od stuleci wszystkie te pytania co i rusz powracają, wzbudzając zaskakująco żywe emocje. Jak więc właściwie było z tym Kopernikiem?

MÓWIĄC PO TUTEJSZEMU

Kłopot w tym, że w gruncie rzeczy niewiele o nim wiemy. Nie spisywał pamiętników, jak na człowieka renesansu nie prowadził rozległej korespondencji, a już zupełnie nie znamy jego listów o charakterze prywatnym. Nie przypadkiem Wojciech Orliński zauważał, że rekonstrukcja biografii człowieka, który zmienił obraz Kosmosu, zamienia się w powieść szpiegowską. Nic też nie wskazuje na to, by kiedykolwiek miało się to zmienić.

Bodaj najbardziej elektryzującym pytaniem dotyczącym astronoma jest to, czy był Polakiem, czy też Niemcem. Najgorsze zaś jest to, że z pewnością nikt nigdy nie udzieli na nie jednoznacznej odpowiedzi, a to z tego powodu, że taka nie istnieje. W czasach Kopernika kwestia narodowości w dzisiejszym jego rozumieniu po prostu nie występowała. Samo pojęcie narodu jest tworem dopiero XIX-wiecznym i ani Kopernik, ani nikt z jego współczesnych najzwyczajniej nie myślał w takich kategoriach.

Nie decydował o tym nawet język. Ludzie przełomu XV i XVI w. w tej części Europy byli z konieczności poliglotami, a mowa, którą się posługiwali, stanowiła swobodną mieszankę słowiańskiego i germańskiego, dość obficie przyprawioną łaciną. Nie polskiego i niemieckiego, bo oba te języki uzyskały znaną nam dziś formę kilka stuleci później. Można więc śmiało założyć, że ani współczesny Polak, ani Niemiec nie byłby w stanie porozumieć się z Kopernikiem. Wyglądało to wówczas mniej więcej tak jak na kresach Rzeczypospolitej jeszcze na początku XX w., gdzie rosyjski, polski i dialekty żydowskie zlewały się w oryginalną całość, przez samych miejscowych określaną po prostu jako język „tutejszy".

Ten sam proces zachodził na zachodzie i północy Polski w późnym średniowieczu. Kolonizacja niemiecka trwała w czasach Kopernika już od dobrych 300 lat, a w dodatku Toruń, z którego pochodził, był miastem należącym do zasadniczo germańskojęzycznej Hanzy. Niemieckie wyrazy polonizowały się więc na potęgę, polskie – germanizowały, tworząc razem przez stulecia specyficzną mieszankę, która umożliwiała ludności swobodne porozumiewanie się bez względu na to, skąd dana rodzina wywodziła swoje korzenie. Osoby słabiej wykształcone mówiły zapewne wyłącznie ówczesnym „tutejszym", te lepiej – znały zapewne oba języki i w obu mówiły równie swobodnie. Kopernik należał do tych drugich.

Rodzina matki przyszłego astronoma pochodziła z rodziny Watzenrode – wywodzącej się z Hesji. O rodzinie ojca wiemy mniej – Mikołaj senior do Torunia trafił już jako trzydziestoparolatek zapewne z Krakowa. Na to, skąd pochodziła dalsza rodzina, jest zbyt wiele teorii, by którąś uznać za pewną. Jednak i z jednej, i z drugiej strony rodzice Kopernika wywodzili się z rodów od dawna ściśle związanych z Polską. Mikołaj senior był najprawdopodobniej zaufanym człowiekiem najpotężniejszej osoby w ówczesnej Rzeczypospolitej, Zbigniewa Oleśnickiego. A rodzina Watzenrode stała twardo po stronie polskiej w zatargach z Zakonem Krzyżackim. „Łukasz Watzenrode starszy wyróżniał się w Toruniu wyjątkowo zdecydowanym zaangażowaniem w wojnę z Krzyżakami. Wspierał stronę polską w naturze, w czynie, a także w żywej gotówce" – pisał Orliński.

W tamtych czasach określenie się jako Polak lub Niemiec było bowiem nie kwestią krwi, lecz indywidualną decyzją. I nikt chyba nie ujął tego lepiej niż bezpośredni przełożony Kopernika, biskup warmiński Jan Dantyszek. „Ze względu na swoją wierność królowi Zygmuntowi jestem nie mniej Polakiem niż waszmość" – odparował komuś na zarzut antypatii względem Polaków. Biskup bowiem naprawdę nazywał się Johann Flaschsbinder von Höfen.

STRACH PRZED INKWIZYCJĄ

Mikołaj Kopernik mógł powiedzieć dokładnie to samo. Kiedy w 1520 r. Krzy-

eprasa.pl b96b151b81



MIKOŁAJ KOPERNIK. (Z Albumu Jana Matejki.)

żacy rozpoczęli kolejną wojnę z Polską i wkrótce podeszli pod Olsztyn, wystosował do Zygmunta list z prośbą o wsparcie. Pisał w nim m.in.: „Pragniemy bowiem czynić to, co przystoi ludziom szlachetnym i uczciwym oraz bez reszty oddanym Waszemu Majestatowi, nawet jeśli przyszłoby nam zginąć". Do oblężenia, a więc i obrony miasta, co prawda wcale nie doszło wbrew popkulturowej, heroicznej wizji roztaczanej przez stulecia. „Ów epizod w wersji udramatyzowanej tak dalece obrósł legendą, że sprostowania są zupełnie nieskuteczne" – rozkładał bezradnie ręce olsztyński historyk Andrzej Rzempołuch. Ale nie doszło do nich właśnie dlatego, że krzyżacki wywiad doniósł o doskonałym przygotowaniu obrony, co było zasługą wiernego Koronie Kopernika. „Odznaczył się w tej próbie ogromną energią, zabiegając już od jesieni 1520 r. o posiłki i dodatkową broń oraz umacniając własną postawą morale załogi" – przyznawał Rzempołuch.

W tamtych czasach status Warmii był bardzo specyficzny. Była ona bowiem w zasadzie księstwem kościelnym, na którego czele stał biskup warmiński. Ponieważ jednak od 1479 r. wybór biskupa był uzależniony formalnie od decyzji króla Polski, była ona lennem Rzeczypospolitej. Kopernik nie tylko nigdy nie miał z tą zależnością problemu, lecz także sporo wskazuje na to, że aktywnie wspierał polonizację tych ziem. Będąc nieco po czterdziestce, został administratorem dóbr kapituły warmińskiej. „Systematycznie podróżował po terytorium dóbr kapitulnych, osadzając na łanach opuszczonych nowych dzierżawców" – pisał historyk Krzysztof Mikulski. A Andrzej Rzempołuch uzupełniał:

„Zachował się spisany własnoręcznie przez Kopernika rejestr osadników z lat 1516–1519 [...]. W dokumencie tym licznie występują imiona polskie, świadczące o wzrastającym od początku XVI w. napływie na ziemie południowej Warmii osadników z Mazowsza". O ich napływie Kopernik nie decydował, ale o tym, kto konkretnie się osiedli – owszem.

Z tym okresem życia astronoma wiąże się zresztą wiele kwestii daleko wykraczających poza Warmię i sięgających Kosmosu. Jest bowiem bardzo prawdopodobne, że właśnie rezydując na

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl b96b151b81

olsztyńskim zamku, ukończył pierwszą księgę swojego dzieła „De revolutionibus orbium coelestium". I tu właśnie pojawia się kolejna niejasność w jego biografii. Co do tego, że był wiernym poddanym Jagiellonów, nie ma wątpliwości. Ale czy był równie wiernym poddanym Rzymu? Jego praca znalazła się przecież na indeksie ksiąg zakazanych przez Kościół, a trudno posądzać osobę o jego intelekcie, by nie przewidział takiego obrotu sprawy. Dlaczego dzieło życia Kopernika ukazało się dopiero, gdy umierał? Wiadomo przecież, że pracował nad nim już jakieś ćwierć wieku wcześniej – samą teorię musiał więc opracować wcześniej.

Opcje są dwie. Albo nie był pewny obliczeń i obserwacji – nie chciał więc publikować kontrowersyjnego dzieła w bardzo skomplikowanych religijnie czasach. To wtedy przecież, gdy Kopernik szykował olsztyński zamek do obrony przed Krzyżakami, Marcin Luter przybijał swoje tezy i rodziła się reformacja. Nawiasem mówiąc, właśnie Luter okazał się w końcu największym krytykiem Kopernika. Możliwe jednak, że astronom po prostu bał się kościelnej inkwizycji. Bardzo wyraźnie w każdym razie sondował reakcję na swoją teorię. Już w 1530 r., a więc 13 lat przed oficjalną publikacją, sekretarz papieski Jan Albert Widmannstadt referował Klemensowi VII wyniki badań Kopernika. Opinia musiała być daleka od entuzjazmu, skoro przez następną dekadę nie działo się w tej kwestii w zasadzie nic. Wiemy, że i na zamku w Olsztynie, i we Fromborku astronom dalej prowadził swoje obserwacje, ale zupełnie nic nie wiadomo, by starał się opublikować ich wyniki.

Przełom nastąpił dopiero w 1539 r., kiedy sędziwego, dobiegającego już siedemdziesiątki astronoma odwiedził młody profesor z Wittenbergi, Jerzy Joachim Retyk. Po rozmowie z Kopernikiem napisał „Opowieść pierwszą" („Narratio prima"), będącą pierwszym oficjalnie wydanym streszczeniem teorii kopernikańskiej. Od tego momentu Wszechświat nie był już taki sam jak wcześniej.

ROMANSE I PRACOHOLIZM

Ale może doszukiwanie się tu jakiejś konspiracji jest przesadą? Jest równie prawdopodobne, że Kopernik po prostu nie miał głowy wyłącznie do astronomii i kwestia publikacji jego teorii heliocentrycznej nie była najważniejsza. Wbrew bowiem dzisiejszej opinii Kopernik był człowiekiem bardzo praktycznym i stojącym twardo na ziemi. Człowiekiem energicznym i przez większość życia bardzo zapracowanym. Był przecież nie tylko astronomem, lecz także lekarzem, ekonomistą, kartografem, administratorem, matematykiem, a nawet dyplomatą. Napisał przecież swój traktat o pieniądzu ze słynną teorią, że zły pieniądz zawsze wypiera lepszy (prawo Kopernika-Greshama). Stworzył mapę Zalewu Wiślanego. Opiekował się chorymi, a przede wszystkim, jak wspominał Mikulski, całe dnie wypełniało mu administrowanie Warmią – to tym zajmował się w pełnym wymiarze godzin. Astronomia była rodzajem hobby, któremu oddawał się po codziennej pracy. Wizerunek Kopernika autorstwa Jana Matejki jest tyleż romantyczny, co nieprawdziwy. Pomijając to, co podkreślał Orliński, swoich obserwacji dokonywał raczej nie na zamkowej wieży, ale na płaskim polu za miastem, gdzie niebo jest znacznie lepiej widoczne.

> Ludzie przełomu XV i XVI w. w tej części Europy byli z konieczności poliglotami, a mowa, którą się posługiwali, stanowiła swobodną mieszankę słowiańskiego i germańskiego, dość obficie przyprawioną łaciną. Można więc śmiało założyć, że ani współczesny Polak, ani Niemiec nie byłby w stanie z Kopernikiem się porozumieć

Jakkolwiek było, przełom kopernikański rozpoczął się w 1539 r. za sprawą Retyka. Niewielkie dzieło szybko rozeszło się po Europie, wzbudzając spore zainteresowanie na królewskich i książęcych dworach, w pracowniach renesansowych naukowców. Kłopot w tym, że sam Kopernik miał już coraz mniej siły, by wszystkim tym się interesować. Całe życie spędził w ruchu, a w tym momencie był już jak na owe czasy w mocno podeszłym wieku. Zaledwie trzy lata po publikacji Retyka doznał udaru mózgu i ostatnie miesiące życia spędził w łóżku. „Bez pamięci i przytomności" – jak opisał to Tiedemann Giese. Jeśli więc nawet dożył ukazania się w 1543 r. swojego dzieła, najprawdopodobniej nawet tego nie zauważył, a na pewno nie skomentował – pod koniec życia był częściowo sparaliżowany i nie mógł mówić. Dla inkwizycji był już nietykalny.

A co do kochanek? Wiadomo, że miał brata Andrzeja, który słynął z tego, iż był prawdziwym hulaką. Możliwe więc, że w młodości i on nie stronił od damskiego towarzystwa. Później chyba jednak był dość powściągliwy w tej kwestii. Źródła plotkują w każdym razie tylko o jednej kobiecie, niejakiej Annie Schilling, przed którą przestrzegał astronoma bp Dantyszek. Anna była kobietą zamężną, choć zdaje się, że żyjącą z mężem w separacji. Kopernik odpisywał biskupowi:

„Lecz skoro tak się stało, zważywszy, że kiedyś wiernie u mnie służyła, wszelkimi sposobami starałem się skłonić ich, by żyli z sobą jak uczciwi małżonkowie. I na prawdę swoich słów jestem gotów przysiąc, a również oni oboje by potwierdzili, gdyby byli o to spytani. Lecz kiedy uskarżała się na niemoc męża, do której on sam się przyznawał i w sądzie, i poza nim, nic już nie mogłem poradzić".

Jak było – nie wiemy. Warto jednak pamiętać, że choć podobno Anna była kobietą piękną, dobiegała wówczas pięćdziesiątki, Kopernik zaś miał kilkanaście lat więcej. A było to 500 lat temu. Słońce wtedy co prawda stanęło w miejscu, ale nieporozumienia dotyczące Kopernika ruszyły pełną parą.

eprasa.pl b96b151b81

Nałożone historie

Rola w filmie „Filip” przyniosła mu Nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego. Eryk Kulm jr zapracował nią też na swoją życiową i zawodową odrębność



Fot. Piętka Mieszko/AKPA



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Kadr z filmu „Filip”

Nim zagrał tytułową postać w nagrodzonym Srebrnymi Lwami filmie Michała Kwiecińskiego, mówił w jednym z wywiadów: „Nie jestem moim ojcem ani dziadkiem. Chcę być oddzielony”. Właśnie mu się to udało.

PORUSZAJĄCA KREACJA

Ma 32 lata i to jego zdjęcie oraz informacje o nim wybijają się na czoło, gdy wpiszemy w internetowych wyszukiwarkach hasło „Eryk Kulm”. Od prapremiery na festiwalu w Gdyni, ale przede wszystkim od wejścia filmu do kin, kiedy jego rola zapewne poruszy o wiele większą grupę widzów, będzie kojarzyć się z tytułowym bohaterem.

W docenionym w Gdyni (również za zdjęcia Michała Sobocińskiego) „Filipie”, Eryk Kulm jr stworzył kreację. Nie tylko jako aktor, lecz także doświadczony osobistym cierpieniem człowiek. To jego gra – dramatycznie napięta i w paru scenach ściskająca za gardło – wciąga widza w historię uciekiniera z warszawskiego getta, który podając się za Francuza, pracuje jako kelner w luksusowym hotelu we Frankfurcie. Jednocześnie na własną skalę, cynicznie dokonuje rozrachunków z rasą panów.

Odwołujący się do prozy Leopolda Tyrmanda film – opowiedziany z perspektywy bynajmniej niejednoznacznego tytułowego bohatera oraz przefiltrowany przez jego traumę – niesie nieoczywiste spojrzenie na II wojnę światową.

TWARZ INTELIGENTA

Michał Kwieciński, reżyser, autor scenariusza i producent „Filipa”, podkreśla: – Nie wyobrażam sobie kogoś innego w tej roli. Eryk jest wyjątkowy. Przede wszystkim to inteligent, a wcale nie jest takie proste, by dobry aktor miał twarz inteligenta.

Kulm to również człowiek wykształcony, m.in. muzycznie. Zna też biegle dwa języki, choć bez niemieckiego, którym władał Filip. – Mimo to ma wiele cech postaci – podkreśla Kwieciński.

Życie dopisało do reżyserskiego konceptu własny wątek. Już na etapie przygotowań w krótkim odstępie czasu Eryk Kulm stracił oboje rodziców. O pracy nad rolą tak mówił podczas festiwalu w Gdyni: „Historia Filipa w dziwny sposób nałożyła się na moją osobistą historię. Próba udźwignięcia totalnej samotności, która spada na człowieka wraz z nagłą utratą bliskich, plus filmowa przestrzeń i czas akcji spowodowały, że czułem się trochę, jakbym to ja był w tym czasie i zdarzeniach. Nie potrafiłem się odlepić od Filipa. Wyjątkowo mocno, w pełni, poczułem tę postać”.

Na podobny odbiór wpłynęło zapewne i to, że przez 42 dni zdjęciowe aktor niemal nie schodził z planu. Wcześniej poświęcił rok na przygotowania. Wyłącznie tej roli. Nie mógł w tym czasie występować w innych produkcjach.

Ponieważ jego bohater mówi głównie po niemiecku (wyjątek stanowią nieliczne zdania wypowiadane po polsku, francusku i w jidisz), nauczył się w tym języku wszystkich kwestii, szlifował też francuski, rzeźbił muskulaturę, przybierając kilka kilogramów na wadze, miał zajęcia z tańca, ze stepowania i z boksu.

Wspomina: – Przygotowania były bardzo długie i intensywne. Reżyserowi zależało m.in. na tym, by mój bohater miał wygląd trochę nieadekwatny do powszechnego wyobrażenia na temat bohaterów wojennych. Powiedział mi: „Idź ćwiczyć, musisz wyglądać atrakcyjnie”. Ciało Filipa jest swego rodzaju protestem przeciwko wojnie. To część jego maski.

SCENA DLA MATKI

By rozładować frustrację, cierpiący na bezsenność Filip wymyka się nocą do hotelowej sali balowej. – Biega, żeby się zmęczyć. Z czasem to bieganie zamienia się w swoisty taniec. Bohater wyraża w nim swoje uczucia i przeżycia – komentuje Michał Kwieciński.

To w pustej sali balowej dochodzi do najbardziej poruszającej sceny filmu – pełnej rozpaczy i bólu.

– Zrobiliśmy tylko jedną próbę z kamerą, ustalając wyłącznie, kiedy bohater zaczyna biec, a kiedy opada z sił. Poza tym dałem Erykowi 100-proc. wolność i przyszedł moment, w którym grając rozpacz Filipa, na kilka chwil on sam totalnie się rozsypał. To było wstrząsające. Wiedziałem, że nic mocniejszego i lepszego już się przed kamerą nie pojawi. Kiedy skończyliśmy, Eryk powiedział, że poświęcił tę scenę matce.

ŚLADAMI CYBULSKIEGO

„Filip” przyniósł Erykowi Kulmowi jr. nagrodę „dla młodych aktorów, którzy odznaczają się wybitną indywidualnością”. Co ciekawe, dziadek od strony mamy dobrze znał Zbyszka Cybulskiego, został nawet świadkiem na jego ślubie. Ten dziadek był malarzem. Mieszkał w Gdyni. Jego córka również wybrała malarstwo. Drugi dziadek przez wiele lat pływał jako oficer na MS Batory, jego syn został znanym jazzmanem. Urodzony w Sopocie aktor był trzecim Erykiem Kulmem w rodzinie. To samo imię i nazwisko nosili dziadek i ojciec.

W pewnym momencie, jak wspomina, zaczął pytać siebie: „Gdzie w tym jestem ja?”. Na początek dodał do nazwiska skrót „jr”. Dziś wyróżnia go też i określa – życiowo oraz zawodowo – rola w filmie „Filip”.

eprasa.pl b96b151b81

Czwartos – malarz z Polski

Cyklami o żołnierzach wyklętych i Niemcach wzbudza bardzo silne emocje. Dedykacjami dla swoich wielkich, polskich poprzedników dowodzi ciągłości tradycji. – Jestem malarzem z XVII w. – deklaruje Ignacy Czwartos, malarz i rysownik. – Moim orężem jest malowanie i nazywanie tych obrazów – wyjaśnia



MACIEJ WALASZCZYK



10 lat temu „Newsweek” opublikował tekst Adrianny Prodeus z prześmiewczym tytułem „Nowosielski: Ikona czy ikonka” i z ironicznym dopytaniem: „Jerzy Nowosielski wielkim malarzem był?”. Autorka za wszelką cenę chciała udowodnić, że wartość dzieł artysty jest wynikiem sprytnych zabiegów marketingowych. W ataku wzięli też udział jego byli uczniowie: Jadwiga Sawicka, Joanna Rajkowska i Grzegorz Sztwiertnia.

– Wstrząsnął mną ten artykuł. Nie mogłem się pogodzić z tym, co ci ludzie mówią. Malując, starałem się na niego odpowiedzieć – opowiada Ignacy Czwartos, znany krakowski malarz, uważany za najwybitniejszego ucznia Jerzego Nowosielskiego. Tak powstał obraz „Taka robota na wiosce”. Tytuł-cytat nawiązuje do wypowiedzi wspomnianego Sztwiertni, który w pogardliwy sposób podsumował dorobek artysty. Imago Czwartosa przedstawia słynnych malarzy: mistrza abstrakcji Marka Rothko i prymitywistę Nikifora Krynickiego stojących nad trumną z ciałem Nowosielskiego. Trójca artystów niekonwencjonalnych, wybitnych, niezależnych i mających odwagę być sobą w świecie samozwańczych autorytetów. Również twórczość Czwartosa jest charakterystyczna i unikatowa, a od pewnego czasu uznana za kontrowersyjną. Kiedyś powszechnie ceniony ilustrator „Przekroju” i krakowskiego „Czasu”, dzisiaj już „faszysta”, „ulubieniec prawicy”.

– Obraz jest częścią cyklu „Martwy artysta – żywy artysta”. Ci martwi artyści przychodzą do innego już nieżyjącego. Są na nim żywi lub martwi w zależności od tego, jak się obróci obraz i ustawi ich sylwetki w pozycji horyzontalnej – wyjaśnia malarz. Jego obrazy można zobaczyć na wystawie „Ignacy Czwartos. Malarz klęczał, jak malował” otwartej przed kilkoma dniami w Zachęcie – Narodowej Galerii Sztuki. Będzie czynna do 2 lipca br.

eprasa.pl b96b151b81


„Kwiaty dla Wróblewskiego”

Piotr Bernatowicz, dyrektor Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, jeden z kuratorów wystawy, wyjaśnia, że tytuł odzwierciedla postawę artysty, jego pokorę w stosunku do malarstwa. – Jego twórczość jest również lekcją odebraną u poprzedników. Pokazuje, od kogo się uczył, kogo ceni, i tego nie ukrywa – zwraca uwagę Bernatowicz. – Te obrazy są swego rodzaju ich epitafiami – dodaje dr Janusz Janowski, dyrektor Zachęty, również pełniący funkcję kuratora.

Swoiste dedykacje Czwartos stworzył nie tylko dla Nowosielskiego, choćby w postaci obecnych na wystawie kilku ikonicznych portretów. Sportretowani są m.in. Kazimierz Malewicz, Andrzej Wróblewski czy Jarosław Modzelewski. Obraz „Rozmawialiśmy o Malewiczu”: stoją Piotr Lutyński, Marek Chlanda i Czwartos, trzymając w dłoniach słynny „Czarny kwadrat na białym tle” Malewicza. W latach 90. XX w. tworzyli w jednym miejscu. – Od czasu do czasu spotykaliśmy się w kuchni na piciu kawy, rozmawialiśmy na różne tematy, ale szczególnie na temat Malewicza – opowiada artysta. Jak wyjaśnia, inspiruje go cała historia sztuki, ale Malewicz jest jednym z ulubionych, choć poza nim także Strzemiński, Fijałkowski, Gierowski.

RELIGIJNA ABSTRAKCJA

Jego abstrakcje charakteryzuje trzymanie się reguł tradycyjnej konstrukcji geometrycznej i czysty kolor. Kuratorzy z Zachęty fachowo je opisują: ściszony rejestr beżów, wielowymiarowych bieli, stonowanych błękitów uzupełnionych błotnistą zielenią i złamaną czerwienią. Barwy chłodne, zimne, wilgotne, pokazujące Polskę spłowiałą, zerkającą z kolorów dokładnie takich, jakie przez trzy czwarte roku dominują wokół nas. Jak tłumaczy artysta, gdyby mieszkał w Australii czy Nowej Zelandii posługiwałby się zupełnie inną paletą. Zachwyceni Czwartosem krytycy od razu dostrzegli, że w jego twórczości odnajdujemy ciszę, liryzm i kontemplację. To abstrakcje zawierające metafizyczny kontekst. Po nich pojawił się obraz trumienny, podniosły, pełen symboliki, będący syntezą barokowej dekoracji i wschodniej ikony. Nowoczesny, ale zakorzeniony w tradycji, mocno religijny.

– Malowanie jest modlitwą, którą jest nawet mieszanie barw – mówi malarz. Na pewno przekazuje coś istotnego. – Polskim malarzem czułem się od początku. Moim orężem jest malowanie i nazywanie tych obrazów. Pomyślałem, że skoro świat stoi tyłem do tożsamości, wypiera religię, to należy się jakoś bronić.

Z KIELC DO KRAKOWA PRZEZ KALISZ

Jego droga artystyczna to ciekawy plastyczny labirynt między Kielcami, Poznaniem, Kaliszem i Krakowem. Artysta pochodzi z Kielc, gdzie jeszcze w latach 80. XX w. próbował grać w piłkę nożną w tamtejszej Koronie. Potem wyprowadził się do Wielkopolski. W Poznaniu przychodził na kurs rzeźby dla amatorów. Po nieudanej próbie dostania się do poznańskiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych znalazł się Zakładzie Wychowania Plastycznego w Kaliszu, będącym filią poznańskiego uniwersytetu. – Chciałem uciec od służby wojskowej. Tam poznałem m.in. nieżyjącego dziś prof. Tadeusza Wolańskiego. Jak się okazało, ucznia Władysława Strzemińskiego, a zarazem byłego asystenta prof. Jerzego Nowosielskiego z czasów, gdy ten wykładał w Łodzi – wspomina. Wraz z przyjacielem dostali list polecający i rozpoczęli regularne pielgrzymki do Krakowa, gdzie mieszkał i tworzył mistrz.

Potem zapadła decyzja o przeprowadzce i pierwsza wspólna wystawa. W 1995 r. powstała Otwarta Pracownia na Kazimierzu. Jak mówi Czwartos, squat artystyczny, w którym wraz z malarzem i przyjacielem Wojciechem Głogowskim zamieszkali wspólnie z rodzinami. Galeria stanęła w opozycji do Fortu Sztuki, lansującego performerów, instalatorów, nastąpiła konfrontacja, bo malarstwo stało się raczej niepopularne. – Nowosielski chciał się tam nawet wprowadzać. Był zachwycony pomysłem, który przypominał mu jego młodość, a zarazem zaskakującym, bo postanowiliśmy pokazywać tam tradycyjne malarstwo – mówi Czwartos. A wpływ samego Nowosielskiego? – Może nie był aż tak intensywny, ale bywałem u nich w domu. Było ważne, co do nas mówił, jak opowiadał o malarstwie. Odpowiadał mi duchowo – przyznaje.

PORTRET TRUMIENNY – REWITALIZACJA

Poza malarstwem dał się poznać jako ilustrator prasowy i książkowy. W przeciwieństwie do obrazów rysunki Czwartosa były bardzo inten-

eprasa.pl b96b151b81

sywnym i komunikatywnym komentarzem do rzeczywistości. Artysta zaproponował więc specyficzną wizję malarstwa religijnego, połączenie figuracji i abstrakcji w jednym z wyraźnym odwołaniem do staropolskiej kultury sarmackiej. – Nowosielski mówił o sobie, że jest malarzem z XV w. i nie zna się za bardzo na współczesności. A ja mu odpowiadałem: „Doskonale rozumiem pana, bo jestem malarzem z XVII w. – opowiada. Pociąga go wymowa takiego portretu, z którego twarz zmarłego utrwalona na cynkowej blasze patrzy na żywych. To – jak tłumaczy – przepustka i medium łączące oba światy. Na wystawach widzowie oglądali te portrety trumienne przy świetle świec. Rycina „Reges Poloniae", będącą tableau monarchów polskich Tomasza Tretera z XVI w., u Czwartosa przemienia się w zbiorowy poczet 32 żołnierzy podziemia antykomunistycznego. W jego wizji szlachetni partyzanci, uczestnicy zbrojnego oporu przeciw sowietyzacji Polski, stają się współczesną elitą – nowym rycerstwem. „Epitafium dla Józefa Franczaka »Lalka«", który trzyma swoją odciętą głowę, stojąc obok NKWD-zistów, czy wizja „Żołnierzy Żelaznego" wstrząsają. Malowane płasko i powściągliwie, są inspirowane historią i tematami ostatecznymi. Postacie stoją frontalnie, są monumentalne, mityczne, poważne. Choć nie ubrane w żupany, bez mieczy i szabel, posiadają własne rekwizyty: proste mundury, swetry, rogatywki. Obrazy nawiązują bezpośrednio do ubeckich fotografii dokumentujących zabicie ściganych w obławach. Znów „Ryby", odwołujące się do dzieła Andrzeja Wróblewskiego („Ryby bez głów" z 1948 r.), przywodzą na myśl stół w prosektorium, na którym leżą pokawałkowane ciała w mundurach.

„Epitafium dla Józefa Franczaka »Lalka«", który trzyma swoją odciętą głowę, stojąc obok NKWD-zistów, czy wizja „Żołnierzy Żelaznego" wstrząsają. Malowane płasko i powściągliwie, inspirowane są historią i tematami ostatecznymi

W podobnej konwencji Ignacy Czwartos skomentował również inne zjawiska. Obraz „Proszę państwa do gazu" jest reakcją na niemiecki serial „Nasze matki, nasi ojcowie". Esesman i żołnierz Wehrmachtu mają twarze producenta Nico Hofmanna i aktora Toma Schillinga, który grał w nim główną rolę. „Niemiecka jakość" powstała w reakcji na słynną na całym świecie, prezentowaną swego czasu także w Krakowie, wystawę „Body Worlds" lekarza Gunthera von Hagensa. Pokazywano na niej figury stworzone ze spreparowanych zwłok, m.in. więźniów skazanych na śmierć w Chinach. – Zestawiłem go z doktorem Mengele, zwanym Aniołem Śmierci z Auschwitz, zawsze nienagannie ubranym w biały lekarski fartuch i białe rękawiczki. To dobrze koresponduje – komentuje artysta, zapowiadając, że niemiecka tematyka na pewno powróci w kolejnych obrazach.

Trwa wojna. Czwartos maluje Konstantego „Kastusia" Kalinowskiego, komisarza powstańczego rządu narodowego na Litwę i Białoruś z czasów powstania styczniowego. Dziś białoruski oddział jego imienia walczy na Ukrainie z Rosjanami. – Tak jak wyklęci walczyli z sowietyzacją, tak powstańcy styczniowi z rosyjskim imperializmem. Kastuś jest więc dziś żywym symbolem dawnej Rzeczypospolitej i jej narodów – podkreśla.



„Epitafium dla Józefa Franczaka »Lalka«"

eprasa.pl b96b151b81

3 MIŁOŚCI

Polska Jezusa



ROBERT TEKIELI

Przepaść i mądrość – spadają nasze dzieci z wysokości nieba na dno mojej i twojej rozpaczy. Rozproszyły się po całym świecie samotne i bez opieki. Nasi ukochani odchodzą od Kościoła zbudowanego na krwi niewinnego cierpienia. Odchodzą mężowie, odchodzą żony, odchodzą przyjaciele, krewni, tak wielu ludzi odchodzi od Boga. Miłość Zraniona woła o pomoc.

„Skupiony na sobie, sklejony z rodzicami, bez pomysłu na siebie i związek. Smutny obraz współczesnego mężczyzny" – konstatuje „onetKobieta". „To, co wydaje się łatwą metodą na odstresowanie, jak marihuana, alkohol, używki czy słodycze, realnie nie działa. Zgubnymi metodami może być też seks, traktowany jako instrument redukowania napięcia wywołanego stresującą sytuacją" – mówi neuropsycholożka w „Wysokich Obcasach". A na wyborcza.pl pod zdjęciem 30-letniego mężczyzny: „To jedna z najmądrzejszych decyzji w moim życiu – cieszy się i opowiada, co dało mu odejście od Kościoła katolickiego". „Kościół trzyma nas za mordy twardą ręką. Ci, którzy się wyrwali, muszą o tym mówić".

Mimetyczni kreatorzy naskórka polskiej rzeczywistości. Od trzydziestu kilku lat próbują nas na nowo ulepić. Wejść głębiej. Jak na dłoni widać już dziś, dokąd doprowadziła nas nowożytna kultura. Co robi z człowiekiem, którego serce nią oddycha.

Plus: zaczęli opisywać świat, który stworzyli. Liberalny i libertyński świat monad. Minus: dalej robią to samo, niszczą. Nic nie zrozumieli. Ratować człowieka musimy więc my, ci, którym więcej dano.

Świat jest na diecie, Kościół pości. Różnica tkwi w intencji. Możesz walczyć z ciałem, możesz walczyć o sens. Post jest potężną bronią, wyrzeczenia są potężną bronią, ofiarowanie własnego cierpienia za cierpiących i pogubionych to duchowa bomba atomowa.

Parę miesięcy temu w telewizji Trwam, gdy już opowiedziałem o tysiącu zagrożeń duchowych, cyfrowych, transowych, ojciec prowadzący zapytał: „I jak z tym walczyć?".

Opowiedziałem wiral widziany w sieci. Stoją kobiety od błyskawic, przeklinają, wyją, młoda dziewczyna też krzyczy. Stoi babcia różańcowa, modli się i nagle podchodzi do dziewczyny i całuje jej stopy. Płacz. Dziewczyna wtula się w starszą kobietę, jakby chciała się w niej schować. Miłość w działaniu.

Po paru miesiącach napisał do mnie brat Paweł, benedyktyn, gratulując genialnej prostoty formuły. Wtedy nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Jest postulatorem w procesie beatyfikacyjnym ojca Bernarda z Wąbrzeźna, a ten właśnie tak działał: modlitwa, post, łagodność, wiara w cud nawrócenia.

Pomyślałem o Tobie. W wymiarze jednostkowym, żeby dać ci narzędzie walki o twoich najbliższych i o siebie. I w wymiarze najszerszym, bo pomyślałem, że może będziesz chciała wspólnie zawalczyć o Polskę i świat dla Jezusa.

Człowiek pozbawiony poczucia grzechu, człowiek, któremu wyjęto z rąk najważniejsze narzędzie, najistotniejsze pojęcie niezbędne do opisu świata, musi zachowywać się jak ślepiec. Wiem, 35 lat się tułałem, wpadając z jednego dołu w większy kolejny. Ślepi przewodnicy jednookich. Nie rozumieją ani świata wokół siebie, ani człowieka. Nie chcą rodzin, chcą związków, potem już tylko: choć na chwilę. Mówię to z miłością, sam taki byłem, trzeba się dla nich pokroić.

Dlatego pomyślałem o Tobie. Walczysz o żonę, i o Tobie: twój syn nie umarł, twoja córka żyje, są tylko pogubieni, daleko od miłości kochających ich ludzi. Moim i twoim zadaniem jest pomóc im wrócić do domu, do Kościoła. Odcinając z siebie po kawałku, z miłości do Miłości. Postem i modlitwą za nasze dzieci, za nasze rodziny, za małe ojczyzny, za nasze parafie. Toczyć duchową walkę.

Mamy odzyskać Polskę dla Jezusa. Wszystko jest możliwe dla tego, kto wierzy, ufa. Mamy przyprowadzić do Ojca nasze dzieci, naszych krewnych, naszych przyjaciół i nieprzyjaciół.

Świat można poddać kontroli. Nie da się go kontrolować. Nikt nie ma kontroli nawet nad własnym życiem. Jesteś pewien, że doczekasz jutrzejszego poranka? Żadna technika tu nie pomoże, żaden coaching, żadna mechanika, za dużo zmiennych, statystyka. Jedynie miłość jest zdolna ogarnąć świat. Uzdrowić. Uleczyć. Musimy działać my. Pamiętając o grzechu i własnej grzeszności. Jest Wielki Post, potrzebny kolejny krok. Świat się nie nawróci, pogubieni nie wyjdą z pętli zniewolenia bez naszych wyrzeczeń, bez postu, bez duchowej walki o dusze przyjaciół i nieprzyjaciół. Wiem to na pewno, sam byłem pogubiony.

Ci, którym darmo dano łaskę wiary, co mamy zrobić? Odzyskać Polskę dla Jezusa. Walczyć o bliskich, którzy odeszli, walczyć o pogubionych. Postem i modlitwą. Łagodnością i wiarą w cud nawrócenia.

eprasa.pl b96b151b81



WOJNA CYWILIZACJI

Warte „Posiedzimy, pogadamy, wypijemy, zakąsimy i do białego rana będziemy opowiadali sobie zmyślone przygody erotyczne” – kusił Jakub Wędrowycz Michała Ciukszę, cwanego właściciela międzywymiarowego portalu, który dogadał się na zasadzie win-win z ufokami.

„A mówiłem wnukowi, olej to technikum, bo trzeba uczyć się, a nie studiować. A ten się zaparł, że w inżyniery pójdzie. Komu to potrzebne” – Kuba Wędrowycz powrócił! Jest On, może jeszcze Superman, może Batman. Bo któż inny wpadłby na pomysł, by pozyskać święcony wodór przez elektrolizę święconej wody?

Kuba Wędrowniczek, najsłynniejszy polski bimbrownik, plugawy degenerat, sielski superbohater ściany wschodniej z Wojsławic, dziś pewnie na poboczu Via Carpatia. Jak na 10. tom serii o właścicielu najtreściwszej w Układzie Słonecznym onucy jest bardzo dobrze. Formuła Andrzejowi Pilipiukowi się nie wyczerpała. Byli „Faceci w czerni”, są „Faceci w gumofilcach” – swojskie fantasy. Wiejski egzorcysta daje radę. Z 11 opowiadań, przynajmniej pięć, może sześć bardzo zabawnych. Doskonała „Wajcha” z przewróconym przewrotem kopernikańskim, dobry „Dentystyczny Batalion Karny”, tak samo „Król szczurów”. Roztańczony język jest też w pozostałych z najlepszych opowiadań. A i te słabsze wstydu nie robią. Kilka godzin oddechu wyobraźni, niezłej zabawy. Pilipiuk w formie: „Nad Moskwą zapadła noc. Ponuro turkotały turkinkiety, na torach zgrzytały koła tramwaju, Anuszka kupowała olej w nocnym sklepie, bezpańskie psiska wyły do księżyca, mutanty żyjące w metrze wietrzył żer... Wiatr przetaczał śmieci po placu Czerwonym. Mieszkańcy miasta dawno już spali i tylko Lenin wiercił się w mauzoleum, jakby szukał poduszki. Co jakiś czas przesuwał palcami po kamizelce i próbował wymacać przez tkaninę osikowy kołek”.

Wędrowycz, najbardziej znany obok Wiedźmina i Inkwizytora Piekary bohater polskiej fiction spod znaku fantasy: „Moi przodkowie żyjący w Wojsławicach zawsze byli dla lokalnych dziedziców kamykiem w bucie i solą w oku ich ziemi”. Tej ziemi. „Faceci w gumofilcach” to 10. tom sagi o profesjonalnym egzorcyście amatorze, w którym homeryckie boje toczą onże Wędrowycz i stary Bardak jak Kargul i Pawlak. Posłuchajcie państwo melodii tych tytułów: „Weźmisz czarno kure...”, „Konan Destylator”, „Homo bimbrownikus”, „Czarownik Iwanow”, „Wieszać każdy może”, „Karpie bijem”, najczulsze ucho Aleksandra Fredry czy Jacka Podsiadły byłoby zachwycone.

I jeden jedyny, malusieńki zgrzyt. Między erupcjami humoru – poszukajcie państwo fragmentu z „Ktoś pił z mojego kubka” – drobny, fałszywy ton. To siermiężne, przepocone i cuchnące theatrum wiejskiej mordowni pokazano z inteligenckiej perspektywy, choć narracja jest prowadzona przecież z punktu widzenia jej bywalców. Inteligenckie są też odrobinę dialogi. W 70 proc. wiarygodne. I nie chodzi mi o jakiś weryzm. Ale o ducha świata pegeeru, o esprit gnojowicy, urok pekaesów i walonek. O klimaty małomiasteczkowego dzieciństwa i wielodniowych imprez z moimi umiłowanymi paysan-cultivateur-small-farmer-przyjaciółmi z liceum. O wielokilometrowe ulicówki lat 70. z ławeczkami przed szaro-eternitowymi chatami i piętrowymi już też domami z czerwonej cegły, a na ławeczkach babcie nawąchane eterem. Szły wtedy innego tonu dialogi. Ale na tle całości ta minidysharmonia, to mało znaczące detale. W kabarecie nie pytamy o szczegóły, chcemy się śmiać, bawić. A mnie bawią Pilipiukowe grepsy. Jak te z „Ogłoszeń drobnych” z czwartej strony okładki: „Z powodu ucieczki za granicę oddam w dobre ręce prężnie działającą sektę religijną”, „»Siekiera karmi i ubiera« – kurs nie tylko dla drwali”, „Zlecę reinkarnację teściowej. Bardzo dobrze zapłacę”.

No i na koniec wróćmy do osikowego kołka: „W gabinecie na Kremlu mimo później pory paliło się światło. Prezydent Putin przejrzał raz jeszcze listę byłych przyjaciół. Odptaszkował kilka nazwisk, przy dwóch napisał znak zapytania. Otworzył sejfik, przeliczył fiolki z nowiczokiem i polonem. Skrzywił się i przeniósł trzy nazwiska na listę rezerwową. Potem długą chwilę trwał zadumany nad mapą wschodniej Ukrainy...”.

Warte Zaczyna się od scenki mówiącej na temat relacji idol – fan. „Tatko! Tatko! On nadepnął mi na twarz!!!”. „Już nigdy nie pozwolę ci jej umyć!”. Właśnie obejrzałem nową produkcję Spielbergowego DreamWorks Animation. Ale o „Kocie w butach: Ostatnim życzeniu” dziś tylko tyle: Kot w Butach to Piotruś Pan – Hollywood na poważnie zajął się tematem dojrzewania do miłości i odpowiedzialności, normalnie Spielbergowi Jan Paweł II scenariusze pisze.



Zobaczymy Za tydzień też kilka akapitów o tym, czy „Ja, inkwizytor. Dziennik zarazy” Jacka Piekary zostanie zapamiętany jedynie dzięki kpinom z Grzegorza Brauna. BTW, ziomale, opcja atlantycka, über alles!

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl b96b151b81



Takiego kina wojennego nam trzeba



Kino



Srebrne Lwy na ostatnim festiwalu w Gdyni dla *„Filipa”* były zaskoczeniem. Bardzo pozytywnym zaskoczeniem. Nadal uważam, że brak jakiejkolwiek (sic!) nagrody dla „Io” maestro Jerzego Skolimowskiego jest kuriozum (w końcu co tam jakieś nagrody w Cannes i nominacja do Oscara, nieprawdaż?), ale festiwal w Gdyni przyzwyczaił nas przez lata do różnych zdumiewających zdarzeń. Niemniej „Filip” Michała Kwiecińskiego na swoje nagrody zasługiwał, bo ten film jest przykładem na to, jak powinniśmy robić kino historyczne, którego seans nie wyciskałby z widza zdania: „Ech, znów zmarnowana szansa”.

„Filip” nie tylko nie jest zmarnowaną szansą, lecz także pokazuje, że o polskiej percepcji II wojny światowej można mówić w sposób oryginalny i drapieżny. Cieszy też fakt, że udało się przekuć na język filmu świat Leopolda Tyrmanda, po którego polskie kino w zasadzie wcale nie sięga. Luka zaczyna być wypełniana, i to od razu w świetnym stylu, bowiem takiego (anty)bohatera polskie kino wojenne jeszcze nie widziało. Powieść „Filip” z 1961 r. Tyrmanda nie tylko przecież odnosiła się do przeżyć młodego pisarza w Niemczech w czasie wojny, lecz także może być odczytywana jako rodzaj spowiedzi osoby uwikłanej w system. Jest to uniwersalna opowieść o krętych drogach intelektualisty i pisarza, który miał w czasach wileńskich epizod współpracy z „Komsomolską Prawdą”. Film Kwiecińskiego opowiada o losie polskiego Żyda, który bezwstydnie (?) kolaboruje z nazistowskimi Niemcami, ale jednocześnie prowadzi swoją wewnętrzną walkę. O siebie i o Polskę.

Film otwiera scena rozstrzelania przez Niemców widowni żydowskiego teatru, w którym występuje młody Filip. Masakra bawiących się i nieświadomych nadchodzącej śmierci ludzi jest też klamrą zamykającą opowieść, co jest nawiązaniem nie do tradycji polskiego kina wojennego, ale postmodernistycznej popkultury rodem z transgresywnych „Bękartów wojny” Quentina Tarantino. Nie jest to zaskakujące w kontekście tego, że „Filip” jest *de facto* kinem o zemście. W wymiarze osobistym i historycznym. W „Filipie” główny bohater, zjawiskowo grany przez charyzmatycznego Eryka Kulma jr. (brak nagrody aktorskiej w Gdyni jest kuriozum), pracuje jako kelner w jednym z frankfurckich hoteli. Obsługuje Niemców wraz z innymi młodymi chłopakami z Włoch, Francji czy Holandii. Filip zgłosił się do fabryki prowadzonej przez Polaka (Robert Więckiewicz), który coraz mocniej pogrąża się w wyrzutach sumienia za kolaborację w wrogiem. Filip zdaje się takich rozterek nie mieć.

Antybohater? Z pozoru tak. Nihilista wypruty z jakichkolwiek zasad, który zamiast walczyć z Niemcami w Polsce im służy? Z każdą kolejną minutą widzimy, że jego wojna polega na czymś innym. Filip jest żigolakiem, który podając się za Francuza, uprawia seks z Niemkami. Podczas gdy ich mężowie mordują Polaków i Żydów, on pluska się w niemieckich basenach i daje się klepać po ramieniu przez nadludzi z SS. Tyle że seks z Niemkami jest rodzajem ich karania. Gdy jedna z jego klientek opowiada, że mąż zabija brudnych Polaczków, Filip przyznaje się do swojej prawdziwej narodowości, dodając, że ona nie może go nawet wydać, bo uprawiając seks z Żydem, będzie miała ogoloną głowę. Następnie rzuca jej w twarz, że ma obrzydliwe ciało, jej mąż zostanie zabity przez Polaków, ona zaś nigdy nie będzie miała dzieci. Upokarza nie tylko tę konkretną Niemkę. Upokarza figurę niemieckiej dumnej i zapatrzonej w Hitlera matki, której synowie i mężowie eksterminują Europę. To kluczowa scena uzmysławiająca istotę rozerwania duszy Filipa. „Francuski” kelner niemieckich morderców i bawidamek niemieckich żon odkrywa w sobie polskość i żydowskość, która prowadzi go do wendety. Najpierw w formie erotycznej. A potem...

eprasa.pl b96b151b81

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Eryk Kulm jest znakomity w roli Filipa. Jest niejednoznaczny i przewrotny. Buzują w nim sprzeczne emocje i namiętności. Od hedonizmu i nihilizmu, przez niemożliwe do ukrycia wyrzuty sumienia wywołane stosunkowo wygodnym życiem z dala od dewastowanej przez Niemców Polski, aż po przebudzenie. Ono również wynika z osobistej tragedii, a nie potrzeby walki o ojczyznę. Kwieciński bardzo sprawnie przeprowadza nas przez zbrukany etycznie labirynt. (Anty)bohater Tyrmanda jest cynicznym cwaniakiem, bezwstydnie eksploatującym diabelskie możliwości, które dały mu nazistowskie Niemcy. Cena, którą musi za to zapłacić, jest bardzo wysoka i osobista. Dezynwoltura i infantylizm Filipa zamieniają się ostatecznie w pragnienie eliminacji wrogów. Film Kwiecińskiego jest też opowieścią o dojrzewaniu do poświęcenia, zadośćuczynienia i ofiary.

Bolączką wielu polskich filmów historycznych jest nieznośnie jednowymiarowa martyrologia i bohaterowie ulepieni z patosu i spiżu. Filip w wykonaniu Kulma jr. jest ich odwrotnością. Jest na przemian czuły i bezwzględny. Jest odpychający i magnetyczny. Film, finansowany przez TVP (nie jest tajemnicą, że Mateusz Matyszkowicz bardzo mocno osobiście zaangażował się w jego powstanie), pokazuje więc ludzki wymiar wojny, ale przy tym nie pomija wszystkiego, co chcemy, by wybrzmiewało w kinie historycznym. Widzimy działanie polskiego ruchu oporu, bestialstwo Niemców i rodzenie się heroizmu. Może i przypadkowego, ale jednak heroizmu.

„Filip" jest też ciekawy wizualnie. Nagrodzone w Gdyni zdjęcia Michała Sobocińskiego są wysmakowane i nadają mu plastycznej głębi. Kwieciński jest producentem również kina historycznego („Katyń", „Miasto 44"), ale nie brak mu doświadczenia reżyserskiego w opowieściach wojennych (udany „Jutro idziemy do kina"), co wykorzystał na 100 proc. w „Filipie". Szczególnie widać to w bardziej intymnych scenach, co też nie dziwi w rękach reżysera kilku świetnych spektakli Teatru Telewizji. „Filip" jest bardzo solidnie opowiedzianą i – co najważniejsze w tym przypadku – napisaną (Kwieciński i Michał Matejkiewicz) ekranizacją Tyrmanda. Czy pierwszą z wielu?

FILIP W KINACH



Mafioso wśród kowbojów

Streaming

Taylor Sheridan jest niekwestionowanym królem platformy Paramount+, której produkcje możemy w Polsce oglądać od lutego na SkyShowtime. Scenarzysta m.in. znakomitego „Sicario" i nominowanego do Oscara „Aż do piekła" stworzył uwielbiany przez widzów serial „Yellowstone", który doczekał się już dwóch prequeli („1883" i „1923"). W międzyczasie budowania westernowego uniwersum z takimi ikonami amerykańskiego kina, jak Kevin Costner i Harrison Ford, Sheridan nakręcił ***„Króla Tulsy"***. Podobnie jak dla Forda „1923" jest bardzo późnym debiutem w serialu, tak tutaj na małym ekranie pierwszy raz w takiej roli występuje Sylvester Stallone.

76-letni Stallone wciela się w starego, włoskiego gangstera Dwighta Manfrediego, który po 25 latach wychodzi z więzienia. Jak przystało na Włocha, omertę ma w sercu, więc nie sypnął towarzyszy i teraz liczy na odzyskanie wpływów w Nowym Jorku. Czasy się jednak zmieniają i władzę w mieście przejęli synowie jego dawnych przyjaciół. Wściekły i rozczarowany Manfredi dostaje więc propozycję „nie do odrzucenia". Ma jechać do dalekiej Oklahomy i tam zbudować swoją potęgę, odpalając przy tym działkę „rodzinie". Tylko jak zbudować mafijne imperium w świecie kowbojów? Manfredi zbiera wokół siebie przedziwną ekipę (zblazowany właściciel sklepu z medyczną marihuaną, wyszczekany młody i ambitny czarnoskóry kierowca), wchodzi w intymną relację z pogruchotaną życiowo agentką ATF (Andrea Savage) i rusza na podbój dziewiczej dla mafii Tulsy, co początkowo jest banalnie proste. Problem w tym, że młode wilki z Nowego Jorku rwą się, by go wyeliminować, policja nie wierzy, że dawny capo rodziny mafijnej przyjechał do Oklahomy na emeryturę, a lokalne układy świata przestępczego również mają swoją dynamikę.

„Król Tulsy" to uroczy i pomysłowo napisany (wspólnie z twórcą „Zakazanego imperium" Terence'em Winterem) serial, który bazuje na modnym ostatnio schemacie zderzenia z sobą postaci z kina lat 80. XX w. ze współczesnością. Stallone robił to przecież w swoich „Niezniszczalnych" i serii o Johnie Rambo, a także w „Creed", gdzie w wielkim stylu powrócił do roli Rocky'ego Balboy. „Król Tulsy" ma spory ładunek podobnego sentymentalizmu. Stallone gra dinozaura z innej epoki, wpadającego w środek świata, którego już nie zna ani nie rozumie. Manfredi jest nietypowym gangsterem. Nietypowe dla włoskiego mafioso imię zawdzięcza fascynacji rodziców imigrantów gen. Eisenhowerem. Z jednej strony jest brutalem wyjętym z maczystowskich lat 80., a z drugiej – w więzieniu zakochał się w Goethem i Szekspirze, których cytuje równie chętnie, jak niegdyś obijał gęby.

Serial ma sporo niewymuszonego humoru, w który Stallone świetnie się odnalazł. Próbował w średnio gangsterskiej komedii „Oskar" (1991), ale dopiero teraz dostał scenariusz idealnie dopasowany do jego emploi. Blisko „Królowi Tulsy" do klimatu „Dorwać małego" Barry'ego Sonnenfelda, a do tego wszystko jest zanurzone w westernowy klimat rodem z „Yellowstone". Pyszna mieszanka!

KRÓL TULSY DOSTĘPNY NA SKYSHOWTIME

eprasa.pl b96b151b81

Samochody tylko dla bogaczy?

Zakaz sprzedaży nowych samochodów spalinowych za 12 lat nie rozwiąże globalnych problemów klimatycznych, ale zapewne będzie wiele kosztować. I to każdego z nas. Wkrótce na auto, ubezpieczenie i paliwo stać będzie nielicznych. Być może właśnie o to chodzi unijnym zwolennikom ekozmiany



AGNIESZKA ŁAKOMA

Bruksela i Strasburg postanowiły uderzyć nie tyle w branżę motoryzacyjną, ile raczej we właścicieli samochodów, i to tych mniej zamożnych. Bogaci – jak powszechnie wiadomo – zawsze dadzą sobie radę i albo zakazy obejdą, albo zapłacą kary, bo będzie ich na to stać, albo kupią samochody luksusowe. Tych bowiem – co nie powinno nikogo dziwić – zakaz nie będzie dotyczył.

Może się okazać, że nowo przyjęty – choć przygotowywany od wielu miesięcy – pomysł europarlamentu i Komisji Europejskiej (KE) ograniczenia liczby samochodów spalinowych w Unii, któremu przyświeca szczytny cel, czyli ochrona klimatu, zakończy się tak jak w znanym polskim powiedzeniu: „Miało być pięknie, a wyszło jak zwykle". Na razie wydaje się, że w kwestii radykalnej zmiany na europejskim rynku motoryzacyjnym jest więcej pytań niż odpowiedzi. I nie sposób zadać wszystkich ani wszystkich krótko omówić. Spróbujmy jednak...

JAK TEGO DOKONAĆ

Holenderski europoseł sprawozdawca Jan Huitema w wywiadzie opublikowanym na oficjalnym portalu Parlamentu UE zapewnia, że po 2035 r. nadal będzie można jeździć samochodami benzynowymi i z napędem diesla, „jednak całkowite koszty posiadania – koszt paliwa, konserwacji, zakupu i ubezpieczenia – mogą wzrosnąć".

Tak szybko, jak wzrosną koszty, tak szybko Europejczycy będą rezygnować z aut spalinowych. Prezes Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego (PZPM) Jakub Farys zapowiada, że już nawet za 9–10 lat niektórzy producenci w ogóle przestaną oferować klientom samochody z silnikiem spalinowym". – Po prostu będą one zbyt drogie i o nabywców będzie trudno – dodaje. – Jeśli przyjmiemy, że gdy trzeba będzie zapłacić 100 euro za jeden gram przekroczenia poziomu emisji, to okaże się, że do ceny auta trzeba będzie dodać 10 tys. euro w formie kary za emisję spalin. Jeżeli więc powiększymy cenę auta, które obecnie kosztuje 50 czy 60 tys. euro o kolejne 10, to jedynie zamożni nabywcy będą zapewne skłonni ponieść wyższe koszty. Z kolei podniesienie o 10 tys. euro ceny samochodu, za który w salonie trzeba zapłacić teraz 15 tys. euro, spowoduje najpewniej, że klienci zrezygnują z zakupu – tłumaczy Faryś.

GDZIE CHRONIMY KLIMAT

Plan, by w 2050 r. na europejskich drogach poruszały się tylko pojazdy bezemisyjne, dzięki czemu będzie mniej zanieczyszczeń z transportu drogowego, to szczytny i ambitny cel. Jednak w minimalnym stopniu wpłynie na sytuację globalną. Choć emisje dwutlenku węgla z transportu stanowią jedną piątą wszystkich unijnych, to warto pamiętać, że na wspólnotę przypada tylko ok. 8 proc. światowej emisji. Zatem zmniejszenie emisji unijnej o 20 proc. spowoduje zmniejszenie ogólnoświatowej o... 1,6 proc. Poseł PE Jan Huitema, który ogłaszał decyzję, mówił, że nowe przepisy są konieczne, „by osiągnąć neutralność klimatyczną do 2050 r.".

Znacznie ciekawsza w tym kontekście jest jednak wypowiedź unijnego komisarza ds. rynku wewnętrznego Thierry'ego Bretona, który w wywiadzie dla „Les Echos" w listopadzie 2022 r. zachęcał, by firmy motoryza-



eprasa.pl b96b151b81

cyjne nie rezygnowały z produkcji aut spalinowych. Powód to rozległe rynki na innych kontynentach. – Zdaniem komisarza reszta świata, będzie nadal korzystać z pojazdów spalinowych i to przez kolejne dziesięciolecia. Zatem jeśli od listopada Breton nie zmienił zdania, to znaczy, że jest za tym, by samochody spalinowe wytwarzane w europejskich fabrykach zatruwały powietrze, tylko jak najdalej od granic Unii.

KOSZTY I ZYSKI, CZYLI KTO TO POLICZY

Unijnemu komisarzowi ds. rynku wewnętrznego przyświeca szczytny cel – utrzymanie zatrudnienia w przemyśle. Bo jeśli europejskie samochody spalinowe będą jeździć po drogach Ameryki Południowej albo Afryki, to może uda się uniknąć wstępnie przewidywanych strat, czyli 600 tys. etatów. Nie jest tajemnicą, że do produkcji elektryków potrzeba mniej, może nawet o połowę pracowników. A tymczasem na potrzeby szeroko rozumianego przemysłu motoryzacyjnego na Starym Kontynencie pracuje 13 mln ludzi.

Tylko w Polsce – według szacunków PZPM – w zakładach branży jest bezpośrednio zatrudnionych ok. 220–240 tys., a w firmach usługowych w jej otoczeniu kolejne 150–200 tys. – Odpowiedź na pytanie, czy zatrudnienie będzie nadal na tym samym poziomie, brzmi: na pewno nie – mówi Faryś.

I nie chodzi tylko o spadek liczby pracowników w samych zakładach produkujących obecnie auta spalinowe. Przed wprowadzeniem nowych przepisów unijnych i po nim problem obejmie całą branżę automotive i warsztaty, które specjalizują się w naprawach samochodów z silnikami spalinowymi, np. serwisujące katalizatory (popularnie określane jako układy wydechowe). Można się spodziewać, że spadnie popyt na opony i na oleje silnikowe.

Jeśli aut elektrycznych będzie mniej niż obecnie spalinowych – a Jakub Faryś uważa, że wtedy nie ma powrotu do rocznej produkcji 20 mln sztuk w Europie – to wiele małych firm w Polsce straci rację bytu. Portal warsztat.pl podaje, że według danych statystycznych w naszym kraju istnieje ponad 221 tys. podmiotów, które zajmują się konserwacją i naprawą pojazdów samochodowych, a w komercyjnej bazie warsztatów samochodowych BNF jest ponad 86 tys. warsztatów. Często są to małe, jednoosobowe firmy.

Wydawać by się mogło, że KE powinna przygotować bilans zysków i strat, skoro planuje tak duże zmiany w sektorze motoryzacyjnym, ale wszystko wskazuje na to, że takiego dokumentu ani nawet namysłu nad skutkami wprowadzenia nowych przepisów nie ma. Pytany o takie opracowania szef PZPM też ich nie zna. I słyszymy jedynie: „Komisarz Breton ostrzegł, że przejście na elektryki będzie w Europie kosztować branżę utratę setek tysięcy etatów. Ale to jedynie wypowiedź, a nie oficjalne stanowisko".

KUP PAN SOBIE ELEKTRYKA

Obecnie nie tylko w Europie, lecz także na innych kontynentach popularność elektryków rośnie dzięki systemom dopłat. Nabywcy tego typu samochodów mogą liczyć na dofinansowanie, ale gdy jego poziom spada, to natychmiast maleje liczba sprzedawanych aut. Tak dzieje się np.w Chinach i... w Norwegii, gdzie przywrócono częściowo VAT (25 proc.) i wprowadzono podatek drogowy. W krajach UE – zależnie od możliwości i decyzji rządów – dopłata wynosi od kilku tysięcy do nawet 10 tys. euro. I tę najwyższą kwotę oferują władze Rumunii, Austriacy zaś otrzymują 5 tys. euro, a Włosi – 6 tys. euro.

Międzynarodowa Agencja Energetyczna podliczyła kilka miesięcy temu, że łączna kwota dotacji i państwowego wsparcia na zakup elektryków w 2021 r. wynosiła 30 mld dol. I wskazała, że na przyszłość i rozwój tego rynku w kolejnych miesiącach decydujący wpływ będą mieć ceny surowców i minerałów używanych do produkcji, a ponieważ zeszłoroczny kryzys energetyczny wywindował ceny takich surowców, jak nikiel, kobalt czy lit, to i koszty produkcji aut elektrycznych rosną. W tym kontekście pojawia się dodatkowy problem – dostępność tych surowców.

Jakub Faryś zauważa, że wszystko, co potrzebne do produkcji pojazdów spalinowych, mamy w Europie. To niezwykle cenny atut w rozmowie na temat konkurencyjności gospodarki. I dzięki temu firmy europejskie są w światowej czołówce, w gronie liderów branży i były tymi, które przez dziesięciolecia narzucały trendy. – Skoro w Europie nie ma odpowiednich zasobów, surowców – także tych krytycznych – oraz materiałów do produkcji aut elektrycznych, to jak zapewnić ich stabilne dostawy w obecnej, wyjątkowo niestabilnej rzeczywistości geopolitycznej? – pyta prezes PZPM.

Dostępność surowców krytycznych – kwestia, której Bruksela szykuje nawet specjalną strategię – mają Europie zapewnić inne państwa. Część z nich – jak choćby Kongo – leży w niestabilnych rejonach świata. Na dodatek warunki pracy i normy środowiskowe przy wydobyciu surowców mają niewiele wspólnego z unijnymi standardami.

KIEDY BĘDZIE TANIEJ

Europoseł Jan Huitema uważa, że ceny samochodów bezemisyjnych i koszty ich eksploatacji spadną, a rynek wtórny szybko się rozwinie. W ten sposób motoryzacja przyjazna dla środowiska stanie się dostępna dla wszystkich. Jednak według raportu Międzynarodowej Agencji Energetycznej na temat rynku aut elektrycznych są one obecnie relatywnie (czyli w porównaniu z cenami popularnych marek) tanie tylko w Chinach, gdzie różnica w cenie wynosi jedynie 10 proc., ale na amerykańskim i europejskim rynku to nawet 40–50 proc.

Być może optymizm europosła sprawozdawcy jest realistyczny i sytuacja zmieni się np. za pięć lat tak bardzo, że flota pojazdów elektrycznych będzie stanowić ponad połowę w Europie. Polskie Stowarzyszenie Paliw Alternatywnych szacuje, że wkrótce po polskich drogach będzie jeździć 300 tys. aut elektrycznych, a w 2030 r. nawet 1 mln przy założeniu, że – jak prognozuje KE – w kolejnych latach będą coraz tańsze, a przez to bardziej dostępne.

Dziś wiemy, że chiński producent pojazdów elektrycznych Nio Inc. planuje zbudować fabrykę do produkcji budżetowych pojazdów elektrycznych pod nową marką z przeznaczeniem na eksport do Europy. I to już w przyszłym roku.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b96b151b81

Forum wGospodarce.pl

System kaucyjny na finiszu

Od kilku lat podczas Forum wGospodarce.pl redakcja ekonomiczna Grupy Medialnej Fratria prowadzi debaty między przedstawicielami biznesu a administracją rządową na temat wpływu unijnych regulacji klimatycznych na życie społeczno-gospodarcze kraju. W tym roku w połowie lutego odbyło się kolejne spotkane poświęcone temu zagadnieniu

Dyskusja skoncentrowała się wokół dwóch kluczowych tematów związanych z implementacją unijnych dyrektyw w polskim systemie prawnym. Pierwszy dotyczył systemu kaucyjnego, a drugi – dyrektywy SUP (Single-Use Plastic), zwanej też dyrektywą plastikową, mającej zmniejszyć wpływ na środowisko jednorazowych produktów z tworzyw sztucznych.

Pierwszy projekt ustawy – o systemie kaucyjnym – wciąż jest opracowywany przez rząd. Ma on wprowadzać system kaucyjny na butelki z tworzyw sztucznych, puszki metalowe i wielorazowe butelki szklane.

Jacek Ozdoba, wiceminister w Ministerstwie Klimatu i Środowiska, zakłada, że ustawa wprowadzająca system kaucyjny zostanie przyjęta w obecnej kadencji Sejmu. – Projekt jest w kancelarii premiera. Prace w resorcie zostały już zakończone. Teraz czas na KPRM – powiedział. Wcześniej musi zostać przyjęta ustawa implementująca dyrektywę SUP. – Obie ustawy działają w tandemie – dodał.

BEZ DODATKOWYCH KOSZTÓW

Przepisy projektu o systemie kaucyjnym nakładają na wprowadzających do obiegu butelki jednorazowe z tworzyw sztucznych o pojemności do 3 l, puszki metalowe do 1 l oraz butelki szklane wielokrotnego użytku do 1,5 l obowiązek rocznego poziomu selektywnego zbierania wynoszącego 77 proc. od 2025 r. oraz 90 proc. od

eprasa.pl b96b151b81

2029 r. System ma być powszechny, nie przewiduje obowiązku posiadania paragonu w celu odzyskania kaucji.

– Nie zakładamy, że będzie nim zarządzał jeden operator, choć być może w praktyce tak się stanie. Została odrzucona propozycja, by operatorem było państwo – mówił Jacek Ozdoba. – Niezwrócona kaucja będzie przeznaczona na tworzenie systemu, nie będzie podlegała podatkowi VAT.

Wiceminister zapewnił, że kluczowe w tworzeniu systemu jest uniknięcie jakichkolwiek kosztów dodatkowych, szczególnie dla konsumentów. Według niego oczekiwanie społeczne dotyczące wprowadzenia systemu kaucyjnego jest duże, bardzo wysoka jest też akceptacja polityczna (projekt chcą poprzeć praktycznie wszystkie ugrupowania obecne w Sejmie).

Najbardziej dyskusyjne punkty dotyczą zbiórki jednorazowych opakowań szklanych, opakowań po produktach mlecznych i wielkości sklepów włączonych do systemu (według projektu mają zostać nim objęte placówki o powierzchni ponad 200 m^2). – W unijnym procesie legislacyjnym jest obecna tematyka jednorazówek szklanych, być może zaproponujemy jakieś rozwiązanie, ale w okresie późniejszym – tłumaczył Jacek Ozdoba.

Jeden czy wielu operatorów systemu kaucyjnego? – Wielu operatorów pozwoli efektywniej wprowadzić system – mówił Ryszard Machoj, członek zarządu Lidl Polska. Czy 10-letnia koncesja na prowadzenie takiej działalności zapewni stabilność systemu, czy wręcz odwrotnie? Ryszard Machoj uważa, że może być to okres zbyt krótki pod względem finansowania takiego przedsięwzięcia. Koszty inwestycji będą ogromne, wymagające zaciągnięcia kredytów. Zaproponował zastosowanie procedury podobnej do stosowanej przy udzielaniu koncesji na obsługę autostrad – ich czas obowiązywania to 20–25 lat z możliwością jej odebrania wcześniej przez regulatora. Ryszard Machoj przekonywał, by poszerzyć rejestr BDO (jest to integralna część systemu informacji o produktach i opakowaniach oraz o gospodarce odpadami), by stał się on wspólną bazą danych dla wprowadzających opakowania na rynek. – Jeden system informatyczny, wielu operatorów. W projekcie nie jest sprecyzowane, kto powinien stworzyć ten system informacyjny. W Polsce jest ponad 25 tys. wprowadzających, i każdy z nich powinien mieć możliwość zamieszczenia informacji o swoim produkcie. Wspólny system jest też ważny z punktu widzenia kaucji. Nasze doświadczenia w innych krajach pokazują, że Lidl zbiera 120–140 proc. wprowadzonych przez siebie opakowań. Dobrze zorganizowana zbiórka generuje ekstrakoszty w systemie kaucyjnym – sklep wypłaca dodatkową kaucję za opakowania, za które nie otrzymał dofinansowania od operatorów systemu. Centralna baza danych i rozliczeń bardzo szybko przekazałaby informację, ile opakowań jest w obiegu i jaki jest przepływ gotówki – przekonywał Ryszard Machoj.

Tematem wywołującym żywą dyskusję jest miejsce opakowań produktów mlecznych w systemie kaucyjnym. Mają się w nim znaleźć czy nie? Czy ich włączenie do systemu może przynieść więcej strat niż pożytku?

Ryszard Machoj uważa, że na razie lepiej tego typu opakowania pozostawić poza systemem, gdyż ich włączenie może pogorszyć stan higieniczny punktów odbioru, znacznie zwiększyć koszty recyklingu, zabrudzić czyste opakowania i zmniejszyć ich wartość. Dodatkowo projektowane rozporządzenie unijne, które ma docelowo zastąpić dyrektywę unijną, wprost wyklucza opakowania po produktach mlecznych z systemu kaucyjnego.

SYSTEM DROGI, ALE PROSTY

– Jedyne opakowanie, które nie będzie miało swojego reprezentanta w systemie kaucyjnym, to frakcja wielomateriałowa, którą jest m.in. karton do płynnej żywności [składa się średnio z 70 proc. tektury, cieńszej od ludzkiego włosa warstwy aluminium, stanowiącej ok. 5 proc. masy opakowania, oraz z ok. 20 proc. polietylenu – przyp. red.]. Jest to niemal połowa opakowań wielomateriałowych – mówił Łukasz Sosnowski, prezes Fundacji ProKarton. – Kartony do płynnej żywności są opakowaniem, które można poddać recyklingowi. W Polsce funkcjonują trzy zakłady, w których poddaje się je recyklingowi, a czwarta, bardzo duża inwestycja, zacznie działać w tym roku. Dzięki niej nasze moce recyklingowe przekroczą potrzeby polskiego rynku. Mamy szansę stać się centrum recyklingu kartonów do płynnej żywności dla tej części Europy – dodał.

Jego zdaniem niezrozumiała jest decyzja o niewłączeniu kartonów do systemu kaucyjnego, mimo że wprowadza się do niego opakowania na te same lub bardzo podobne produkty. – Po pierwsze, jest to kwestia nierównego traktowania, a po drugie, nie będziemy mieć jako frakcja wielomateriałowa ustawowych szans na osiągnięcie tych samych poziomów zbiórki opakowań. A ilość zebranych opakowań wprost przekłada się na osiąganie poziomów recyklingu. Wszystkie opakowania na te same produkty, w tym przypadku na napoje, powinny mieć te same szanse – mówił Łukasz Sosnowski. Przypomniał, że w unijnej propozycji rozporządzenia, zapowiadającej wprowadzenie obowiązkowego systemu kaucyjnego we wszystkich państwach członkowskich, jest zapis, według którego to do państw należy decyzja, czy systemy krajowe będą obejmowały również zbieranie jednorazowych opakowań szklanych, opakowań wielorazowych i kartonów do płynnej żywności. – Rozumiem to w ten sposób, że jeżeli państwo członkowskie widzi, że trudno jest osiągnąć bardzo wysoki poziom zbiórki (a taki zapis zawiera projekt o systemie kaucyjnym), dochodzący nawet do 90 proc. w przypadku opakowań na napoje, powinno przeanalizować i wprowadzić system kaucyjny w większym stopniu. A w taki sposób można z powodzeniem zbierać opakowania zbudowane z odmiennych surowców i przeznaczone na zróżnicowane produkty – mówił Łukasz Sosnowski.

– Jesteśmy za tym, by operatorów zarządzających systemem kaucyjnym było kilku. Taki model spowoduje powstanie zdrowej konkurencji na rynku. Poza tym takie rozwiązanie będzie korzystne zarówno dla wprowadzających napoje w opakowaniach na rynek, jak i innych uczestników rynku zainteresowanych udziałem w tworzeniu systemu

eprasa.pl b96b151b81



kaucyjnego, bo będą mieli możliwość wyboru najbardziej optymalnego wariantu. System będzie skomplikowany i kosztowny dla organizatorów, więc operatorami będą starały się zostać podmioty, które mają już doświadczenie w tym obszarze i posiadają spore zaplecze finansowe. Jednocześnie, by był skuteczny, musi być prosty i dostępny dla konsumentów. I te warunki są spełnione, bo system ma być bezparagonowy i z dużą liczbą punktów zwrotu opakowań – podkreślała Anna Szymańska, członek zarządu Eko-Punkt Organizacji Odzysku Opakowań. Według niej warto zastanowić się nad zróżnicowaniem powierzchni sklepów zobligowanych do przyjmowania opakowań w zależności od wielkości miejscowości. Taka koncepcja jest realizowana np. w Szwecji.

Jaka powinna być wysokość kaucji? – Taka, by zmobilizować konsumentów, czyli nie może być za niska – powiedziała Anna Szymańska. Według niej zbiórka opakowań szklanych jednorazowego użytku jest dużym wyzwaniem dla sklepów, tworzy poważne problemy logistyczne, więc z jej wprowadzaniem lepiej byłoby poczekać, gdy system kaucyjny będzie już sprawnie funkcjonował.

– Akty wykonawcze do ustawy kaucyjnej są bardzo ważne z punktu widzenia uczestników systemu. Elementem oznaczenia butelki jest wysokość kaucji, którą określi rozporządzenie. Dopóki nie poznamy wysokości kaucji, producent nie będzie w stanie wyprodukować etykiety. Wysokość kaucji jest też częścią modelu biznesowego każdego podmiotu, który będzie organizował system kaucyjny. Niezwrócone kwoty kaucji zostaną przecież w systemie jako źródło jego finansowania. Bardzo istotne jest pilne zaimplementowanie ram prawnych jeszcze w tym półroczu – mówiła Anna Sapota, wiceprezes Tomry ds. public affairs dla Europy Północno-Wschodniej. Podkreśliła, że dane zgromadzone w systemie informacyjnym – przy założeniu, że operatorów będzie wielu – mają kluczowe znaczenie z dwóch powodów: pierwszy to przejrzystość systemu (dają wiedzę, ile opakowań zostało wprowadzonych i ile zostało zebranych), drugi to możliwość zrealizowania rozliczeń między uczestnikami systemu. Np. w Niemczech, mimo że działa tam wielu operatorów, istnieje jeden organ, który zbiera informacje o wprowadzonych produktach, certyfikuje technologie, dba o to, by wszyscy działali na tych samych zasadach, informuje, ile opakowań zostało wprowadzonych na rynek, ile zostało zebranych, jakie koszty zostały poniesione i przez kogo.

Anna Sapota zwróciła uwagę, że problem z opakowaniami po mleku polega m.in. na tym, że brakuje doświadczeń w ich zbieraniu. – Takich opakowań nie ma w systemie kaucyjnym poza Chorwacją, która jest wyjątkowym rynkiem z dominującą zbiórką manualną. Sami Chorwaci przyznają, że ich doświadczenia są pod tym względem niewielkie. Niemcy mają włączyć opakowania po mleku do swojego systemu w 2024 r. – mówiła.

O CO CHODZI BRUKSELI?

Projekt ustawy wdrażający dyrektywę SUP trafił już do Sejmu, toczą się nad nim intensywne prace. Przepisy zakładają osiągnięcie ambitnego i trwałego zmniejszenia stosowania wielu jednorazowych produktów wykonanych z tworzyw sztucznych. – Jest to projekt też o tyle ważny, że wiąże się z podatkiem od plastiku, czyli składką członkowską na niepoddane pod recykling opakowania z plastiku. Już ponad miliard euro z tego tytułu wpłaciliśmy do budżetu unijnego – mówił Jacek Ozdoba.

– Wszystkim nam zależy na tym, by plastików, w tym filtrów papierosowych zawierających tworzywa sztuczne, było jak najmniej wokół nas – mówił Maciej Babczyński, kierownik ds. korporacyjnych w BAT Polska. – By tak się stało, jest także wymagana zmiana niepożądanych zachowań konsumenckich. Finansowane przez przedsiębiorców kampanie edukacyjne w niedalekiej perspektywie te zachowania – w sensie pozytywnym – będą kształtować. Niepokoi nas, że w ustawie implementującej dyrektywę SUP brakuje mechanizmu, który wiązałby koszty, które muszą ponieść przedsiębiorcy, z liczbą niedopałków z filtrami zawierającymi tworzywa sztuczne znajdującymi się w przestrzeni publicznej. Nawet gdyby udało się zrealizować założenia dyrektywy i niedopałków pojawiłoby się niewiele, przedsiębiorcy i tak będą zobowiązani, by ponosić takie same koszty, jakby poziom ich sprzątania wynosił zero. Jednym słowem, mają płacić za 100 proc. filtrów wprowadzonych do obrotu, a nie za to, ile z nich znalazło się poza systemem zbierania odpadów, na trawnikach czy na ulicach. Koszty, czyli opłata edukacyjna i opłata za sprzątanie, są nieproporcjonalnie wysokie. W podziale na cztery firmy, stanowiące 100 proc. rynku, jest to od 25 do prawie 70 mln zł rocznie. Druga niepokojąca sprawa: te koszty mogą być kształtowane niemal z tygodnia

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b96b151b81



na tydzień, na drodze rozporządzenia, a przedsiębiorcy najwyżej cenią sobie stabilność i przewidywalność prawa. Problem plastiku w naszym otoczeniu jest znacznie większy, ale to firmy branży tytoniowej poniosą największe koszty implementacji dyrektywy SUP.

– Jako branża tytoniowa popieramy cele i założenia dyrektywy SUP, mamy jednak jeszcze pewne zastrzeżenia do polskiej propozycji transpozycji przepisów. Komisja Europejska wskazuje, że do przestrzeni publicznej trafia ok. 29 proc. wolumenu niedopałków papierosów – mówił Adrian Jabłoński, dyrektor ds. korporacyjnych i komunikacji w JTI Polska. – Tymczasem polski projekt ustawy przewiduje pobieranie opłaty od 100 proc. wolumenu wprowadzanego do obrotu. Uważamy, że taka propozycja w sposób nieproporcjonalny obciąża branżę tytoniową, w związku z czym przedstawiliśmy alternatywne rozwiązania, które – mamy nadzieję – zostaną jeszcze rozważone przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska – powiedział Adrian Jabłoński.

Według niego branża już teraz jest znacząco obciążona wysokimi daninami. – 80 proc. ceny paczki papierosów stanowią podatki. Branża tytoniowa jest ważną gałęzią polskiej gospodarki, jesteśmy największym w Europie producentem wyrobów tytoniowych, zapewniamy ogromne wpływy do budżetu państwa, sięgające ok. 25 mld zł rocznie – mówił.

– Jesteśmy zaangażowani w ochronę środowiska naturalnego tak dalece, jak tylko się da. Nie będąc gołosłownym: Philip Morris to jedyna globalna firma tytoniowa i zaledwie jedna z 12 firm na świecie, która po audycie renomowanej organizacji CDP uzyskała ocenę AAA za działania na rzecz klimatu, ochrony lasów i gospodarki wodnej. Nasza fabryka w Krakowie ma certyfikat zrównoważonej gospodarki wodnej Alliance for Water Stewardship. Patrząc na nasze dotychczasowe doświadczenia, mamy poważne wątpliwości, czy propozycje płynące z Brukseli rzeczywiście przełożą się pozytywnie na środowisko, czy raczej będą tworzyły dodatkowe bariery dla legalnie działającej branży – mówił Adam Siekierski, head of public affairs w Philip Morris Polska. – Mam na myśli wiele utrudnień wprowadzonych w ostatnich latach. Zaczynając od systemu śledzenia wyrobów tytoniowych Track & Trace, który kosztował nas globalnie miliardy euro – a przecież żadna nielegalna fabryka tego systemu nie wdrożyła – przez wymóg drukowania na paczkach informacji o zawartości substancji smolistych, co miało ograniczyć sprzedaż papierosów, a z czego ostatecznie Komisja Europejska się wycofała, przyznając nieskuteczność takiego ruchu, a na zakazie sprzedaży papierosów mentolowych kończąc, który miał ograniczyć ogólną konsumpcję papierosów, co się w Polsce nie wydarzyło i co potwierdzają ostatnie dane o wielkości sprzedaży papierosów za 2022 r., która wzrosła o blisko 10 proc. rok do roku. W tym roku w państwach UE ma zostać wprowadzony zakaz sprzedaży wyrobów nowatorskich o aromatach charakterystycznych. Jesteśmy co chwila obciążani kolejnymi rygorami ze strony Brukseli, ponosząc ich koszty, a efektów na razie brakuje. Regulacje powinny być wprowadzane zdroworozsądkowo, z jasno określonymi celami, np. środowiskowymi. Kolejne zakazy nie są rozsądną drogą – podkreślał Adam Siekierski.

PANELE JAK AZBEST?

– W tej chwili trzy projekty są kluczowe z punktu widzenia departamentu gospodarki odpadowej. Wszystkie zostały przekazane do KPRM: implementacja dyrektywy SUP, system kaucyjny i ustawa o wielkoobszarowych terenach zdegradowanych – mówił Jacek Ozdoba. Według niego przepisy o rozszerzonej odpowiedzialności producenta już funkcjonują (ROP to jeden z kluczowych elementów gospodarki obiegu zamkniętego). Dyskusja nad nimi cały czas się toczy i dotyczy tego, czy nie trzeba ich zmienić zgodnie z oczekiwaniami unijnymi. Jacek Ozdoba uważa ten temat za zrealizowany, ROP działa, ewentualne zmiany nie będą procedowane w tej kadencji Sejmu. Poinformował, że prace nad ROP jednak trwają, zostały objęte tarczą antykorupcyjną ze względu na specyfikę tej problematyki, ale w sytuacji wysokiej inflacji aż tak radykalne modyfikacje w systemie gospodarki odpadowej, które proponuje Komisja Europejska, byłyby trudne do przeprowadzenia.

Wiceminister Ozdoba zapowiedział rozpoczęcie publicznej debaty na temat zagospodarowania zużytego sprzętu elektronicznego. Co się stanie z panelami fotowoltaicznymi, pompami ciepła, z samochodami elektrycznymi, gdy stracą swoje walory użytkowe i będą musiały być utylizowane? – Nie chciałbym, by stało się to problemem, z którym zostaną przyszłe pokolenia, tak jak azbest. Przygotuję pewną propozycję już na przyszłą kadencję – zapowiadał.

(sk)

Debatę prowadzili: Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej”, Stanisław Koczot, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Bankowej”.

eprasa.pl b96b151b81

Zero tolerancji dla zachowań niezgodnych z prawem to nasza zasada

O zmieniających się przepisach dotyczących przewozu osób, o bezpieczeństwie, odpowiedzialności i przyszłości taksówek na aplikację mówi ***Marcin Moczyróg***, dyrektor regionalny Uber CEE, w rozmowie z Maciejem Wośką („Gazeta Bankowa")

Stawiam taką tezę, że Uber i inne aplikacje organizujące przewozy i transport rozwijały się przez lata spontanicznie jak internet w latach 90. Do czasu, gdy po pierwsze – stały się realną konkurencją dla certyfikowanych przewoźników taxi i pojawiły się problemy z bezpieczeństwem pasażerów. To był sygnał dla polityków, by wprowadzić regulacje na tym rynku. I tak oto zmieniła się ustawa o transporcie drogowym. Czy pana zdaniem regulacje przeszkadzają, czy pomagają rozwijać takie „aplikacyjne" przedsięwzięcia?

Marcin Moczyróg: Regulacje wzięły pod uwagę nowoczesne technologie, czyli możliwość zamawiania przejazdów przez aplikację, a prawa i obowiązki kierowców zostały zrównane z tradycyjnymi taksówkami. Tych zmian oczekiwał rynek, a wprowadzenie jednolitych wymagań dla przedsiębiorców przyniosło korzyści przede wszystkim pasażerom. Mimo że ustawa obowiązuje od trzech lat, nie wszyscy konsumenci mają świadomość, że przejazdy zamawiane przez aplikacje są realizowane przez kierowców mających licencję taxi.

Zmiany regulacyjne oznaczały dla nas ogromny wysiłek logistyczny. Do tej pory Uber łącznie zainwestował ponad 6 mln zł, by wesprzeć lokalnych przedsiębiorców w adaptacji do nowych regulacji. Utworzyliśmy specjalne centra licencjonowania, w których kierowcy oraz partnerzy mogli otrzymać niezbędne informacje oraz lampę i oznakowanie pojazdu.

Te wysiłki na pewno się opłaciły. Dzięki nowelizacji mamy bowiem nie tylko równe zasady gry w całym sektorze przewozu osób, lecz także samo uregulowanie przyniosło wiele korzyści. Więcej bezpieczeństwa prawnego i przyjazne dla biznesu regulacje na pewno pomogły polskim przedsiębiorcom w tym sektorze.

Po pierwszej regulacji dotyczącej m.in. wymaganej licencji taxi dla kierowców Ubera nastąpiła fala kontroli. Te niestety wykazały, że przepisy znów nie nadążają za rzeczywistością i trzeba je pilnie modyfikować. W Polsce kwestię przewozów na aplikację ma ponownie uregulować procedowana właśnie zmiana ustawy Prawo o ruchu drogowym oraz niektórych innych ustaw. Projekt ma trafić wkrótce do Komitetu Stałego Rady Ministrów. Czego spodziewa się pan w nowych przepisach?

Pamiętajmy, że w ostatnich trzech latach bardzo zmienił się rynek pracy w Polsce. Nasza gospodarka potrzebuje pracowników zwłaszcza do sektora usług, dlatego w ostatnich latach przybyło cudzoziemców, którzy wypełniają powstałą lukę. To nie tylko dobry sygnał, lecz także wyzwanie związane choćby z weryfikacją dokumentów. Wspomniany projekt zmian zakłada obligatoryjną, fizyczną weryfikację kierowców przez platformy. Jest to również jeden z naszych postulatów na rzecz podnoszenia bezpieczeństwa całej branży.

Wierzymy, że zainicjowaliśmy tutaj realną zmianę, bo od połowy grudnia 2022 r. trwa nasz pionierski na rynku program fizycznej weryfikacji kierowców. Zaczął się od Warszawy, gdzie w centrum wsparcia kierowców weryfikowaliśmy ok. 200 kierowców tygodniowo, korzystając z takiego samego sprzętu, jakiego używa Straż Graniczna na lotnisku. Teraz jesteśmy gotowi zwiększyć tę liczbę trzykrotnie, a w lutym uruchomimy kolejne punkty weryfikacji: w Krakowie i Poznaniu. W następnych miesiącach uruchomimy proces weryfikacji w pozostałych miastach. Widzimy, że za naszym przykładem idą inni uczestnicy rynku.

Kolejną zmianą ma być konieczność weryfikacji kierowców w czasie rzeczywistym, którą Uber wprowadził już w 2019 r. Stosowana przez Uber technologia Real-Time Identification pozwala potwierdzić, że przyjmujący zlecenie przejazdu jest właściwą osobą.

Innym ważnym postulatem jest konieczność wymiany informacji między platformami. Cieszę się, że to również znalazło się w proponowanych zmianach. Obecnie prawo ochrony danych osobowych uniemożliwia przekazywanie innym platformom informacji o zablokowanym kierowcy. Ta zmiana sprawi, że osoby które łamią prawo, nie będą mogły współpracować z żadną z platform.

Cała branża mówi też o potrzebie stworzenia systemu elektronicznej jednolitej ogólnokrajowej licencji taxi.

Wiemy już, że przepisy będą wymagać obowiązkowego, fizycznego potwierdzania tożsamości kierowcy wykonującego kurs, a pasażerowie będą mogli ze zdjęcia upewnić się, że przyjechał po nich właściwy kierowca. Uber takie rozwiązania już wprowadził w aplikacji. Co zmieniło się jeszcze w ostatnim czasie?

eprasa.pl b96b151b81

Obecnie w aplikacji jest dostępnych ponad 25 różnych funkcji bezpieczeństwa, mających za zadanie chronić zarówno pasażerów, jak i – o czym się rzadziej dyskutuje – kierowców. W 2018 r. uruchomiliśmy cały zestaw narzędzi bezpieczeństwa zgrupowanych w jednym miejscu w aplikacji, do którego pasażerowie i kierowcy mają łatwy dostęp podczas przejazdu. Wystarczy kliknąć w charakterystyczną niebieską tarczę. Obejmuje on takie funkcjonalności, jak „Udostępnij mój przejazd", „Śledź mój przejazd", „Zaufane kontakty" i przycisk alarmowy.



Naszym celem jest proaktywna identyfikacja potencjalnych problemów, tak by zapewnić wsparcie pasażerom i kierowcom tak szybko, jak tylko to możliwe. Mamy np. funkcję Ride Check, która wykrywa nieoczekiwane lub przedłużone postoje na trasie czy zmianę trasy i automatycznie kontaktuje się zarówno z kierowcą, jak i pasażerem, prosząc o potwierdzenie, że wszystko jest w porządku.

Podnoszenie poziomu bezpieczeństwa to praca, która się nie kończy, bo dotyczy wielu płaszczyzn – wprowadzamy nowe funkcje bezpieczeństwa, modyfikujemy procesy, a także współpracujemy z ekspertami w dziedzinie bezpieczeństwa i transportu. W listopadzie ub.r. przygotowaliśmy raport „Kierunek: bezpieczeństwo", który powstał wraz z Zespołem Doradców Gospodarczych TOR, Fundacją Centrum Praw Kobiet i ze Stowarzyszeniem Partnerstwo dla Bezpieczeństwa Drogowego. W nim przedstawiamy zarówno to, co zrobiliśmy do tej pory, jak i wiele postulatów kierowanych do innych uczestników rynku oraz organów regulacyjnych. Jako jedyna platforma na rynku dzielimy się także konkretnymi liczbami – 99,996 proc. wszystkich przejazdów odbywa się bez poważnych zgłoszeń dotyczących bezpieczeństwa. To pokazuje, że wszystkie wymienione inicjatywy nie są PR-ową fasadą, a naprawdę działają.

Problem jest poważny, skoro nawet Uber proponuje wprowadzenie sankcji karnych dla kierowców, którzy wykonują przewozy na koncie innej osoby lub udostępniają innej osobie swoje konto kierowcy w aplikacji mobilnej do przewozu osób. To byłaby cyfrowa rewolucja w prawie karnym...

Uchwalenie prawa, które kodyfikuje jasne i konkretne standardy branżowe w obszarze bezpieczeństwa, jest konieczne. Są potrzebne mocne podstawy prawne, które muszą spełniać wszyscy kierowcy i pośrednicy. Na naszej platformie stosujemy zasadę zerowej tolerancji dla zachowań niezgodnych z prawem i uważamy, że nie ma miejsca na półśrodki zarówno wobec kierowców, jak i partnerów, którzy z nimi współpracują. Dlatego proponujemy wprowadzenie odpowiedzialności karnej za niezgłoszenie podejrzenia popełnienia przestępstwa fałszerstwa dokumentów lub podszywania się pod inną osobę oraz prowadzenie kontroli wymuszających praktyczne wdrożenie tego obowiązku.

Postulujemy też prawne zobowiązanie organu prowadzącego postępowanie karne przeciwko danemu kierowcy w sprawach dotyczących poważnych naruszeń bezpieczeństwa do zawiadomienia o fakcie postawienia tychże zarzutów wszystkich podmiotów pośredniczących przy przewozach takiej osoby. Zasady stosowane od wielu lat przez Ubera nie pozwalają korzystać z tej platformy osobom, co do których istnieje uzasadnione podejrzenie naruszeń m.in. bezpieczeństwa innych użytkowników. Niestety, podobne reguły wprowadziła tylko część pośredników przy przewozie osób.

Czy rozważacie kontrole stanu technicznego samochodów świadczących usługi z aplikacji? Przeprowadzane przez ITD kontrole wielokrotnie wskazywały, że właśnie poza weryfikacją kierowców to problem stanu technicznego pojazdów wymaga uwagi. Ostatecznie to też kwestia bezpieczeństwa pasażera.

Kontrole są czymś naturalnym na rynku i przyczyniają się do poprawy bezpieczeństwa w całej branży. Informacje od służb są dla nas podstawą do podjęcia konkretnych

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b96b151b81

i natychmiastowych działań. Mamy jasne wymagania dotyczące samochodu, za pomocą którego można świadczyć usługi za pośrednictwem naszej aplikacji. Wśród nich jest oczywiście konieczność posiadania ważnego ubezpieczenia i przeglądu technicznego. Ważność dokumentów jest weryfikowana i jeśli partner nie przedstawi aktualnego dowodu rejestracyjnego – nie może realizować przejazdów danym samochodem. Jeśli wiemy, że samochód uczestniczył w wypadku, wymagamy udowodnienia, że wszelkie szkody zostały naprawione, zanim ponownie zaakceptujemy samochód na platformie.

Reagujemy na bieżąco i zachęcamy także pasażerów do informowania nas o wszelkich nieprawidłowościach – jeśli samochód, który przyjechał realizować przejazd, nie jest tym, który widnieje w aplikacji, albo mamy do niego jakiekolwiek zastrzeżenia, np. związane z zapachem – prosimy o zgłaszanie tego do nas przez aplikację.

Kolejnym wyzwaniem, zmianą spowodowaną w dużej części przez wojnę na Ukrainie, jest weryfikacja dokumentów potencjalnych kierowców spoza UE. Wiem, że Uber postuluje, by przepisy dotyczące zatrudniania w Polsce obywateli państw spoza Unii Europejskiej umożliwiały pełną weryfikację przedstawianych przez nich zaświadczeń o niekaralności. Rozwiązaniem mogłoby być utworzenie państwowego systemu weryfikacji dokumentów przedstawianych przez osoby pochodzące z państw spoza UE, które ubiegają się o uzyskanie licencji taksówkarskiej. Czy rozmawiacie na ten temat z przedstawicielami administracji w Polsce?

Każdy kierowca taxi musi przedstawić zaświadczenie o niekaralności za określone przestępstwa. Następuje jednak problem interpretacyjny. Według części urzędów miast wystarczy przedłożyć zaświadczenie o niekaralności z Krajowego Rejestru Karnego, który zawiera informacje o ewentualnych wyrokach skazujących wydanych przez sądy polskie lub innych państw członkowskich Unii Europejskiej. Inne urzędy oczekują jednak od osób spoza UE zaświadczeń o niekaralności z kraju ich pochodzenia. Jednakże pozyskiwanie takiego dokumentu bywa obecnie utrudnione lub czasochłonne. Do tego może być trudno zweryfikować, czy nie zostało sfałszowane.

Dlatego też postulujemy nie tylko, by ujednolicić interpretację, z którego kraju jest wymagane zaświadczenie, lecz także by usprawnić weryfikację zaświadczeń o niekaralności spoza UE. Rozwiązaniem może być utworzenie państwowego systemu weryfikacji zagranicznych zaświadczeń o niekaralności przedstawianych przez osoby pochodzące z państw spoza Unii Europejskiej, które ubiegają się o zostanie kierowcą taxi. Stworzenie takiego rejestru z pewnością nie jest proste, ale zdecydowanie warto o tym rozmawiać.

Bezpieczeństwo pasażerów to jedno, drugą sprawą – równie istotną – jest bezpieczeństwo danych. Skala sprawia, że działacie już na ogromnych zasobach (od bazy kierowców po bazę przejazdów wykonywanych przez każdego pasażera). Cyberbezpieczeństwo to obszar, w którym regulacje wciąż gonią rzeczywistość i potrzeby. Wiem, że oferujecie w tej kwestii współpracę, ale czy może pan zapewnić, że nasze dane w Uberze są bezpieczne?

Wszystkie dane, które zbieramy i przechowujemy, wykorzystujemy jedynie do świadczenia usług. Uber ma bardzo rygorystyczną politykę prywatności. W ub.r., w Europejskim Dniu Ochrony Danych Osobowych, opublikowaliśmy nasze zasady ochrony prywatności oparte na zasadach uczciwej praktyki informacyjnej (FIPP). Dzięki nim chronimy dane nawet bardziej niż w stopniu wymaganym przez prawo.

Co zmieniło się w podejściu Ubera do bezpieczeństwa w ostatnim czasie? Mam wrażenie, że przez lata obowiązywała taka strategia – my udostępniamy platformę, dajemy możliwości, ale odpowiedzialność jest po stronie kierowcy i pasażera, bo Uber nie był przecież pracodawcą.

Mówię „był", bo i w tę materię wkraczają prawodawcy, sądy i rządy, zmieniając tę zasadę (vide: brytyjski Sąd Najwyższy potwierdził, że kierowcy są pracownikami Ubera, a nie odrębnymi przedsiębiorstwami połączonymi jedynie platformą). Czy zatem Uber zmieni się kiedyś w globalną firmę taksówkarską?

Nasz model funkcjonowania jest odpowiedzią na potrzeby rynku. Kierowcy korzystający z aplikacji w Polsce nie chcą przejść na tzw. etat. Zgodnie z badaniem przeprowadzonym na zlecenie Związku Przedsiębiorców i Pracodawców 95 proc. osób świadczących w Polsce usługi przez e-platformy deklaruje zadowolenie z tego sposobu zarobkowania, a 61 proc. nie chciałoby, by wprowadzono prawo, które sprawi, że platforma będzie musiała zatrudnić na etat, wiedząc, że miałaby wtedy z góry określone godziny pracy, obowiązek wykonywania wszystkich zleceń oraz zakaz pracy dla konkurencyjnych platform.

W odróżnieniu od wielu krajów europejskich przewozy za pośrednictwem aplikacji mobilnych są w Polsce uregulowane od kilku lat. Biorąc to pod uwagę, a także różnice w systemach prawnych (np. funkcjonująca we wspomnianej Wielkiej Brytanii kategoria worker, która leży między niezależnym zleceniobiorcą a pracownikiem), pamiętajmy, że tendencje i wyroki w innych państwach europejskich nie mają bezpośredniego przełożenia na to, jak Uber i inne platformy działają w Polsce.

A kiedy posiłek przywiezie nam autonomiczny robot Ubera, a do kina zawiezie nas autonomiczny, elektryczny samochód Ubera?

Mam wrażenie, że zanim przesiądziemy się do autonomicznych aut, czeka nas ekologiczna rewolucja. Już teraz globalnie postawiliśmy sobie za cel być platformą zeroemisyjną do 2050 r. W tym czasie będziemy oczywiście kontynuować prace nie tylko nad pojazdami autonomicznymi, lecz także nad jeszcze lepszą integracją z systemami komunikacji miejskiej po to, by jedna aplikacja mogła ułatwiać nam wszystkim życie na co dzień.

eprasa.pl b96b151b81

Enea: Dzięki tarczy solidarnościowej można zaoszczędzić co najmniej 2 tys. zł

Zamrożenie cen w ramach ustawowych limitów zużycia obowiązuje od 1 stycznia 2023 r. Rządowa tarcza solidarnościowa chroniąca przed wzrostem cen energii obejmuje rozwiązania wspierające m.in. gospodarstwa domowe, jednostki samorządu terytorialnego, mikro-, małe i średnie przedsiębiorstwa oraz podmioty świadczące podstawowe usługi użyteczności publicznej.

NAJWAŻNIEJSZE REGULACJE

Na mocy ustawy ograniczającej wysokość cen energii elektrycznej, przyjętej przez Sejm 20 października, został wprowadzony mechanizm maksymalnej ceny energii elektrycznej stosowanej przez sprzedawców energii. Cena maksymalna prądu w 2023 r. dla gospodarstw domowych wyniesie 693 zł/MWh. Ustalona ustawą cena maksymalna prądu będzie stosowana przez sprzedawców energii w rozliczeniach z gospodarstwami domowymi od momentu przekroczenia limitów zużycia do 31 grudnia 2023 r.

Rozwiązania osłonowe wprowadzone przez ustawodawcę dotyczące zamrożenia cen sprzedaży oraz stawek dystrybucji dotyczą określonych poziomów rocznego zużycia energii elektrycznej. Wśród odbiorców indywidualnych najliczniejszą, bo stanowiącą blisko 87 proc. wszystkich gospodarstw domowych (ok. 13,5 mln), stanowi grupa G11 (czyli ze stałą ceną energii w cyklu dobowym). W tej grupie średnie roczne zużycie energii elektrycznej wynosi 1,8 tys. kWh. Warto wiedzieć, jak oszczędzać prąd, żeby nie przekroczyć ustawowych progów. Dzięki temu można nie tylko obniżyć rachunki, lecz także działać proekologicznie. Każda zaoszczędzona jednostka energii to zysk dla naszego portfela i środowiska. Porady na temat oszczędzania energii można znaleźć w kampanii Polskiego Komitetu Energii Elektrycznej pod nazwą „Liczy się energia".

Rząd wprowadził także system zachęt do oszczędności energii. Instytucje publiczne i samorządy są zobowiązane do obniżenia zużycia energii o 10 proc. Wszystkie gospodarstwa domowe, które od października 2022 r. do końca 2023 r. zużyją o co najmniej 10 proc. energii mniej niż w ostatnim roku, mogą liczyć na upust ceny energii w 2024 r., który również wyniesie 10 proc. Podobne zasady wprowadzono dla mikro-, małych i średnich przedsiębiorców.

Rozwiązania solidarnie wprowadzone przez rząd i spółki energetyczne zapewniają stałe wsparcie Polaków w trudnym okresie destabilizacji wywołanej agresywną polityką Rosji. Gospodarstwa domowe w Polsce przez cały 2023 r. korzystają z rządowej ochrony przed gwałtownym wzrostem cen energii. Każda rodzina w ramach przyznanych limitów zyska od blisko 2 tys. do niemal 3 tys. zł. Ceny energii osiągnęły rekordowe poziomy w wyniku wzrostu kosztów węgla i gazu oraz uprawnień do emisji CO_2 w unijnym systemie EU ETS

Tarcza solidarnościowa wprowadzona ustawą o szczególnych rozwiązaniach służących ochronie odbiorców energii elektrycznej w 2023 r. w związku z sytuacją na rynku energii elektrycznej gwarantuje gospodarstwom domowym stałą cenę prądu (693 zł/MWh) do 2 tys. kWh zużycia rocznego. Większy roczny limit zużycia energii elektrycznej przysługuje gospodarstwom, w których są osoby z niepełnosprawnością, i wynosi on 2,6 kWh. W przypadku rodzin trzy plus, czyli tych z Kartą Dużej Rodziny, oraz rolników limit wynosi 3 tys. kWh.

OŚWIADCZENIE – KTO MUSI ZŁOŻYĆ, A KTO NIE?

Odbiorcy uprawnieni do zamrożenia cen energii w 2023 r. z limitem 2 MWh nie muszą składać żadnych dokumentów ani oświadczeń. Przedsiębiorstwo energetyczne automatycznie zastosuje obniżenie rachunku za prąd w przyszłym roku do ustalonego ustawą limitu zużycia.

Warunkiem skorzystania z zamrożenia cen prądu w podwyższonym limicie 3 MWh przez rodziny wielodzietne i rolników jest złożenie do przedsiębiorstwa energetycznego stosownego oświadczenia, a w przypadku rodzin wielodzietnych posiadanie aktualnej Karty Dużej Rodziny. Rodzina wielodzietna to taka, w której rodzic (rodzice) lub małżonek rodzica mają lub mieli na utrzymaniu łącznie co najmniej troje dzieci bez względu na ich wiek.

Oświadczenie uprawniające do skorzystania z podwyższonego limitu zużycia prądu należy złożyć do 30 czerwca 2023 r. Po tym terminie wygasa możliwość skorzystania z ulgi na prąd w 2023 r.

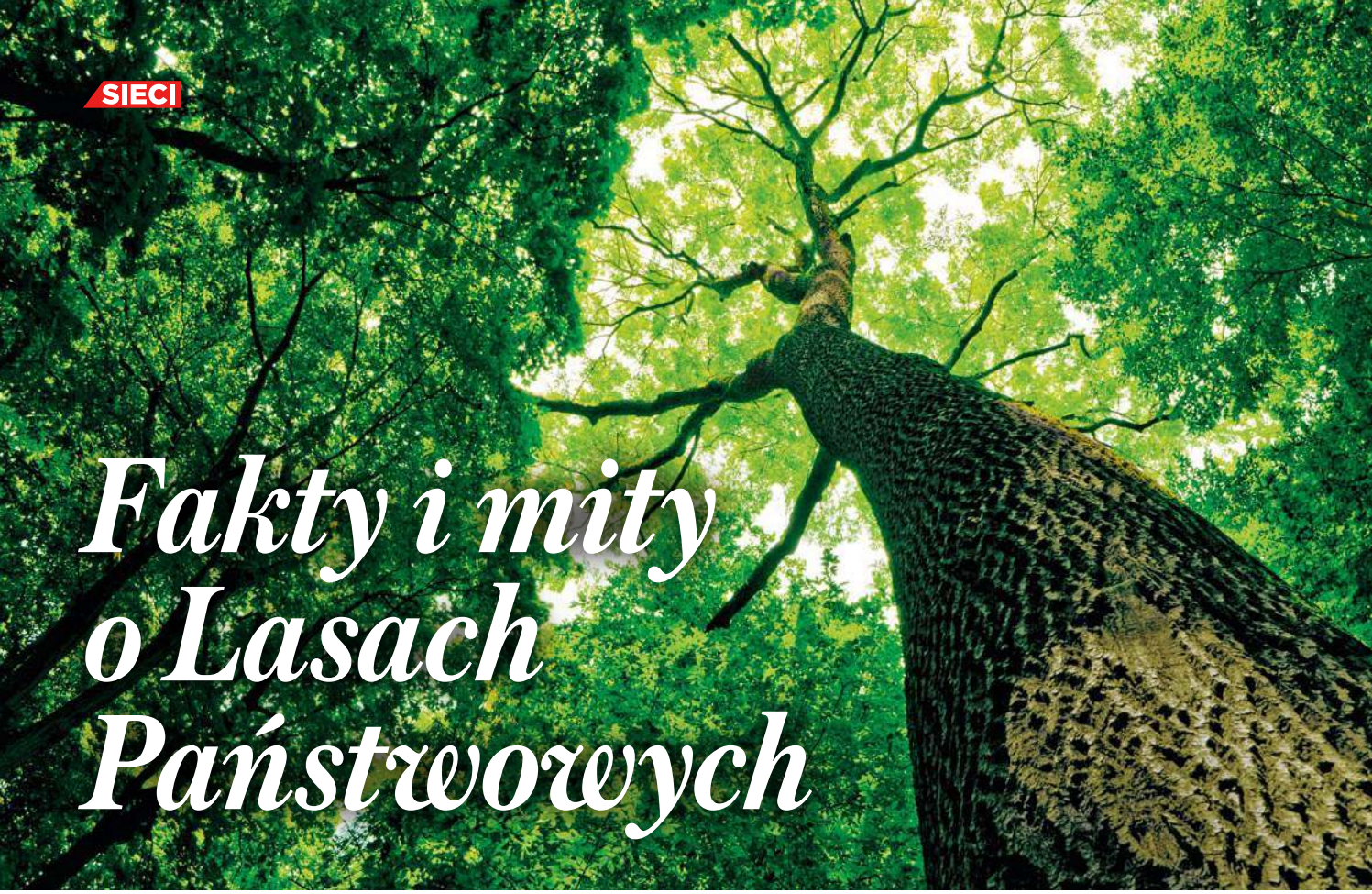
Oświadczenie uprawniające do skorzystania z podwyższonego limitu zużycia prądu można złożyć osobiście w biurach obsługi klienta przedsiębiorstwa energetycznego lub w siedzibie przedsiębiorcy energetycznego. Można je również wysłać tradycyjną pocztą na adres dostawcy energii. Oświadczenie można też złożyć przez internet. Wówczas jest wymagany kwalifikowany podpis elektroniczny, podpis zaufany lub podpis osobisty.

Szczegóły i wzór oświadczenia: enea.pl

RO

Artykuł sponsorowany | 52/0223/F

eprasa.pl b96b151b81



Fakty i mity o Lasach Państwowych

FAŁSZ

Trwa masowa wycinka polskich lasów

W rzeczywistości:

- pozyskiwanie drewna w ostatnich latach znacząco się zmniejszyło. Oto dane Głównego Urzędu Statystycznego (pozyskanie drewna):
  - 2018 r. – 45,59 mln m³
  - 2019 r. – 42,36 mln m³
  - 2020 r. – 39,67 mln m³

  (to 13 proc. mniej niż w 2018 r.)
- nadleśnictwa pozyskują drewno zgodnie z planem zatwierdzanym raz na 10 lat przez ministerstwo środowiska. Nie mogą go zmienić, niezależnie od cen i popytu na drewno
- leśnicy pozyskują tylko trzy czwarte tego, co w ciągu roku urośnie, reszta rok w rok zwiększa zasoby leśne. Oto dane Głównego Urzędu Statystycznego (powierzchnia lasów):
  - 1990 r. – 8,69 mln ha
  - 2021 r. – 9,46 mln ha
- zasoby drewna w Polsce są ponad dwukrotnie większe niż pół wieku temu. Wynoszą 2,5 mld m³, co daje nam piąte miejsce w całej Europie

FAŁSZ

Leśnicy sprzedają polskie drewno do Chin

W rzeczywistości:

- Lasy Państwowe nie eksportują drewna
- sprzedają 70 proc. drewna stałym od lat kontrahentom. 30 proc. na aukcjach
- leśnicy nie mają wpływu na to, co się potem dzieje ze sprzedanym drewnem. Jest wolność gospodarcza i każda firma może sprzedać takie drewno za granicę
- Polska jest krajem tranzytowym dla zagranicznego drewna. Takie drewno przejeżdża tirami lub pociągami przez nasz kraj, m.in. do portów nad Bałtykiem, skąd jest wysyłane np. do Chin. To nie są polskie drzewa



Fot. Shutterstock (7x)

eprasa.pl b96b151b81

FAŁSZ

Leśnicy specjalnie podnoszą ceny drewna i zarabiają krocie

W rzeczywistości:

- system sprzedaży drewna w Polsce jest taki sam od 13 lat. Polega na sprzedaży głównie stałym kontrahentom, po niezmiennych cenach, regulowanych raz na rok
- leśnicy nie mają wpływu ani nie ponoszą odpowiedzialności za działania prywatnych firm, które windują ceny drewna i produktów drewnianych w sklepach
- przykład: cena drewna, z którego robi się płyty OSB, wzrosła w 2022 r. tylko 3 proc., tymczasem cena płyty OSB w sklepie wzrosła już o 1000 proc.

FAŁSZ

Lasy Państwowe wprowadzają opłaty za wstęp do lasu

W rzeczywistości:

- nieodpłatny i powszechny wstęp do lasów gwarantują ustawy, leśnicy nie mogą ich naruszać
- w związku z organizacją dużych, masowych imprez komercyjnych nadleśnictwa ponoszą dodatkowe koszty i incydentalnie muszą rekompensować je niewielką opłatą od organizatorów
- opłaty za wstęp pobierają jedynie parki narodowe

PRAWDA

Polskie lasy pomagają w walce z ociepleniem klimatu

- drzewa to naturalne pochłaniacze dwutlenku węgla, który jest odpowiedzialny za wzrost średniej temperatury
- hektar lasu pochłania od kilku do kilkunastu ton CO_2 rocznie
- drzewa pochłaniają dwutlenek węgla w fazie rozwoju, najwięcej magazynują drzewostany w średnim wieku. Drzewa stare, obumierające lub rosnące zbyt gęsto przestają magazynować CO_2, a zaczynają go emitować do atmosfery. Np. Puszcza Białowieska emituje więcej CO_2, niż go pochłania
- żeby jak najlepiej wykorzystać polskie lasy do walki z ociepleniem klimatu, Lasy Państwowe powołały Leśne Gospodarstwa Węglowe, które pod kierunkiem naukowców wprowadzają w lasach projekty zwiększające pochłanianie CO_2 i zmniejszające uwalnianie gazów cieplarnianych do atmosfery



Artykuł sponsorowany | 77/0123/F

Lasy Państwowe

eprasa.pl b96b151b81



Dzieciom leczonym eksperymentalnie komórkami macierzystymi odmawia się dostępu do terapii. Tłem dla ich dramatu są wielkie pieniądze

Komórki i złotówki

Siedmioletni Wojtek Tymiński cierpi na późno wykrytą leukodystrofię globoidalną – chorobę odbierającą po kolei funkcje organizmu, aż do śmierci. Lekarze mieli chłopcu do zaoferowania tylko hospicjum. Mama Wojtka, Anna Tymińska, znalazła informacje o eksperymentalnej terapii komórkami macierzystymi. W Polsce można prowadzić je na zasadzie tzw. medycznego eksperymentu leczniczego, a leki z komórek są przygotowywane w procedurze wyjątku szpitalnego. O podaniu decyduje lekarz za zgodą komisji bioetycznej.

Wojtek trafił pod opiekę prof. Magdaleny Chrościńskiej-Krawczyk z Lublina. Tam dostawał preparat z komórek, wytworzony indywidualnie dla niego przez laboratorium w Warszawie.

– Objawy choroby zaczęły się cofać, z dziecka bezwładnie leżącego Wojtek stał się dzieckiem siedzącym, z ciekawością rozglądającym się wokół siebie. Mimo tylu lat życia z chorobą on wciąż samodzielnie oddycha, nie wymaga respiratora ani PEG-a, nie trzeba mu odsysać śliny, przesypia spokojnie całe noce. Przed zastosowaniem terapii komórkami macierzystymi te wszystkie sukcesy były dla Wojtka nieosiągalne – mówiła nam w grudniu ub.r. mama Wojtka, Anna Tymińska.

ROZPACZ

Radość zamieniła się w rozpacz. Komisja bioetyczna w Lublinie odmówiła bowiem zgody na dalsze podawanie leku. Stan Wojtka zaczął się gwałtownie pogarszać, chłopiec każdego dnia walczy o życie. Decyzji komisji nie sposób nie połączyć z gorącą atmosferą wokół terapii eksperymentalnych, wywołanej wypowiedziami niektórych ekspertów, a także serialem radiowym „Eksperyment" Michała Janczury. Dziennikarz TOK FM w serii podcastów postanowił zdemaskować biznes komórkami macierzystymi jako rzekome oszustwo, w którym sprzedaje się ludziom złudzenia za ciężkie pieniądze. Co ciekawe, przygotowując materiał, rozmawiał z Anną Tymińską, a asystent Janczury nagrał wypowiedzi kobiety, która mówiła o pozytywnym wpływie terapii na jej syna.

– Nie wykorzystał ani sekundy – mówi Tymińska, która czuje się skrzywdzona przez dziennikarza. Pretensje do Janczury mieli także inni rozmówcy, których wypowiedzi wyrywano z kontekstu bądź okraszono budującymi grozę wstawkami.

Warsztat Janczury zmiażdżyła w mediach społecznościowych Urszula Kaczorowska, uznana dziennikarka naukowa PAP. Napisała, że „Eksperyment" podważa zaufanie do nauki i przyrównała oddziaływanie serialu do elukubracji antyszczepionkowców. Kaczorowska zarzuciła Janczurze brak podstawowej wiedzy naukowej, manipulacje i nieuzasadnione podgrzewanie nastrojów. „Zmontował materiał i dobrał muzykę w taki sposób, żebyśmy płakali i... uwierzyli, że polscy lekarze robią okrutne eksperymenty" – napisała Kaczorowska.

BLOKADA

Dlaczego w Polsce nagle postanowiono zablokować terapie komórkowe?

– Nie wiem. Faktem jest, że do Lublina na leczenie komórkami przyjeżdżają pacjenci z całej Europy. Taka terapia, choć także u nas nie jest tania (jedna sesja zabiegów kosztuje ok. 10 tys. zł), nie ma w ogóle kosztowego porównania z terapiami oferowanymi np. w USA czy w Azji, gdzie koszty sięgają milionów złotych – mówi Tymińska.

Trzeba też pamiętać, że dysponujące gigantycznymi środkami koncerny farmaceutyczne pracują nad lekami na bazie komórek macierzystych. Będą one wielokrotnie droższe niż preparaty wytwarzane w Polsce i podawane w procedurze wyjątku szpitalnego. W analizie sporządzonej przez jednego z najwybitniejszych

Fot. Elena Pavlovich / Shutterstock

eprasa.pl b96b151b81

polskich hematologów i transplantologów (tekst krąży w gremiach związanych z terapiami komórkowymi, posiadamy jego kopię) stwierdzono wprost, że firmy farmaceutyczne chcą pozbyć się konkurencji i zmaksymalizować w ten sposób swoje zyski.

Chociaż Janczura kreuje się na demiurga, który zablokował terapie komórkowe, i sugeruje, że jego materiały miały decydujący wpływ na zmiany legislacyjne przyjęte niedawno przez rząd, Ministerstwo Zdrowia podaje, iż kierowało się raczej stanowiskiem zespołu ekspertów ds. terapii komórkowych i komórek macierzystych Naczelnej Izby Lekarskiej (NIL). Rozwiązania z przyjętej już przez Sejm i rozpatrywanej przez Senat nowelizacji ustawy o badaniach klinicznych nie przynoszą zresztą rewolucji i są odpowiedzią na postulaty ośrodków zajmujących się wytwarzaniem preparatów z komórek. O racjonalne uporządkowanie tego obszaru apelował np. na naszych łamach Tomasz Baran z Polskiego Banku Komórek Macierzystych. W ustawie doprecyzowuje się, że za medyczne eksperymenty lecznicze (czyli np. podanie preparatu na bazie komórek macierzystych) nie będą mogli płacić bezpośrednio chorzy i inne osoby, które są bezpośrednio zainteresowane wynikiem terapii. Dzięki temu ma zmniejszyć się pole do nadużyć i nieuzasadnionego narażania zdesperowanych ludzi na koszty – z konieczności ochrony pacjentów zgadzają się wszyscy sensowni uczestnicy debaty o komórkach.

– Za tego typu procedury płacą stowarzyszenia i fundacje, pod których opieką są pacjenci. Nie ma tu żadnych kontrowersji, nikt nie zostanie pozbawiony leczenia – mówił nam podczas prac w Sejmie były wiceminister zdrowia Bolesław Piecha z PiS.

BIZNES

Nie ma też jednak wątpliwości, że opinie zespołu NIL i aktywność medialna niektórych jego członków – wraz z sensacyjnymi materiałami Janczury – wpłynęła na decyzje komisji bioetycznych, odmawiających zgody na terapie komórkami.

– W mediach z krytyką terapii komórkowych występuje przede wszystkim pan prof. Dulak [Józef Dulak, biolog z UJ w Krakowie – przyp. red.], jednak moim zdaniem najwięcej do powiedzenia ma pan prof. Śladowski. To z jego głosem liczą się w Ministerstwie Zdrowia – mówi nam jeden z lekarzy związanych z zespołem.

Dariusz Śladowski jest transplantologiem i przedstawicielem Polski w Komitecie Terapii Zaawansowanych przy Europejskiej Agencji Leków. 10–15 lat temu jego nazwisko znacznie częściej pojawiało się jednak w prasie biznesowej niż tej poświęconej zdrowiu. „Zamiast opowiadać wielkimi słowami o naukowych zaletach inżynierii tkankowej, skupił się na odpowiedzi na pytanie – ile można na tym zarobić? W ten sposób w 2006 r. udało mu się przekonać biznesmena z wieloletnim doświadczeniem, by założył z nim firmę..." – przedstawiał drogę Śladowskiego portal biotechnologia.pl.

Tym biznesmenem był Andrzej Kisieliński, firmą zaś Euroimplant. Przed wejściem w biznes ze Śladowskim Kisieliński pracował m.in. dla rosyjskiego koncernu paliwowego Łukoil, gdzie w latach 2000–2005 pełnił funkcję dyrektora finansowego oddziału w Polsce. Miał także słynną restaurację Lemongrass – w kontekście afery podsłuchowej rządu Platformy pisano o biznesowych związkach Kisielińskiego z rosyjskim przedsiębiorcą Andrijem P., pośrednikiem w handlu gazem między Rosją a Ukrainą. Były szef ABW Andrzej Barcikowski ostrzegał posłów przed kontaktem z P., mówiąc, że ten „działał w sposób, który budził podejrzenia, że w rzeczywistości nie jest biznesmenem, lecz raczej osobą związaną z obcymi służbami wywiadowczymi".

Specjalizujący się w inżynierii tkankowej i medycynie regeneracyjnej Euroimplant miał ambitne plany. Śladowski marzył o podboju rynku wartego 1,5 mld dol. „Ten, kto wejdzie na niego teraz, ma szansę złapać niemały kawałek tortu dla siebie" – mówił w 2009 r. Euroimplant był notowany na New Connect, a od 2011 r. na głównym parkiecie GPW. W 2012 r. podpisał z prywatną siecią medyczną umowę na usługi związane z przeszczepianiem pacjentom komórek macierzystych pobranych z własnej tkanki tłuszczowej. Sukcesu finansowego wciąż jednak nie było. W kwietniu 2014 r. Euroimplant złożył wniosek o upadłość.

Dziś jako naukowiec i przedstawiciel Polski w gremium mającym wpływ na kierunki rozwoju rynku medycznego w Europie Dariusz Śladowski jest przeciwnikiem terapii komórkowych. Jego zdaniem blokują one rozwój terapii genowych i dostęp pacjentów do organizowanych przez koncerny farmaceutyczne badań klinicznych. Profesor nie zerwał do końca związków ze światem biznesu. Zasiada w radzie naukowej firmy produkującej aparaty do samodzielnej diagnostyki, w rejestrach sądowych widnieje także jako prokurent firmy S., zajmującej się m.in. budowlanką. W jej radzie nadzorczej jest współwłaścicielka i wiceprezeska firmy zajmującej się badaniami klinicznymi. Z kolei w zespole ekspertów NIL zasiada wraz ze Śladowskim dawna członek rady nadzorczej Euroimplantu. Ministerstwo Zdrowia twierdzi, że nie ma tu żadnego konfliktu interesów, a prof. Śladowski nie pełnił funkcji doradczych w pracach przy ustawie o badaniach klinicznych produktów leczniczych stosowanych u ludzi.

KONFERENCJA

W rozmowie z nami Śladowski stanowczo zaprzeczył ewentualnemu konfliktowi interesów. Stwierdził, że nie jest już prokurentem firmy S., a jego nazwisko widnieje w KRS dlatego, że mająca problemy finansowe spółka nie dokonała stosownych formalności. Z Andrzejem Kisielińskim od momentu wyjścia z Euroimplantu nie ma kontaktu. Dlaczego zespół NIL wydał takie, a nie inne stanowisko w sprawie terapii komórkowych? Zdaniem Śladowskiego polscy lekarze zbyt niefrasobliwie korzystają z wyjątku szpitalnego. Mówi, że w Polsce idzie to w dziesiątki tysięcy (w rzeczywistości liczba takich przypadków to najwyżej sto kilkadziesiąt w skali roku). Śladowski powiedział nam też, że w przypadku leukodystrofii (choroby, na którą cierpi Wojtek) jest już zarejestrowany produkt leczniczy terapii genowej. Sęk w tym, że w momencie diagnozy Wojtka było już za późno, by podać mu ten lek. Kosztuje on zresztą prawie 5 mln zł!

Dariusz Śladowski zaprosił nas na konferencję naukową poświęconą terapiom komórkowym, zaplanowaną w NIL na 1 marca. Na pewno tam będziemy.

Bartosz Życiński, Piotr Filipczyk

eprasa.pl b96b151b81



Grupa Sportowa ORLEN – mamy dobre wzorce

Oglądajcie z dziećmi polskich lekkoatletów!

Coraz więcej wychowawców i psychologów dziecięcych bije na alarm, że polska młodzież nie jest zainteresowana zdrowym stylem życia, że trudno oderwać ją od ekranów smartfonów, że społecznym problemem wśród młodych staje się otyłość. Mimo to ci, którzy wybierają ruch i aktywność oraz na poważnie zajmują się sportem, osiągają znaczące sukcesy. Jak to zrobić, by ci pierwsi zechcieli wreszcie naśladować tych drugich?

Lata 1956–1966 są nazywane złotą dekadą polskiej lekkoatletyki. To wówczas do naszej reprezentacji lekkoatletycznej przylgnęła nazwa „wunderteam", którą nadali jej niemieccy dziennikarze po zwycięstwie Polaków nad Niemcami w meczu lekkoatletycznym. Członkowie stworzonego przez trenera Jana Mulaka wunderteamu byli w naszym kraju bohaterami i idolami młodzieży, którzy swoją popularnością dorównywali dzisiejszym gwiazdom piłki nożnej. Ludzie gromadzili się przy radioodbiornikach, by nasłuchiwać relacji z zawodów, w których pierwsze role odgrywali tacy zawodnicy jak: biegacze Zdzisław Krzyszkowiak, Jerzy Chromik czy Barbara Janiszewska, dyskobol Edmund Piątkowski, młociarz Tadeusz Rut, oszczepnik Janusz Sidło czy trójskoczek Józef Szmidt. Te nazwiska znał każdy polski urwis na podwórku i każdy chciał naśladować swojego idola. A to... było i jest bardzo łatwe.

SZYBCIEJ, DALEJ, WYŻEJ

Pod względem organizacyjnym i sprzętowym nie ma łatwiejszej do uprawienia dyscypliny sportu niż lekkoatletyka. W warunkach podwórkowych rzecz sprowadza się do najprostszych wyzwań – kto szybciej pobiegnie, kto dalej lub wyżej skoczy, kto dalej rzuci. Wystarczą najtańsze sportowe buty i dobre chęci. Czemu jednak młodym ludziom w Polsce tak często właśnie tych chęci brakuje, że przedkładają wpatrywanie się w ekran swojego smartfona nad lekkoatletyczną aktywność? Czyżby wymówką był dziś brak kandydatów na idoli pokroju Krzyszkowiaka czy Janiszewskiej? Nic z tych rzeczy! Niestety, nie jest to pewnie powszechna wiedza wśród polskiej

Fot. Pawel Skraba, Shutterstock

eprasa.pl b96b151b81

młodzieży, ale nasi lekkoatleci należą dziś znów do światowej czołówki. Trwający obecnie sezon halowy pokazuje, że wśród biało-czerwonej kadry lekkoatletycznej są zawodnicy, którzy z powodzeniem i pożytkiem mogliby stać się idolami dla młodych ludzi w Polsce, gdyby tylko udało się im przebić do ich świadomości. Lekkoatletyka znów staje się polską specjalnością, co pozytywnie zaskakuje w kontekście pogarszającej się kondycji społecznej en masse, a także daje nadzieję, że międzynarodowe sukcesy polskich biegaczy, miotaczy i skoczków będą stanowiły inspirację dla wielu młodych ludzi do zmiany swojego stylu życia na bardziej aktywny.

POLSKA SPECJALNOŚĆ

Najbliższą szansę na zaprezentowanie swoich imponujących umiejętności polscy lekkoatleci będą mieli podczas Halowych Mistrzostw Europy w Lekkoatletyce 2023, które odbędą się od 2 do 5 marca w Ataköy Arenie w Stambule w Turcji. Rozgrywane co dwa lata HME to w ostatnich latach prawdziwie polska specjalność. W 2017 r. w Belgradzie i dwa lata później w Glasgow nasza reprezentacja wygrywała klasyfikację medalową. W pandemicznym 2021 r. mistrzostwa odbyły się w stolicy polskiej lekkoatletyki, czyli w Toruniu, i choć nasza kadra została ostatecznie sklasyfikowana na dziewiątym miejscu, to i tak zdobyła największą liczbę medali (10) spośród wszystkich drużyn startujących w tej imprezie.

Tydzień temu hala Arena Toruń posłużyła naszym lekkoatletom do rozegrania Halowych Mistrzostw Polski, które były ostatnim sprawdzianem formy naszych zawodników przed wylotem do Turcji. Zawody stały na bardzo wysokim poziomie, uzyskano kilka rewelacyjnych wyników, wśród których na pierwszy plan wysuwają się takie rezultaty jak rekord Polski Natalii Kaczmarek w biegu na 400 m (50,83) czy trzeci w historii polskiej lekkoatletyki wynik na 60 m przez płotki 21-letniego Jakuba Szymańskiego (7,53). Do naszego legendarnego 200-metrowca Marcina Urbasia zbliżył się za to Albert Komański, który uzyskał w biegu na tym dystansie czas 20,56, co oznacza, że zabrakło mu jednej setnej sekundy do pobicia 21-letniego rekordu Polski należącego właśnie do Urbasia.

ZAPROŚCIE DZIECI PRZED TV

Zawody w Toruniu pokazały, a mistrzostwa w Stambule zapewne pokażą, że rośnie nam kolejne pokolenie lekkoatletów, które może być kolejnym wunderteamem, choć bardziej trafnie i mniej z niemiecka można je nazywać ORLEN Teamem. To właśnie największy polski koncern energetyczny od lat dba o to, by nasze największe talenty lekkoatletyczne mogły rozwijać się w jak najlepszych warunkach. Oprócz indywidualnego wsparcia zawodników ORLEN sponsoruje najważniejsze imprezy lekkoatletyczne, które odbywają się w Polsce, a podczas których polscy zawodnicy mają szansę skonfrontować swoje umiejętności z największymi światowymi gwiazdami tej dyscypliny sportu. Ostatnią taką okazją był rozegrany, oczywiście w Toruniu, ORLEN Copernicus Cup, który szybko awansował do światowej elity halowych mityngów lekkoatletycznych.

– Bardzo się cieszę, że przez kolejne lata wypracowaliśmy sobie opinię doskonałych organizatorów, dzięki czemu zawodnicy bardzo chętnie do nas przyjeżdżają. Oni wiedzą też, że atmosfera w toruńskiej hali jest wyjątkowa, a nasi kibice nie tylko świetnie znają się na lekkoatletyce, lecz także potrafią docenić sportowy kunszt – powiedział Krzysztof Wolsztyński, dyrektor ORLEN Copernicus Cup Toruń 2023 i prezes Kujawsko-Pomorskiego Związku Lekkiej Atletyki. Toruński mityng od wielu lat ma już swoją markę. Także w tym roku ORLEN Copernicus Cup Toruń znalazł się wśród siedmiu najwyżej sklasyfikowanych zawodów World Athletics Indoor Tour Gold.

Tacy bohaterowie, takie wzorce i takie imprezy – wszystko najwyższej światowej jakości czeka, by zainspirować polską młodzież i polskie dzieci do jak największej aktywności. Jeżeli trudno oderwać dzieci od ekranu, to w dniach 2–5 marca zaproście dzieci do wspólnego oglądania na antenie TVP Sport zawodów w Stambule. Sukcesy Polaków są tam gwarantowane, więc może w niejednym młodym Polaku narodzi się w tych dniach zdrowa sportowa pasja.

Mistrzostwa Polski drugie na świecie!

Rozegrane w dniach 18–19 lutego halowe mistrzostwa Polski zostały sklasyfikowane przez World Athletics na drugim miejscu wśród halowych czempionatów krajowych rozegranych w tym sezonie. Lepiej były punktowane tylko mistrzostwa USA. Na ostateczny wynik zawodów w Arenie Toruń złożyły się m.in. finały biegu na 400 m kobiet, sprintu na 200 m panów oraz rywalizacja o medale na dystansie 60 m przez płotki mężczyzn. To trzy najlepiej punktowane konkurencje krajowego czempionatu. W sumie mistrzostwa Polski zostały wycenione na 42 258 pkt. Lepszy wynik uzyskały jedynie rozegrane w Albuquerque, w stanie Nowy Meksyk, halowe mistrzostwa USA (44 848 pkt). 67. edycja Halowych Mistrzostw Polski wyprzedziła w rankingu krajowych czempionatów – prowadzonym przez World Athletics – mistrzostwa Włoch (42 057 pkt), Francji (41 986 pkt) czy Niemiec (41 939 pkt).

Źródło: Maciej Jałoszyński/PZLA.PL

Lekkoatletyka z najmocniejszym wsparciem

Lekkoatletyka jest jedną z wiodących dyscyplin sportowych w strategii sponsoringowej PKN ORLEN. W ramach Grupy Sportowej ORLEN wsparcie indywidualne uzyskują najlepsi polscy sportowcy. Grupę tworzą uznani zawodnicy i zawodniczki odnoszący sukcesy na krajowych i zagranicznych arenach, w tym medalistki i medaliści igrzysk olimpijskich, mistrzostw świata i mistrzostw Europy. ORLEN wspiera zawodników w takich dyscyplinach jak: lekkoatletyka, kolarstwo torowe, szermierka czy dżudo. PKN ORLEN jest także sponsorem generalnym Polskiego Związku Lekkiej Atletyki wspierającym organizację imprez z udziałem czołowych zawodników z całego świata, m.in. ORLEN Memoriału Janusza Kusocińskiego, PZLA Mistrzostw Polski, ORLEN Copernicus Cup czy Memoriału Kamili Skolimowskiej.

PARTNER DODATKU

ORLEN

Artykuł sponsorowany | 43/0223/F

eprasa.pl b96b151b81



ZBIGNIEW ZARANEK ZWYCIĘZCA CZWARTEJ EDYCJI „THE VOICE SENIOR”

Tu jest mój raj

Nie zastanawiam się nad pochodzeniem swojego nazwiska – prawdopodobnie jest czeskie, chociaż nie mam na to potwierdzenia – za to kiedy się przedstawiam, często mówię: „Zaranek. Nie mylić z wieczorkiem”.

Jeśli chodzi o rodzinne korzenie, to wiem, że moi wujowie mieli zespół dętych instrumentów, a jeden z praprzodków śpiewał w operze, więc może jakieś muzyczne geny zostały mi przekazane i doprowadziły do miejsca, w którym się znalazłem.

Zwycięstwo w czwartej edycji „The Voice Senior” sprawiło, że czuję się wyjątkowo. Moim marzeniem było dojść do finału. Jestem szczęśliwy. Przede wszystkim, że podołałem, że jeszcze mogę i potrafię. Czuję, że świat się przede mną otwiera. Chciałbym ruszyć w trasę, zapełniać wielkie sale koncertowe, nagrać płytę! To wszystko – mam nadzieję – przede mną, ale zaraz po finale czekał na mnie Wągrowiec. Fajna miejscowość, świetni ludzie. To tu mieszkam.

Wróciłem po latach do Wągrowca, by opiekować się ciocią i mamą, które są już wiekowe. To miejsca mojego urodzenia. Potem wiele lat spędziłem we Wrocławiu. Tam się uczyłem, miałem zespół, z którym sporo działaliśmy, tam nadal mieszka moja żona. Wiele dzięki niej zrozumiałem. Kiedyś uprawiałem mocnego rocka, metalowe granie. Z czasem otworzyłem się też na inne klimaty muzyczne.

Nie bez powodu w finale „The Voice Senior” zaśpiewałem „Dziwny jest ten świat” Czesława Niemena. Mam podobną skalę i znałem wcześniej jego piosenki, ale od samego początku najważniejsza była jego ekspresja, sposób rozumienia muzyki. Od początku bardzo mi odpowiadały, chociaż po pierwszych wykonaniach Niemena pojawiały się głosy krytyki, że „wydziera się, jakby był u dentysty i jeszcze nazywa się Wydrzycki”. Mocno mnie te opinie wtedy bolały. Musiało minąć sporo czasu, by społeczeństwo dojrzało i do takiej ekspresji.

W Wągrowcu odziedziczyłem po dziadkach mały domek z 1937 r. i kawałek ziemi, który teraz przerodził się w ogród. Kiedy przychodzi wiosna i wychodzę na zewnątrz, mówię sobie: „Tu jest mój raj”. A latem wsiadam na rower, zabieram psa i jedziemy nad jezioro. Najczęściej nad Rgielskie, ale mamy też: Durowskie i nieco dalej Kobyleckie, Łęgowskie... Jest ich trochę. I są wokół lasy, ale najważniejsze, że jest niebo nad głową, o czym w dużym mieście się zapomina.

Był w moim życiu krótki brytyjski epizod, ale jeśli miałbym mówić o miejscu, które poza Wrocławiem mocno na mnie wpłynęło, jakoś mnie określiło, to byłaby to Walencja. Pojechałem do niej za pracą, potem jednak zarobek się skończył, samochód się zepsuł i trzeba było jakoś czas sobie wypełnić. Hiszpański znałem słabo, ale poznałem ludzi, którzy tam grali. Piękne rzeczy razem stworzyliśmy. Dynamiczna hiszpańska „gitarrra” zaczęła mi w duszy brzmieć, Radio 3 nadawało fajną muzę. Dużo by mówić.

Teraz gra mi w sercu radość ze zwycięstwa, marzą się koncertowe spotkania i płyta. Pierwszy utwór już jest – „Przeżyjmy wszystko jeszcze raz” – a wraz z nim nie tylko szansa na wspomnienia, lecz także na przebywanie wśród dźwięków, z ludźmi, na przekazywanie sobie wewnętrznej radości, namawianie innych, żeby się nie poddawali, cały czas próbowali, bo kto nie próbuje, ten nie wie, czy się uda.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Fot. Galiązka/AKPA

eprasa.pl b96b151b81



SŁODKO-SŁONY

Dobra mąka

ANNA MONICKA

Wrócił u nas ostatnio w domu temat glutenu, a to za sprawą psa rodziców. Znaleziony w lesie, ewidentnie porzucony psiak, przypałętał się kiedyś, gdy wybrali się na grzyby. Nie mieli sumienia biedaka zostawić na pastwę losu. Nie wiadomo, co przeżył w szczenięctwie, można się tylko domyślać. Rodzice postanowili wynagrodzić psinie za wszystkie czasy. Zwłaszcza tata dzielił się z nią tym, co uważał za najlepsze. Sosy mięsne, wędlinka, ciasteczka i inne smakołyki piesek pożerał z apetytem. Wreszcie – całkowicie przeszedł na ludzką dietę. Szybko zaczął tyć. Istny baleron na chudych i coraz bardziej wykrzywionych od dźwiganego ciężaru nóżkach.

Pierwszą wpadkę rodzice zaliczyli kiedyś przed świętami, kiedy to skusili się na sprzedawaną w promocyjnej cenie wołowinkę. Tata zjadł i chociaż było mu ciężko na wątrobie, jakoś przetrawił. Pies wylądował pod kroplówką. Wtedy lekarze od razu przestrzegli, żeby nie dawać zwierzakowi więcej jedzenia, którego sklepy pozbywają się przed świętami. Sprawa ucichła, pies schudł i odżył.

Nie na długo – tata uznał, że jak nie mięso, to może przypadnie mu do gustu makaron. Pies, który epizod leśnej głodówki ma gdzieś zapisany w tyle głowy, przystał na to z ochotą i codziennie wsuwał na kolację miskę klusek z sosem. Wkrótce wylądował znów u lekarza, tym razem z podejrzeniem raka żołądka.

Reanimacja pacjenta trwała prawie miesiąc. Ostatecznie badania wykazały rozległy stan zapalny błony śluzowej. Lekarz nie miał wątpliwości – takie spustoszenie zrobił gluten. W tym samym mniej więcej czasie moja córka uległa namowom kolegów i zjadła w pewnej znanej sieciówce wielkiego hamburgera. Chodziła po nim przez kilka dni spuchnięta, bolała ją głowa i czuła się fatalnie. Gdy opowiedziała o tym swojej lekarce, ta tylko popatrzyła z politowaniem. – Skoro wiesz, co ci szkodzi, to po co to jesz? – spytała. Teraz nawet lane kluski robię na bezglutenowej mące owsianej i problemów nie ma. Mąka jest doskonała na placki, ciasteczka, racuchy, naleśniki. Warto wypróbować, jeśli zauważycie, że zwykła pszenna wam nie służy.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Uprzywilejowany

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Parę dni temu byłem świadkiem znamiennej sceny. Kot – ładny czarny z białą krawatką – szedł powoli przez ogród, obok którego przejeżdżałem rowerem. Nagle przystanął i przywierając do ziemi, niemal szorując po niej brzuchem, z wystającymi ku górze łopatkami zaczął skradać się charakterystycznym dla kotowatych wężowym ruchem, jaki można zaobserwować u lwa, tygrysa czy jaguara przed atakiem. I u kota domowego.

Zachowanie było oznaką zafascynowania czymś, co znajdowało się w kupie chrustu. W pewnym momencie kot zamarł... i skoczył łukiem. Zanim wylądował, spomiędzy patyków wzbił się zielono-żółty ptaszek. Tym razem sikora bogatka zdążyła uciec. Kot patrzył chwilę za nią, a o emocjach świadczył wijący się koniec ogona. Potem popatrzył obojętnie na mnie i powoli się oddalił.

Wiele razy byłem świadkiem udanego ataku kota i często też znajduję zabite ptaki.

Koty polują nie z głodu. Najczęściej są to koty mieszkające z ludźmi w domach i mieszkaniach, wypuszczane samopas na spacer. Odżywione, wypoczęte, korzystają z opieki weterynaryjnej, są w znakomitej formie, która łączy się z naturalną kocią sprawnością. Pod każdym względem mają przewagę nad ofiarami. W dodatku nie boją się ludzi i polują bez strachu w ich obecności.

Po zimnej i odbierającej energię nocy drobne ptaki muszą koniecznie zdobyć pożywienie – nawet bowiem jeżeli temperatura nie spada poniżej zera, mogą stracić do 10 proc. masy. Muszą szybko coś zjeść. Tymczasem najedzony, wypoczęty kot ma siły na to, żeby spokojnie czekać na chwilę nieuwagi.

W sezonie lęgowym, nawet przeczuwając zagrożenie czy wręcz widząc drapieżnika, rodzice nie zostawią gniazda, tak jak później nie zostawią wyskakujących z gniazda podlotów. Drapieżnik doskonale o tym wie i wykorzystuje każdy słaby punkt.

Każdego roku w samej tylko Polsce giną setki tysięcy drobnych ptaków. To jedna z głównych przyczyn śmiertelności. Powodowana przez drapieżniki, które nie są naturalną częścią ekosystemu.

Kot to odpowiedzialność. Zanim podejmie się decyzję o posiadaniu tego skądinąd bardzo miłego stworzenia, trzeba się zastanowić, czy mamy pomysł na to, jak sprawić, żeby nie przyczyniał się do śmierci ptaków i żeby nie męczył się, jeżeli dla własnej rozrywki będziemy trzymać łowne z natury zwierzę w zamknięciu.

eprasa.pl b96b151b81

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Zrównoważony rozwój

Zawarty w tytule felietonu termin jest dziś szczególnie często używany, a nawet nadużywany. A przecież chodzi o to, by był najbliższy swojemu pierwotnemu, naturalnemu kontekstowi, bo dziś „zrównoważony rozwój" to worek, do którego można wrzucić wszystkich i wszystko.

Ostatnio w siedzibie Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, w dniu odsłonięcia tablicy upamiętniającej śp. prof. Jana Szyszko, mogliśmy usłyszeć o zrównoważonym rozwoju we właściwym ujęciu. To wielka zasługa zmarłego cztery lata temu wybitnego naukowca, polityka, leśnika, wielokrotnego ministra środowiska. Prof. Jan Szyszko odnosił zrównoważony rozwój do kwestii ochrony środowiska przyrodniczego. Walczył o utrzymanie prawa do rozumnej ingerencji człowieka w życie Puszczy Białowieskiej. Utrzymywał, że człowiek jest zobowiązany dziś i wobec przyszłych pokoleń do zachowania podobnej wielkości i jakości leśnych zasobów, z którymi miał do czynienia. Dlatego musi dbać, by koniecznemu rozwojowi gospodarczemu towarzyszyła troska o dobrostan roślin.

Leśną koncepcję zrównoważonego rozwoju wymyślił i wdrożył Hans Carl von Carlowitz. Dzięki niemu powstała niemiecka szkoła leśnictwa, bardzo ceniona w XIX w. na całym świecie. Mówiąc najkrócej – wycina się tyle drzew, ile może w ich miejsce urosnąć. I to tej szkole leśnictwa pozostawał wierny prof. Jan Szyszko.

Art. 5 naszej konstytucji m.in. stanowi, że Polska zapewnia ochronę środowiska, kierując się zasadą zrównoważonego rozwoju. Nie ma w konstytucji szczegółowej definicji tego terminu, ale zdaniem większości poważnych konstytucjonalistów „zrównoważony rozwój" odnosi się wyłącznie do zasady ochrony środowiska. Potwierdzeniem tego jest użycie pojęcia „zrównoważony rozwój" w ustawie Prawo ochrony środowiska, gdzie w art. 3 pkt 50 ustawodawca definiuje „zrównoważony rozwój" jako taki rozwój społeczno-gospodarczy, w którym następuje proces integrowania działań politycznych, gospodarczych i społecznych przy zachowaniu przyrodniczej równowagi w celu zagwarantowania możliwości zaspokajania podstawowych potrzeb poszczególnych społeczności lub obywateli zarówno współczesnego pokolenia, jak i przyszłych pokoleń. Tu także odnajdujemy leśne konotacje wspomnianego terminu. Wciąż chodzi o takie planowanie i realizowanie rozwoju, by korzyści uzyskane z eksploatacji środowiska naturalnego nie umniejszały trwale zasobów tego środowiska i nie wywierały negatywnych skutków społecznych. Po co ludziom puszcza z zakazem ingerowania w jej funkcjonowanie, skoro przeobrazi się ona w umarłe, pozbawione życia miejsce, omijane przez człowieka, a nawet dla niego niebezpieczne. Korzyści gospodarcze i społeczne wynikające z uwzględniania zasady zrównoważonego rozwoju muszą być większe od strat, które powoduje rozwój rozumiany jako eksploatacja. W konsekwencji korzyści te muszą się rozkładać równomiernie między obecnymi i przyszłymi pokoleniami.



Niestety obecna, ogólnie zrozumiała i akceptowana definicja zrównoważonego rozwoju nie ogranicza się jedynie do sfery leśnictwa. W licznych międzynarodowych dokumentach możemy dziś przeczytać, że zrównoważony rozwój to globalny plan działania „w celu realizacji przemian i przeobrażeń świata, w którym potrzeby pokoleń obecnych mogą być zaspokajane w sposób zrównoważony, z szacunkiem dla środowiska oraz z uwzględnieniem potrzeb przyszłych pokoleń".

Szczególną rolę w dokonywaniu „przeobrażeń świata" wzięła na siebie ONZ. Strategia rozwoju świata do 2030 r., przyjęta przez 193 państwa członkowskie ONZ we wrześniu 2015 r., normuje pięć głównych obszarów: ludzie, planeta, dobrobyt, pokój, partnerstwo. Już samo to zestawienie wskazuje na ideologiczne motywy „naprawy" świata. We wszystkich tych obszarach ogólną normą, jakby podstawowym zaleceniem, ma być zachowanie zasady zrównoważonego rozwoju. To już nie leśnictwo i sama przyroda, ale w zasadzie wszystkie dziedziny ludzkiej aktywności wymagają natychmiastowej naprawy z uwzględnieniem zrównoważonego rozwoju!

Z morza tych dokumentów wybieram tylko jeden. Chodzi o zapewnienie do 2030 r. „powszechnego dostępu do świadczeń z zakresu zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego, w tym planowania rodziny, informacji i edukacji oraz włączenie zdrowia reprodukcyjnego do krajowych strategii i programów". Jakie korzyści dla obecnych i przyszłych pokoleń ma zalecenie powszechnej, niczym nieograniczonej aborcji, którą uznaje się za prawo człowieka, czy eutanazji albo – jak ostatnio w Hiszpanii – zalegalizowanie zoofilii?

Wszyscy, którzy z upodobaniem, wręcz naukowym namaszczeniem głoszą zasadę zrównoważonego rozwoju, powinni zdobyć się na nieco więcej refleksji.

www.wojciechreszczynski.pl

Wybrańcy



Aleksander Nalaskowski

Żeby zostać członkiem kadry narodowej w dowolnej dyscyplinie sportowej, trzeba lat pracy. W zależności od specjalności trzeba przebiec lub przepłynąć setki kilometrów, przerzucić tony żelaza czy setki tysiące razy kopnąć piłkę. Droga do dresu z orzełkiem na piersi jest długa i trudna. Żeby grać główne role w teatrze czy filmie, trzeba nie tylko umieć to zrobić, mieć talent i kompetencje weryfikowane przez publiczność, lecz także wkuć na pamięć kilkadziesiąt stron tekstu. Niełatwy jest awans do elitarnego grona profesorów. Począwszy od pracy magisterskiej, przez doktorat, habilitację, po tytuł profesorski, trzeba swój dorobek poddawać ustawicznym ocenom. Tutaj nie ma łatwych dróg. Można bez przesady stwierdzić, że aby być członkiem jakiegoś ważnego gremium o charakterze merytorycznym, trzeba mniej lub bardziej przejść przez pewne sito kwalifikacyjne, poddać się ocenie i wykazać kompetencjami.

Jest wszak w tym wszystkim jeden wyjątek. Jest gremium o charakterze ogólnopolskim, do którego można awansować, nie posiadając żadnych kompetencji, kiepsko posługując się poprawną polszczyzną, nie mając żadnej wiedzy. To parlament RP. Przyznam, że nie mogę wyjść ze zdumienia, jak w najwyższym organie ustawodawczym naszego państwa mogła się znaleźć Klaudia Jachira, której znakiem rozpoznawczym są drwiny z ofiar katastrofy smoleńskiej i wylewająca się z jej wideoklipów nienawiść do wszystkiego, co katolickie. Ukończone studia oraz liczne studia podyplomowe nie przeszkadzają Piotrowi Zgorzelskiemu być bucem. Podobnie jak brak jakichkolwiek kompetencji ekonomicznych nie stanowi dla posłanki Izabeli Leszczyny strojenia się w koronę ekonomicznej wyroczni. Trudnym do zrozumienia, ale na szczęście już przeszłym kuriozum była obecność w parlamencie Anny Grodzkiej. Moim zdaniem jej wybór służył całkowitemu ośmieszeniu tej instytucji.

W chwili wyboru do Sejmu Robert Biedroń był znany jedynie ze swoich preferencji seksualnych. Za to obecnie zyskał niemałą sławę, podle szkalując Polskę na forum międzynarodowym. Zastanawiam się też, czy marszałek Grodzki, kurczowo trzymający się już ponad 700 dni swojego immunitetu, świadomie nie został senatorem, tylko po to, by uciec przed zarzutami o łapówkarstwo.

Samo przebranie się w garnitur nie czyni posłem. Trzeba coś rzeczywiście wiedzieć, coś umieć i naprawdę czegoś chcieć

Posłem można zostać na wiele sposobów. Jak się okazuje, wystarczy wszcząć burdę w kuluarach sejmowych, po chamsku potraktować urzędującą minister, wykorzystać niepełnosprawność dziecka, by ze sklepikarki zamienić się w posła i opromienić płynącymi stąd apanażami i przywilejami.

Chcąc odświeżyć pamięć wyborców i „zabłysnąć", można też prostacko zakłócić mszę św., jak to zrobiła Joanna Scheuring-Wielgus, występując w duecie z mężem. Notabene posłanka ta wydaje się podręcznikowym przykładem niewyuczalności. Nie rozumiała nic w chwili pierwszego wyboru do parlamentu i do dzisiaj nic nie rozumie. Nic też nie zapowiada, że zrozumie cokolwiek i kiedykolwiek.

Można też pajacować jak Michał Szczerba i Dariusz Joński, udając się z kolejnymi kontrolami poselskimi w rejony, do których kontroli nie mają najmniejszych kompetencji. Przypomnę tylko, że Joński to ten parlamentarzysta, który nie znał daty powstania warszawskiego.

Żeby być sprawiedliwym, trzeba powiedzieć, że oprócz wspomnianych wyżej „osobistości" jest w parlamencie po obu stronach duża grupa osób kompetentnych, doświadczonych w pracy samorządowej, oczytanych i pracowitych.

Jednakowoż przytoczone wyżej przykłady – a jest ich więcej (litościwie pomijam np. łobuza Nitrasa) – każą się zastanawiać, czy obowiązująca ordynacja dostatecznie chroni nas przed obecnością w najwyższym organie ustawodawczym ewidentnych nieporozumień, fatalnych pomyłek. Czy rzeczywiście wobec rankingowego charakteru wyborów parlamentarnych musimy być tacy bezbronni?

Widzę tu ogromną rolę telewizji. To fakt transmitowania na żywo obrad nakręca niektórych posłów do zachowań niegodnych i karygodnych. To bezpłatna promocja, szansa zaistnienia, możliwość skupienia na sobie uwagi są częstym podłożem rozmaitych popisów.

Nie ma szkół kształcących posłów. Bo też być nie może. Ale w takim przypadku należy tym baczniej przyglądać się kandydatom i tym rozważniej wrzucać kartkę do urny.

Samo przebranie się w garnitur nie czyni posłem. Trzeba coś rzeczywiście wiedzieć, coś umieć i naprawdę czegoś chcieć.

eprasa.pl b96b151b81



Nowe prawa człowieka, czyli bezprawie

Bezczelność tego aktu wymaga natychmiastowej, zorganizowanej akcji dyplomatycznej wszystkich zainteresowanych 18 państw

JAN POSPIESZALSKI

Zajęci wojną na Wschodzie, gdy z niepokojem śledzimy sytuację na ukraińsko-rosyjskim froncie, nie zauważamy natarcia wymierzonego bezpośrednio w Polskę, a idącego z Zachodu. Jest ono agresywne, bardzo konsekwentne i niszczące. Napastnik nie używa rakiet, lotnictwa czy czołgów. Tu amunicją są prawa, a właściwie tzw. prawa człowieka.

Uchwalane po okrutnych doświadczeniach II wojny światowej prawa człowieka, przyjmowane w trosce o bezpieczeństwo jednostki, rodziny i wspólnoty, w ciągu ostatnich kilkunastu lat zmieniają zupełnie swoje znaczenie. Reinterpretacja pojęcia jest tak głęboka, że dziś prawa człowieka obracają się przeciw wartościom, którym miały służyć.

Kilka tygodni temu Europejski Trybunał Praw Człowieka w sposób przełomowy redefiniował pojęcie małżeństwa, przyjmując orzeczenie, wskutek którego wszystkie kraje należące do Rady Europy będą miały obowiązek wprowadzić regulacje rejestracji związków partnerskich, w tym homoseksualnych. Oznacza to, że wiele krajów, które w swoich porządkach konstytucyjnych chronią małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, np. Polska, Rumunia, Mołdawia, będą musiały wprowadzić jakąś inną nową formę, bo wymagają tego... prawa człowieka. W kontekście unijnym wspominała o tym już wcześniej Ursula von der Leyen, grzmiąc, że nie do pomyślenia jest, by małżeństwo zawarte w jednym kraju członkowskim, w innym było nielegalne. Ale w tym szczególnym orzeczeniu sprawa dotyczy nie tylko UE, lecz także wszystkich krajów europejskich, do niedawna łącznie z Rosją.

Pretekstem do zajęcia się przez ETPCz problemem było zaskarżenie przez dwie homoseksualne pary obywateli rosyjskich swojego rządu, ponieważ nie ma tam możliwości tworzenia związków partnerskich. Sprawy toczyły się wiele lat i choć po agresji na Ukrainę Rosja została wyrzucona z Rady Europy, Trybunał (przy sprzeciwie polskiego sędziego) postanowił orzec w tych sprawach. Mimo że rozstrzygnięcie samej Rosji już nie dotyczy, Trybunał procedował, uniemożliwiając innym krajom wypowiedzenie się, ponieważ nie były stroną postępowania. Historia ta ma dodatkowy, perfidny aspekt. Ponieważ sprawa toczyła się przeciw Federacji Rosyjskiej, ktokolwiek teraz zaprotestuje, narazi się na etykietkę ruskiego adwokata i sojusznika Putina. Warto odnotować stanowisko polskiego sędziego, który wyraził głos odrębny.

Spontaniczne kreowanie nowych praw człowieka przez pozostałych sędziów Trybunału jest próbą siłowego wymuszenia na 18 krajach europejskich (nieuznających związków jednopłciowych) zmianę ich praw. Taka uzurpacja ETPCz sprawia, że np. nasza ustawa zasadnicza okazuje się sprzeczna z prawami człowieka. Bezczelność tego aktu wymaga natychmiastowej, zorganizowanej akcji dyplomatycznej wszystkich zainteresowanych 18 państw. Wystarczy odrobina wyobraźni, by przewidzieć, że dalszym etapem będzie wymuszenie przez te związki przywilejów podatkowych, potem adopcji dzieci oraz uznania surogacji za legalną. A jest to bardziej prawdopodobne, ponieważ Haska Konferencja Prawa Prywatnego Międzynarodowego równolegle prowadzi intensywne prace nad regulacjami dotyczącymi tzw. legalnego rodzicielstwa lub rodzicielstwa zastępczego, co oznacza legalizację produkcji dzieci na zamówienie, czyli właśnie surogację. Podobny kierunek prac przyjęła także ONZ. Tu używa się argumentu niedyskryminacji dzieci ze względu na sposób poczęcia (powołanie się na dobro dziecka zawsze uruchamia emocje). Pretekstem jest ustalenie zasad funkcjonowania surogacji altruistycznej i odróżnienia jej od komercyjnej. Oto nieszczęsna, niepłodna para znajduje bliską osobę, np. siostrę, kuzynkę, a nawet mamę, by ta przyjęła do brzucha ich zarodek. Ale obok tych ckliwych i wzruszających obrazków czai się upiorna rzeczywistość. Handel dziećmi, hodowla ludzi na dawców organów, produkcja dzieci na zamówienie dla pedofilów – to kilka możliwych, bo już odnotowanych konsekwencji tej nieludzkiej procedury. Przy tak drastycznych przykładach główny sprawca legalizacji surogacji, czyli homolobby, jawi się całkiem niegroźne.

Tak oto w imię praw człowieka osuwamy się w otchłań krzywdy i bezprawia.

eprasa.pl b96b151b81

Promocja pożytecznych



Jerzy Jachowicz

W krótce przypada piąta rocznica powołania Sekcji Śledczej Koalicji Obywatelskiej. W jej skład wchodzą dwaj posłowie – Dariusz Joński i Michał Szczerba. Dziś ich nazwiska wpisują się złotymi zgłoskami w dzieje współczesnego parlamentaryzmu. Ich osiągnięcia przerastają swoją miarą wiele odkryć godnych Nagrody Nobla. Dlatego zamierzamy przedstawić je w osobnej publikacji.

Skupimy się na najbardziej spektakularnych operacjach śledczych duetu. Wzbogacimy je o inne ważne okoliczności towarzyszące. Opiszemy daleko posuniętą heroiczną ofiarność śledczych posłów, połączoną z nieustępliwością jako niezbędnymi elementami umożliwiającymi dotarcie do prawdy. Niepełny byłby też obraz niezwykłych dokonań współczesnej polskiej wersji słynnej pary Sherlocka Holmesa i doktora Watsona bez pokazania niebezpieczeństw, na które śledczy – Michał Szczerba i Dariusz Joński – bywają często narażeni. Dlatego tak ważne staje się wyeksponowanie jakże rzadkich dziś cech, takich jak: stalowe nerwy, odporność na stres, instynkt samozachowawczy. To dzięki nim bohaterowie masowej wyobraźni, którymi powoli stają się dwaj śledczy posłowie, potrafią przezwyciężyć strach lub w krytycznej chwili z godnością i opanowaniem salwować się ucieczką na z góry upatrzone strategiczne pozycje. Najczęściej do własnego samochodu.

Taka historia podobno miała miejsce w zimową noc 2022 r., kiedy śledczy próbowali oszacować wartość wiejskiego domku należącego do jednego z bliskich krewnych prezesa Orlenu Daniela Obajtka. Zaopatrzeni w noktowizory zbliżyli się do płotu na zapleczu domostwa, kiedy wypadły na nich dwa potężne bulteriery z posesji sąsiada. Ledwo zdążyli dobiec do auta i w ostatniej chwili zamknąć drzwi.

Wytrwałość i determinację śledczych dobrze ilustruje ich postawa z jesieni ub.r. W zamaskowanym samochodzie obserwowali wejście do siedziby PiS przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie. Już ok. godz. 10 pojawiła się nagle gęsta mgła, przez którą nie były w stanie przebić się nawet lornetki wysokiej klasy. Wielu zrezygnowałoby ze śledzenia. Ale nie oni. Czekali pełne trzy doby.

Jak tylko mgła opadła, podjęli obserwację.



Reklama | 17/1122/F

eprasa.pl b96b151b81

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Twarz uczciwości

W trosce o przejrzystość procesu elekcyjnego PO stworzyła organ: Obywatelską Kontrolę Wyborów



Ryszard Makowski

Donald Tusk: „Mamy powody, aby obawiać się możliwości manipulowania lub wręcz fałszowania wyborów – także na najniższym szczeblu... Idźmy na wybory, przepędźmy tych, którzy zgotowali nam ten los i skontrolujmy te wybory, żeby nas nie oszukali". Przysłowia są mądrością narodu: „Diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni".

Zastanawia, dlaczego PiS po dojściu do władzy nie zweryfikował tego, co się działo z wyborami od 2010 r.? W tymże roku nastąpiła zmiana przewodniczącego PKW. A kiedy? A 31 marca 2010 r. Ciekawe, nieprawdaż? W wyborach prezydenckich w 2010 r. karierę zrobiły „ruskie serwery", które ponoć je obsłużyły. Co nie byłoby dziwne, bo członkowie PKW szkolili się w Moskwie i spotykali z kremlowskim „czarodziejem znad urn" w Warszawie w ambasadzie rosyjskiej. Donald Tusk nic o tym nie wiedział? Czarę goryczy przelały wybory samorządowe w 2014 r. 2 mln głosów nieważnych!!! Choć PKW zrejterowała, wybory uznano za ważne.

22 lutego 2015 r. środowiska patriotyczne stworzyły Ruch Kontroli Wyborów. Dzięki RKW, który był ruchem masowym, nie udało się sfałszować w 2015 r. ani wyborów prezydenckich, ani parlamentarnych, co zmieniło bieg naszej historii.

Obecnie PO, stojąca przed widmem klęski wyborczej, robi manewr rozwadniający, krzycząc, że została oszukana, choć wyborów jeszcze nie było. Żeby OKW była organem poważnym, jej twarzą został Sławomir Nitras. Trafny wybór! To jest twarz uczciwości i rzetelności na miarę Platformy Obywatelskiej.

eprasa.pl b96b151b81

***Michał Korsun prezentuje:* Trzaskokartki**



Wycinki z przeszłości

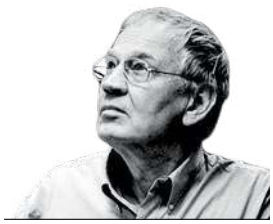


„Tęcza nad Hollywoodem” – donosił magazyn „Sztuka i Film” w początkach 1936 r. I nie chodziło o tęczowe ideologie, które nikomu wtedy nawet nie przychodziły do głowy, lecz rodzący się dzięki technologii New Technicolor film kolorowy. Jak podkreślał magazyn, efektem jest powstanie nowej filmowej profesji – speca od kolorów. „Przy stosowaniu kolorów grozi wielkie niebezpieczeństwo – przesady! Kolor musi być dla obrazu zaledwie tonem w całkowitej harmonii kształtów i dźwięków” – stwierdza jeden z nich, Robert Edmund Jones. Dodaje, że barwy muszą być jak najbardziej naturalne, a kolory plastyczne.

Obok reprodukujemy kadr z filmu, przy którym pracował wtedy pan Jones. Nosi on tytuł „Becky Sharp”, główną rolę gra widoczna na zdjęciu Miriam Hopkins. Scenariusz napisano na podstawie powieści „Vanity Fair” Williama Makepeace’a Thackeraya. W Polsce i film, i książka funkcjonowały pod tytułem „Targowisko próżności”.

(mk)

Do trzech razy...



Leszek Długosz

Pierwszy – to tej niedzieli 26 lutego 2014 r., kiedy oglądając w telewizji ludzi zabijanych na kijowskim Majdanie, ten tekst się na kartce sam wykrzyczał. Drugi raz? Kiedy o tej samej porze w ub.r. pozwoliłem sobie go przypomnieć w tym miejscu. I oto trzeci raz... Po roku od tej haniebnej napaści, nie znajdując nic bardziej adekwatnego, słyszę, że „wewnętrzny reżyser” podpowiada, by go znów tu przywołać. Z nadzieją, że to ostatni już raz.

„Patrzymy w okno telewizora...”

Patrzymy w okno telewizora
Patrzymy i oglądamy wszystkimi zmysłami
– Pomódlmy się za nich...

Roześlijmy wici po ziemi
I do nieba...
Że oni tam w potrzebie
– Oni tam w paszczy Lewiatana
Ukraińcy w Kijowie, na Majdanie
Usiłują się wyrwać
– Ocalić
W ten wieczór walki na śmierć
– O życie

Krew płynie placem
I ulicami miasta
My, którzy spośród innych walkę tę lepiej
Znamy
Wstańmy
Zróbmy najwięcej, ile możemy
Wołajmy po całej planecie
Uderzmy w tarabany
Słuchajcie, ludzie na świecie
To przecież tylko trochę dalej
– Blisko każdego z nas
W ten sam lutowy wieczór
Od kuli i od pałki, wśród dymu i ognia
Od nienawiści
Z braku wolności i z braku powietrza
Ludzie – Ukraińcy umierają...
Patrzymy w okno telewizora
Patrzymy i oglądamy ich
I oglądamy ich...

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**82** zł	**149** zł	**265** zł
wSIECI HISTORII	–	**34** zł (3 wydania)	**59** zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	**169** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**295** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl b96b151b81

OD A DO ZYBERTOWICZA

Informacje, wiedza, mądrość

Wydawnictwo Prohibita przysłało mi książkę Grzegorza Osińskiego, zmarłego w grudniu 2022 r. profesora Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu. Rzecz nosi tytuł „Cyfrowi niewolnicy: Transhumanizm w praktyce". Wertując książkę, znajduję myśl: „Gdzie mądrość zatracona w wiedzy, gdzie wiedza zgubiona pośród informacji".

PRZESTROGA POETY

Autorem tych słów jest Thomas Stearns Eliot (1888–1965). Umieścił je w dramacie „Opoka" wystawionym w 1934 r. 14 lat później dostał literacką Nagrodę Nobla. Można powiedzieć, iż przestrogi, które Eliot umieszczał w swojej poezji i dramatach, zostały docenione. Poetę niepokoi poznawcza i moralna kondycja ludzkości. Niemal 90 lat temu obawy poety mogły się wydawać przesadzone. Dziś, w erze internetu, widać, że informacji mamy całe tony. Z wiedzy pozostają okruchy. A mądrości na lekarstwo.

Kilotony informacji każdego dnia przekazywanych przez elektroniczne media nie układają się w żadną spójną wiedzę. Mamy raczej jej skrawki aniżeli rozległe połacie. Z najlepszych nawet naukowych teorii nie wyłania się mądrość. Ciągłe strumienie newsów niby mówią coś o świecie, ale bez kontekstu nie sposób określić ani ich prawdziwości, ani znaczenia, wagi.

Może najlepiej to objaśnimy, gdy w sekwencji Eliota: informacje – wiedza – mądrość, na miejscu wiedzy podstawimy inteligencję.

NIEMĄDRA INTELIGENCJA

Stanisław Lem przywołał ongiś ujęcie Karla Raimunda Poppera (1902–1994), wybitnego filozofa nauki. Wedle Poppera, o ile inteligencja oznacza zdolność rozwiązywania problemów, to mądrość wyraża się w umiejętności wyboru problemów, do których rozwiązywania inteligencji używamy. Jednak będąc tylko narzędziem, inteligencja nie podpowiada nam, z jakimi problemami *warto* się zmagać.



Oto miara postępu – najpierw zostaliśmy oddaleni od mądrości, a potem od wiedzy

O ile wiedza może nam powiedzieć, *jaki* świat jest, to mądrość mówi nam, jak w tym świecie się zachowywać. Mądrość pozwala bowiem odróżnić dobro od zła. Osoby o superkreatywnej inteligencji, ale niedostatecznie mądre można zaprzęgać do osiągania dziwnych lub nader paskudnych celów. Moc przykładów tego znajdziemy w obszarze cyfrowych innowacji.

Dzisiejsza cywilizacja coraz bardziej przepoczwarza się w imperium efekciarskich środków. A kraina celów staje się coraz bardziej mglista. Coraz częściej finansuje się innowacje dla innowacji. Namysłem nad wartościowymi celami zajmują się nieliczni, a całe gromady zaprzęga się do pracy nad rozbudową narzędzi. Często są to ludzie naprawdę utalentowani, ale słabo pojmujący, do czego będą wykorzystane narzędzia przez nich stworzone.

Przypomina się powiedzenie Zen: *Gdy mistrz wskazuje na księżyc, głupiec widzi tylko palec*. Czyż takim palcem nie są współcześni celebryci, np. internetowi influencerzy, których blichtr zupełnie przysłania wielu młodym wspaniałość nie tylko kosmosu, lecz także całego istnienia?

Oto miara postępu – najpierw zostaliśmy oddaleni od mądrości, a potem od wiedzy. Wiedzy, która po porzuceniu mądrości naszych przodków jest pozbawiona zdolności do budowania tzw. wielkich narracji określających powinności ludzkiego życia. Mądrość zatracona w wiedzy, a wiedza zagubiona w informacjach to także efekt wysokiej dynamiki kapitalistycznego rozwoju. Ale na tym postęp się nie zatrzymał, kroczy dalej. Wraz z sukcesem mediów społecznościowych zostaliśmy zasypani przez całe hałdy rozproszonych informacji, rzekomo pilnych newsów, spod których nie wyłania się żaden głębszy sens. Taka sytuacja pozbawia młodych szans na poszukiwanie mądrości.

WOŁAJĄCY NA PUSZCZY?

T. S. Eliot, K. R. Popper, S. Lem i wielu innych. Przestrogi myślicieli nie są słuchane. A gdy są wysłuchane, to nie są rozumiane. A nawet jeśli się zdarzy, że są zrozumiane, to natychmiast są zapominane (kto zna Lema, wie, do czego tu nawiązuję).

Najwyraźniej trwa epoka zaprzepaszczania dorobku wielu tytanów ludzkiego intelektu. Ale zdecydowanie jestem przeciw tym, którzy twierdzą, że pozostał nam jedynie śpiew żałobny. Dopóki świat *cyber* całkiem nie zdławi świata *realu*, wiele jeszcze możemy zdziałać.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 38/0223/F

eprasa.pl b96b151b81

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!



Niemiecka zbrodnia
– jak zginęła rodzina Ulmów w 1944 r.?

Rozstrzelać polskość
– antypolska operacja NKWD w latach 1937–1938

Geniusz Kopernik
– 550. rocznica urodzin wielkiego astronoma



Zamów e-prenumeratę SIECI i wSIECI HISTORII
50% taniej!

Wejdź na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl b96b151b81



ORLEN

ORLEN DLA POLSKI

Tańszy gaz i energia w polskich domach, szpitalach i szkołach

Dowiedz się więcej na
OrlenDlaPolski.pl

eprasa.pl b96b151b81